



KWARTALNIK
ARTYSTYCZNY

K U J A W Y I P O M O R Z E

1 (17) 1998

CÉLINE • NOWE WIERSZE HERBERTA
Barral Kornhauser J.J.Szczepański Taborski

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

Zespół:

JAN BŁOŃSKI, TOMASZ BUREK,
STEFAN CHWIN, ALEKSANDER FIUT,
MICHAŁ GŁOWIŃSKI, JULIAN KORNHAUSER,
JANUSZ KRYSZAK, LESZEK SZARUGA

Redakcja:

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI (redaktor naczelny)
GRZEGORZ MUSIAŁ (z-ca redaktora naczelnego)
GRZEGORZ KALINOWSKI (sekretarz redakcji)

Wydawca:

Wojewódzki Ośrodek Kultury w Bydgoszczy
Miejski Ośrodek Kultury w Bydgoszczy

Adres redakcji:

ul. Ikara 12, 85-314 Bydgoszcz
tel./fax (0-52) 373 27 18, tel. (0-52) 378 66 66
Internet: „Kwartalnik Artystyczny” www.wok.bydgoszcz.pl
E-Mail: wok@cps.pl
Administracja, sprzedaż i prenumerata: Renata Triebwasser

Przedstawiciele za granicą:

Barbara F. Lefcowitz
4989 Battery Lane Bethesda, MD 20814 USA
e-mail BLefcowitz@aol.com

Joanna Wiórkiewicz
Saarburgerstr. 11D, 12247 Berlin, Niemcy
fax: 0-049-30-7740217

Olga Panczenko
117421 Moskwa, ul. Nowatorow 40/12 #14, Rosja
tel.: 0-07095-432-52-72

Na I i IV str. okładki fotografie Elżbiety Lempp (***, ***)

Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje za pomoc finansową w wydaniu numeru 1/1998 Ministerstwu Kultury i Sztuki, Wydziałowi Kultury, Sportu i Turystyki UW w Bydgoszczy, Wydziałowi Kultury i Sportu UM w Bydgoszczy oraz Fundacji im. Stefana Batorego.

Spis rzeczy

Trzy wiersze

IAN JÓZEF SZCZEPAŃSKI Trzy wiersze / 25

Poezja

- ZBIGNIEW HERBERT Strefa liryczna / 2 Pan Cogito. Ars longa. / 3
Pan Cogito a małe zwierzątko - / 5 Telefon / 6 Brewiarz / 8
BOLESŁAW TABORSKI Autostrada / 56 Elegia dla Jacqueline (1945-87) / 57
Ziemia obiecana / 57 Wierność / 58
EWA SONNENBERG manifest wewnętrzny 1 / 64 manifest wewnętrzny 2 / 64
tekst bez właściciela / 65 Only for Men / 66
SAMANTHA KITSCH Prawda / 73
MARIUSZ GRZEBALSKI *** (Pusto nad osiedlem) / 82 *** (Pomarańczowa
luna / 82 Dzień dobry / 83 Sen / 84 Popołudniowe zabawy / 83
STANISŁAW DEUSKI Uciezki / 85 Adrianie od światła / 85
Z wierszy chromych / 86
MARCIN KUREK Tracheotomia / 103 Oratio obliqua / 103

Po co piszę?

- BOLESŁAW TABORSKI Dlaczego piszę? / 59
EWA SONNENBERG Po co piszę? / 61

Proza, esej

- MIROŚLAW DZIEŃ Zbigniewa Herberta „Hermes, pies i gwiazda” po czterdziestu
latach. Intuicje eschatologiczne / 9
ROZMOWY Z CÉLINE’EM „Nie chciałem zajmować się literaturą...” / 31
„Medycyna była moją fascynacją...” / 34 „Jestem pesymistą...” / 40 *** / 42
LOUIS-FÉRDINAND CÉLINE Zeszyty więzienne / 46 Listy więzienne / 49
LOUIS-FÉRDINAND CÉLINE - CHRONOLOGIA / 52
GEORGES BARRAL Pięć dni w Brukseli z Charlesem Baudelaire’em / 67
JULIAN KORNHAUSER W czasie, gdy / 77
KRZYSZTOF DERDOWSKI Robal / 87

Plastyka

PREZENTACJE - ELŻBIETA LEMPP *** / 105

Varia

- MICHAŁ GŁOWIŃSKI Szkice podróżne (II) / 109
JULIAN KORNHAUSER Post scriptum (8) / 116
GRZEGORZ MUSIAŁ Dziennik z Iowa (XIII) / 119
LESZEK SZARUGA Tym czasem (11) / 129
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI Literatura, dom starców i grób / 134

Recenzje

- URSZULA M. BENKA O grozie wtajemniczenia / 136
MACIEJ CISŁO Głos Ahaswera / 140
ELŻBIETA GIDLECKA Niemożliwość prawdy / 141
DARIUSZ NOWACKI Praca pisania? / 144
GRZEGORZ KALINOWSKI Przeciw „pustyni obłędu” / 147
MARIAN SZARMACH Grecja Krzysztofa Głombiowskiego / 151

Głosy i glosy / 153

Noty o książkach / 157



Zbigniew Herbert

Fot. Kuba Atyś

Zbigniew Herbert

Strefa liryczna

Widok na park i mur w przedwieczornym świetle
jak u Corota – skóra cytryny skóra policzka z pudrem po balu
powietrze złotolite i nic tu nie słyhać żadnych szeptów
stłumionych okrzyków uścisku rąk spoconych galopady
tylko dusza staje się boleśnie wątłą pajęczyną
i na powietrzu trwa jak uśmiech Giocondy
etruskich dziewcząt

uśmiech Sfinksa

Pan Cogito. Ars longa.

Krzysztofowi Karaskowi

1.

Napuszone manifesty
wojny domowe
wolne bitwy
kampanie
napawały Pana Cogito
nudą

w każdym pokoleniu
pojawiają się ci którzy
z uporem godnym lepszej sprawy
pragną wyrwać poczję
ze szponów
codziennosci

już za młodu
wstępują do zakonu
Przenajświętszej Subtelności
i Wniebowstąpienia

wysilają umysły i ciało
by wyrazić to co
poza –
to co
ponad – – –

nie przeczuwają nawet
ile obietnic
uroków
niespodzianek
kryje w sobie język
którym gadają
wszyscy
hycel i Horacy

2.

przed laty
Pan Cogito brał udział
w „Festiwalu Poezji Obu Półkul”

miejsce zdarzenia – była Jugosławia
w pobliżu jezioro Ohryd
nad rzeczką Strugą

po obu brzegach
rozsiadło się
ponad 30 tysięcy
wielbicieli poezji

liryk z Paryża
Le Bon Mot
omal nie zwariował ze szczęścia
(w domu słuchała go
własna żona
i sterroryzowane potomstwo,

asceci
biezownicy
anachoreci
czystej poezji
tarzali się w obfitości
spragnionych dusz

po opadnięciu
zmierzchu
rozgorzała strzelanina
na niebie wybuchały
ognie sztuczne
zdawało się
że to nowa wojna bałkańska

nazajutrz
wyłowiono z rzeki
czterech chłopów
babę
niemowlę

niezliczoną ilość pustych flaszek
drzwi od stodoły
nogę od fortepianu
bezpieńską protezę
około 20 metrów
łańcucha

3.

przygrywał do taktu
kwartet rodzinny Wunderlich

ojciec Hansi – wiolonczela księgowy
matka Truda – buchalteria na skrzypce i blachę
syn Rudi – wszechstronny
naturalna córka dziadka Wunderlich
ergo siostra Hansiego
córka Rudiego
budząca słodką grozę –
przeraźliwa
Gerda Chaos

Pan Cogito a małe zwierzątko –

Nie wiadomo czy ktokolwiek zna jego osobiste zoologiczne imię tak małego nisko
na samym
dole poza granicą widzących oczu. Jest to coś co waha się między
istnieniem a nieobecnością znikome znikliwe jak ułomek druku cząstka fragment
znaku ortograficznego, kawałek przecinka strużyna ołowiu z kaszty u
drukarza.

Otwieram zimową lekturę i oto na stronie Bardzo Małe Zwierzątko
przycupnięte do karty zrazu nieruchome, po chwili puszcza się w drogę
węsząc między wierszami a potem na przelaj rzuca się naprzód co koń
wyskoczy, naprzód z szybkością równą szybkości światła Bardzo Małego
Zwierzątka (zwierzątko jest ślepe).

Ten sezon (może to jest mój ostatni sezon mego życia) wszystko było jak zawsze Bardzo Małe Zwierzątko bawiło mnie i ogrzewało moje czarne serce, postanowiłem książkę podarować przyjaciołom w Londynie. Zapakowałem, wysłałem. Razem ze Zwierzątkiem.

Co robi w czasie długiej podróży przez morze. Lektury ma pod dostatkiem, je przecież niewiele ale co myśli o mnie, starym towarzyszku który zdradził.

Telefon

w nocy
dobrze po dwunastej
dzwoni telefon

przez nieprawdopodobne zasięki
mgły i drutu
przedziera się
Tomas Merton mnich
któremu niemaló zawdzięczam
dzwoni tak cicho
że nawet mój
czujny kot Szu-szu
nie podnosi głowy
śpi wtulony ufnie
w stary narciarski sweter

– jak to ładnie
że ojciec nie zapomina o mnie
za życia nie udało się spotkanie
teraz możemy porozmawiać
o wszystkim –

należałoby zapytać
nad czym pracuje
a tu kolek w głowie
pypeć na języku
woda w mózgu

- a jak u Pana
pyta ojciec trapista

- bołą mnie oczy
- to pewnie zapalenie spojówek
za dużo czytamy
za mało medytujemy
na oczy najlepszy rumianek

utknęliśmy w rumiankach
gaje rumianku
zagajniki werweny
wąwozy belladonny

pochłania mnie
bezmiar
przetykany Czarnymi Dziurami
filozofia trzeciej nad ranem
filozofia kaca
ergo New Age

filozofia
lewej nogi
słowem naplewat',

następnym razem
przeczytam fundamentalny buch
o filozofii
bardzo Dalekiego Wschodu

słaby ze mnie
piastun nicości

nigdy w życiu
nie udało mi się
stworzyć
przyzwoitej abstrakcji

Brewiarz

Panie,
dzięki Ci składam za cały ten kram życia w
którym tonę od niepamiętnych czasów bez ratun-
ku, śmiertelnie skupiony na ciągłym poszukiwa-
niu drobiazgów.

Bądź pochwalony, że daleś mi niepozorne guziki szpilki
szelki, okulary, strugi atramentu, zawsze gotowe
karty papieru, przezroczyste koszulki, teczki cierp-
liwe, czekające.

Panie, dzięki Ci składam za strzykawki z grubą i
cienką jak włos igłą, bandaże wszelki przyklepiec
pokorny kompres, dzięki za kroplówkę sole mineralne
wenflony, a nade wszystko za pigułki na sen
o nazwach dźwięcznych jak rzymskie nimfy.

które są dobre, bo proszą, przypominają
zastępują śmierć.

Zbigniew Herbert



Zbigniew Herbert

Fot. Kuba Arys

Zbigniewa Herberta „Hermes, pies i gwiazda” po czterdziestu latach. Intuicje eschatologiczne.

1. Przypomnienia

Dziś wiemy więcej o twórczości Zbigniewa Herberta, znamy jej wielowątkowość i wewnętrzne skomplikowanie. Z tym większą przyjemnością warto po raz kolejny, na nowo pochylić się nad dopiero co wznowiowym zbiorem „Hermes, pies i gwiazda”¹.

Przyglądając się niektórym recenzjom sprzed lat, poświęconym omówieniu chronologicznie drugiego tomu wierszy Herberta, dziś widać jak w różnicowany, a zarazem podobny sposób, czytano „Hermesa, psa i gwiazdę”. Julian Przyboś na łamach „Przeglądu Kulturalnego”² z dużym entuzjazmem wypowiada się wówczas na temat nowych wierszy Herberta, zdecydowanie przewyższających artystycznymi walorami utwory pomieszczone w „Strunie światła”. Przyboś zwraca uwagę przede wszystkim na zrezygnowanie przez Herberta ze wzniosłego patetycznego stylu na rzecz świata pełnego alegorii i parabol. Tak oto pisze: „Herbert wyzwał swój język z narzucenych sobie dawniej skrupowań (być może było to zasluchanie się w retoryce Miłosa), [i – wtrącenie moje M. D.] coraz swobodniej urabiał swoją materię poetycką. Osiągnął wreszcie tę swobodę, lekkość i pewność widzenia i słowa, jaka czaruje czytelnika drugiej części tomu. Proza poetycka Herberta, wypełniająca tę część, jest już świadectwem pełnej jego suwerenności w królestwie słowa”. Ryszard Matuszewski podziela opinię o dojrzałszym charakterze „Hermesa...” w stosunku do debiutanckiego tomiku Zbigniewa Herberta, pomimo tego artystyczne usiłowania Autora „Struny światła” umieszcza – co zresztą stanie się natrętną praktyką prawie wszystkich komentatorów Herberta – w kontekście wiersza „różewiczowskiego”. „Do liryki weszło pokolenie, w stosunku do którego Różewicz jest kimś w rodzaju p r e k u r s o r a [podkr. M. D.]. I choć poeci debiutujący w ciągu paru lat ostatnich są bardzo różni, styl, którego nie wahałbym się nazwać «różewiczowskim», dominuje tak w złych, jak w dobrych i samodzielnych wierszach, a przykładem tego jest właśnie Herbert. Proszę mnie źle nie rozumieć. Nie chodzi o naśladownictwo, gdyż poeta ten ma zupełnie odrębną problematykę i typ wyobraźni. Chodzi przede wszystkim o samą architekturę wiersza, język, budowę zdania, które przestają już być indywidualną własnością autora «Czerwonej rękawiczki», a stają się po trosze stylem, językiem poetyckim pokolenia czasu, w którym rodzi się nowa liryka. Zasadnicze cechy tego stylu: wersyfikacja opar-

Mirosław Dzień, ur. 1965 r. w Bielsku-Białej, poeta, eseista, krytyk literacki. Opublikował: „Trzy zdania z Iacama” (1991), „Jeżeli dobro” (1992), „Kola wewnętrzne” (1997). Mieszka w Bielsku-Białej. (red.)

¹ Zbigniew Herbert, „Hermes, pies i gwiazda”, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1997.

² J. P. [Julian Przyboś], „Nowy zbiór Zbigniewa Herberta”, „Przegląd Kulturalny”, 1957, nr 42, s. 5.

ta na rozczłonkowaniu logicznym zdania o toku pozornie prozatorskim, elipsa, metafora działająca nie na zasadzie zaskoczenia, ekscentryczności, jak w awangardzie 20-lecia, lecz – przeciwnie – na zasadzie jakiejś oczywistości języka zmetaforyzowanego”³. I wreszcie trzeci interesujący głos, tym razem Anny Kamińskiej, pomieszczony w jednym z numerów „Twórczości”⁴. Kamińska dostrzega w Herbercie poetę filozoficznego, umieszczając Autora „Hermesa, psa i gwiazdy” w kręgu poetów awangardowych. Obok typowego dla tego rodzaju wrażliwości poszukiwania uogólniających syntez i rozważań o losach narodu, wskazuje na – jej zdaniem – nową właściwość tej poezji: „odkrywanie powierzchni świata, szukanie jego den ukrytych i zmiennych”⁵. Jako przykład takiego właśnie podejścia, Kamińska wskazuje „Przypowieść”. Herbert ma się bowiem jawić jako poeta nie tyle dyskursu poddanego rygorom sylogizmu, ile doświadczenia przepuszczonego przez pryzmat poetyckiego przeżycia.

*poeta naśladuje sen kamieni
z głową w ramionach
jest jak kawałek rzeźby
oddychającej rzadko i boleśnie*

*śpiąc wierzy że on jeden
zgłębi tajemnicę istnienia
i że bez pomocy teologów
chwyci w spragnione usta wieczność*

*czym byłby świat
gdyby nic napelniała go
nieustanna krzątanina poety
wśród ptaków i kamieni*

HPG, 30.

Zarazem Kamińska wskazuje na inny wiersz Herberta – jej zdaniem „najświecniejszy – *U wrót doliny*”, gdzie obok skojarzeń z obozową codziennością totalitarnych systemów politycznych, wyznacza pole dla dylematów eschatologicznych: „poeta pełen jest powątpiewania nawet co do tego, czy natura człowieka pozwoli mu odczuć szczęście zbawienia.(...). Postawą poety jest niewiara św. Tomasza, sceptycyzm filozoficzny i moralny”. Porównując zaś „Strunę światła” z „Hermesem, psem i gwiazdą” powiada, że pierwszy tom wierszy Herberta skłaniał się ku eksponowaniu elementów mitologii starożytnej, podczas gdy w drugim: „więcej miejsca zajmuje mitologia chrześcijaństwa⁶, nawet problemy filozoficzne ukształtowane są t e o l o g i c z n i e” [podkr. M. D.]⁷. Egzemplifikując swoje konstatacje, Kamińska wymienia następujące wiersze: „U wrót doliny”, „Co robią nasi umarli”, „Ankhenaton” oraz „Nefertiti”.

³ Ryszard Matuszewski, „Wiersze piękne i rozumne”, „Nowa Kultura”, 1957, nr 48.

⁴ Anna Kamińska, „Niewierny Tomasz i świat”, „Twórczość”, 1957, nr 10/11, s. 153-156.

⁵ Tamże, s. 154.

⁶ Jest to dosyć niefortunne określenie, z uwagi choćby na historyczny charakter osoby Jezusa Chrystusa. W tym znaczeniu trudno chrześcijaństwu przypisywać mitologiczny charakter, jak to ma miejsce na przykład w mitologii greckiej.

⁷ Por. Anna Kamińska, dz. cyt. s. 155.

Nie bez przyczyny przypomniałem tutaj niektóre recenzje z 1957 roku – a więc roku wydania interesującego nas tomu – gdyż wydają się one ciekawe zarówno z uwagi na nie skażoną upływem czasu refleksję, jak również pewną nutę emocjonalności tu i ówdzie dającą o sobie znać w omówieniach „Hermesa...”⁸.

2. Rozpoznania

Od czasów opublikowania osławionej już dzisiaj i bez wątpienia jednej z fundamentalnych monografii Zbigniewa Herberta, autorstwa Stanisława Barańczaka, w świadomości nieomal wszystkich utrwalił się – przepraszam za wyrażenie – stereotyp postrzegający Autora „Studium przedmiotu” jako z jednej strony wielkiego Ironisty, a z drugiej „uciekiniera z Utopii” totalitarnego porządku świata. Daleko mi do takiej znajomości twórczości Herberta oraz wnikliwości spostrzeżeń, jaką posiadli jej czolowi interpretatorzy⁹, tym niemniej postaram się zasygnalizować jeden wymiar w sztuce poetyckiej Zbigniewa Herberta – moim zdaniem – nie dość zauważony i wyeksponowany. Mam na myśli nastawienie twórczości Autora „Pana Cogito” na zagadnienia eschatologiczne. Parafrazując tytuł książki Stanisława Barańczaka, Herbert nie tyle jest „uciekinierem z Utopii”, co „wygnańcem z Raju”. I wydaje mi się, że właśnie problemy eschatologiczne są centralnymi zagadnieniami całej dotychczasowej twórczości Autora „Napisu”¹⁰.

Zanim przejdziemy do interpretacji wybranych utworów, spróbujemy zastanowić się, czym w istocie swojej jest eschatologia i jaką spełnia ona rolę w poetyckim świecie Zbigniewa Herberta. Najogólniej rzecz ujmując, eschatologia jest doktryną religijną zajmującą się zagadnieniami związanymi z kresem kosmosu, wszechświata oraz człowieka. W zakres rozważań eschatologicznych wchodzi zatem pytania o istnienie duszy ludzkiej, o jej ewentualną egzystencję po śmierci, wreszcie o sprawy związane z wieczną karą lub nagrodą. Prehistorię eschatologii upatruje się w powszechnych wierzeniach dotyczących życia pozagrobowego oraz moralnej sankcji za czyny dokonane na ziemi.

⁸ Mam tutaj na myśli przede wszystkim fragment recenzji wspomnianego już Juliana Przybosia z „Przeglądu Kulturalnego”, gdzie poeta pozwala sobie na przypominanie nowotestamentalnych przypowieści w celu zobrazowania Herbertowskiej ironii: „Nie wiem, jak komentują bibliści przypowieść ewangeliczną o gospodarzu winnicy, który wezwawszy najemników, zapłacił wszystkim po równi, niezależnie jak długo w ciągu dnia pracowali. Temu właścicielowi winnicy podobne jest królestwo niebieskie. Ja, ile razy w dzieciństwie słyszałem czytana tę ewangelię, nie mogłem się pozbyć wrażenia, że Pan coś tu sobie zażartował i pokpiwa z punktualnych i cnotliwych Ale bodaj że tak to istotnie jest w katolickiej doktrynie o łasce. Łaska spada nieraz niezasluzenie na najgorszego Szawla. W Nowym Testamencie pełno takich paradoksalnych zdań i pouczeń, od owego nakazu, żeby miłować nieprzyjaciół, po radę, żeby nie troszczyć się o chleb i odzienie i być jak lilie polne i ptaki niebieskie. Tkwi w tych hasłach na ogół mało dostrzegalny element humoru, poetycznego żartu i łagodnej drwiny. Tak obyliśmy się z ewangelicznymi tekstami i tak od dzieciństwa bierze się je jak najuroczyściej, że trzeba świeżego ucha poety, żeby usłyszało w majestatycznych wersach uroczy humor i wzniosłą zabawę. Nie myłę się chyba, że Herbert tam usłyszał swój ton: subtelna ironia i czuła żartobliwość w jego głosie łączy się z prostotą, powagą i monumentalnym spokojem ewangelicznej przypowieści. Nikt ze współczesnych poetów polskich nie sięgał tak daleko, ażeby trwogom moralnym naszych czasów dać stosowny wymiar”. Zob. J. Przybosi, dz. cyt. s. 5.

⁹ Pozwolę sobie wymienić tutaj: Jana Błońskiego, Stanisława Barańczaka, Jerzego Kwiatkowskiego, Ryszarda Przybylskiego, Janusza Sławińskiego czy też Jarosława Marka Rymkiewicza.

¹⁰ Zadałem sobie trud i policzyłem – mając oczywiście świadomość, że statystyka w sprawach dotyczących poezji jest wątpliwym sprzymierzeńcem – wiersze, które w szerszym lub węższym stopniu dotyczą zagadnień eschatologicznych. I tak w kolumnie pierwszej podaję liczbę wierszy, w których pojawiają się zagadnienia, które można potraktować jako podejmujące problematykę eschatologiczną. Zagadnieniami tymi są np. cierpienie, śmierć, problematyka duszy ludzkiej, Bóg, Szatan, Aniołowie, Sąd Ostateczny, niebo, piekło. W nawiasie podaję ogólną liczbę wierszy danego zbioru. „Struna światła”: 25 (39); „Hermes, pies i gwiazda”: 38 (109); „Studium przedmiotu”: 25 (49); „Napis”: 12 (40); „Pan Cogito” 21 (40); „Raport z obłąkanego Miasta”: 18 (35); „Elegia na odejście”: 10 (19); „Rovigo”: 12 (26).

Każda z wielkich religii ma swoją eschatologię, to znaczy zespół wyobrażeń na temat ewentualnego bytowania po śmierci. Eschatologiczna myśl zawarta w wierszach Herberta zasadniczo obejmuje zespoły wierzeń dwóch kręgów kulturowych: grecko-hellenistycznego¹¹ oraz judeo-chrześcijańskiego. Jednak wydaje się, że drugi z wymienionych przeze mnie kręgów w sposób dominujący zaznacza swoją obecność w interesującym nas tomie wierszy. Dlatego też skupimy naszą uwagę na utworach nawiązujących do eschatologii judeo-chrześcijańskiej.

„Hermes, pies i gwiazda” mimo iż nie jest pierwszym zbiorem wierszy Herberta, w którym podjęta została przez poetę problematyka eschatologiczna¹², to zdecydowanie jest tomem, w którym w sposób dojrzały i trwały (jak dowodzą tego kolejne zbiory wierszy Herberta) zagadnienia eschatologiczne wysuwają się na plan pierwszy. Z perspektywy upływu 40 lat od opublikowania „Hermesa, psa i gwiazdy”, w tym większe zdumienie wprawić może okoliczność niedoceny, tak ważkiej przecież dla całościowego ogarnięcia twórczości poetyckiej Herberta sfery. Poetyckie pisarstwo Zbigniewa Herberta zamknięto w kręgu kilku wyeksploatowanych i powiedzmy sobie szczerze – dość bezpiecznych – wątków interpretacyjnych. Należą do nich: Herbertowski klasycyzm z wyraźnym wyeksponowaniem greckiej idei *kalos kai agatos*¹³, namysł nad stosunkiem sztuki mimetycznej do malarstwa niefiguratywnego¹⁴, zagadnienie Ironii¹⁵ i demystyfikacja mechanizmów systemu totalitarnego¹⁶.

Interesujące jest, że ani u Barańczaka w „Uciekinierze z Utopii”, ani u Kaliszewskiego w „Grach Pana Cogito”¹⁷, nie znajdziemy terminu „eschatologia”. Poza tym

¹¹ Do tej grupy wierszy z tomu „Hermes, pies i gwiazda” można zaliczyć m.in. „Ankhenaton”, „Nefertiti”, czy też „Hermes, pies i gwiazda”.

¹² W „Strunie światła” (1956), znajdujemy tak ważne z interesującej nas perspektywy utworu, jak choćby: „Struna”, „Kłopoty małego stwórcy”, „Testament”, „Drży i faluje”.

¹³ Pisali o niej m.in. Fryde i Elzenberg.

¹⁴ Pragnę w tym miejscu przypomnieć błyskotliwe rozważania J. M. Rymkiewicza na temat słynnego wiersza Herberta „Studium przedmiotu”. Rymkiewicz z mało spotykaną precyzją i dyscypliną wewnętrzną prowadząc swoją analizę dochodzi do zagadnień eschatologicznych przypominając koncepcję tzw. zmysłów wewnętrznych, dzięki którym możliwe jest doświadczanie tych rzeczywistości, które za pomocą zmysłów cielesnych wzroku, słuchu i smaku są niemożliwe do odczucia. Artykuł przypomina koncepcje wielkich mistyków chrześcijańskiego Wschodu i Zachodu: Orygenes, Grzegorza z Nyssy, św. Bonawentury, św. Bernarda z Clairvaux, św. Jana od Krzyża, św. Augustyna czy też Mistra Eckharta. A cały ten brawurowy traktat tylko po to (albo aż po to), by stwierdzić: „Okno wewnętrzne, którego rad powinien słuchać artysta wieku, to okno, z którego przedmiot – krzesło – ma zostać wyjęty i przez które przedmiot ma zostać wymarzony, a więc okno widzące przedmiot i tylko marzące o przedmiocie, a więc okno widzące i nie widzące: to przecież postrzegające a nie postrzegające, zlaknione a nienasycone oko mistyków. Zrenica, dno, tęczęwka wewnętrznego oka: to przecież *adyton*, *hegemonikon*, miejsce tajemne i nietykalne, zrenica wiary, centrum kontemplującej duszy. Zrenica, dno, tęczęwka, w którym zrodziło się i uformowało święte krzesło, a które przez to krzesło mają być wypowiedziane: to przecież miejsce przemiany i połączenia, *actes mentis*, *apex* stający się Bogiem, *synteresis*, punkt w którym rodzi się Bóg. Krzesło, które zostaje wymarzone przez okno wewnętrzne dopiero wówczas, gdy to, co jawne i namacalne – drzewa, królowie, wieloryb – jest już uznane za niegodne ponowienia w dziele sztuki: to przecież Ten, który jawił się dopiero wówczas, gdy dusza oczyszcza się ze „zmysłowych i zwierzęcych porużeń”. Przedmiot będący-a-nie-będący, to „zaledwie przeczute”, to, co znajduje się na granicach naszego języka, ten podmiot domysłny, to krzesło nie będące krzesłem, widzialne, a nie widzialne: to przecież Ten, który dla mistyków był poznawalny, a nie poznawalny, przeczuwany i szukany, postrzegany, a nie postrzegany” – i zaraz potem z równie zimną krwią zaprzeczć (lub choćby poddać w wątpliwość, choć przecież wiadomo nie od dzisiaj, iż wątpliwość jest skutkiem wolnej i w swojej wolności ułomnej woli) – „to przecież Bóg naszej epoki, który jeszcze jest, choć już Go nie ma, który może już jest, choć jeszcze Go nie ma, ten Bóg naszych filozofów i mistyków, (...) Bóg nie będący i nie dany nam *a priori*, ten Bóg, którego *ex nihilo* i ze swojej przestrzeni psychicznej człowiek-kreator jedyny może dopiero powołać do istnienia”. Zob. J. M. Rymkiewicz, „Krzesło”, „Twórczość” 1970, nr 1, s. 50-88.

¹⁵ Por. Jan Błoński, „Tradycja, ironia i głębsze znaczenie”, „Poezja” 1970, nr 3, s. 24-38.

¹⁶ Zwłaszcza od momentu wydania tomu „Raport z obłożonego Miasta”, Instytut Literacki, Paryż 1984.

¹⁷ Por. Andrzej Kaliszewski, „Gry Pana Cogito”, Kraków 1982.

zastanawia swoistego rodzaju brak wrażliwości, zwłaszcza pierwszego z wymienionych krytyków, na zagadnienia związane z problematyką eschatologiczną w twórczości Herberta. Wydaje się, iż taki stan rzeczy podyktowała autorowi „Widokówki z tego świata” perspektywa ironii jako centralnej zasady kompozycyjnej i metodologicznej, wokół której Barańczak osnuwa własne rozważania na temat Herbertowskiej poezji. Nie od dziś wiadomo, jak bardzo niebezpieczna w swoich skutkach może okazać się wszelkiego rodzaju ekstrapolacja. Każde bowiem podporządkowanie komentowanego tekstu jakiejś jednej, centralnej idei interpretacyjnej, narażone jest na niebezpieczeństwo zapoznania lub pominięcia innych równie ważnych (o ile nie ważniejszych) zagadnień, które nie mieszczą się w polu przyjętych przez nas założeń. To oczywiście w widomy sposób uszczupla i zawęża przestrzeń, po której porusza się interpretator. Dlatego też w dalszej części tego krótkiego szkicu będę starał się „poszerzyć”, zarazem – mam taką skromną nadzieję – „pogłębiając” terytorium wyznaczone przez wnikliwe analizy autora „Uciekiniera z Utopii”.

3. Interpretacje

Tom „Hermes, pies i gwiazda” przynosi tak ważne dla interesującego nas zakresu rozważań wiersze jak: „U wrót doliny”, „Co robią nasi umarli”, „Siódmy anioł”, „Jedwab duszy”, „Raj teologów”, „Umarli”, „Piekło”, „Siedmiu aniołów”, „Krypta”, „Organista”, czy też „Samobójca”.

Najważniejszy z pamieszczonych w tomie wierszy – na którego znaczenie zwróciła już uwagę w 1957 roku cytowana wyżej Anna Kamińska – to „U wrót doliny”. Z uwagi na pojawiające się w nim z całą wyrazistością zagadnienia eschatologiczne, postaram się zasygnalizować kierunki jego możliwej interpretacji.

Sceneria Sądu Ostatecznego przypomina obozową selekcję¹⁸. A więc totalitarne metody obciążone cieniem przemocy. Dokonało się to, co miało się dokonać: „Po deszczu gwiazd / na łące popiołów / zebrał się wszyscy pod strażą aniołów”. Aniołom przypadła rola strażników, jak gdyby zaszło jakieś kolosalne, ba, kosmiczne nieporozumienie. Aniołowie pilnują: „całe beczące stado dwunogów” – a obecność tych ostatnich wcale nie jest upragnionym przez nich momentem spełnienia eschatologicznych nadziei, ale jakimś przymusowym wiecem, spędem ubezwłasnowolnionych istot. Zastanawia niewielka liczba ludzi, jak gdyby Sąd Ostateczny nie miał dotyczyć całej ludzkości:

*naprawdę jest ich niewiele
doliczając nawet tych którzy przyjdą
z kronik bajek i żywotów świętych*

HPG, 9

¹⁸ Ciekawie na temat wiersza „U wrót doliny” pisze Jerzy Kwiatkowski: „Rzecz jasna – wiersz z patosem nie ma nic wspólnego. Przyjrzyjmy się jednak bliżej: jaka to konwencja dopomaga do odpoteryzowania tematu? To przecież styl radiowego sparawozdwy, z „naszymi mikrofonami” zainstalowanymi u wrót Piekła i Raju. Jeszcze trochę, a usłyszeliśmybyśmy stereotypowe: „Szkoda, że państwo nie mogą tego zobaczyć”. Stylizacja jest zazwyczaj delikatna, widoczna jednak i w przeciwny sposób zbliżająca eschatologiczną scenę – do codzienności współczesnego człowieka”. Jerzy Kwiatkowski, „Klucze do wyobraźni”, Warszawa 1964, s. 363-364.

Tych niewielu wydaje się być tyleż wybrańcami, co skazańcami, zwłaszcza, że nie bardzo godzą się na niebiańskie procedury:

*jest to jak nam wyjaśniają
krzyk matek od których odłączają dzieci
gdyż jak się okazuje
będziemy zbawieni pojedynczo*

HPG, 9

Indywidualność zbawienia – a więc obdarzenia pełnią szczęścia i spełnienia – jak się paradoksalnie okazuje, może być przyczyną „krzyku matek”. Cóż za brak zaufania wobec Stwórcy, cóż za poczucie „małostkowości”, żeby nie powiedzieć niewdzięczności – aby w tak niepohamowany sposób manifestować przywiązanie do dziecka, ziemskiego przecież owocu miłości. Widać tutaj wyraźną niechęć Herberta do zabiegu, który można by określić destylacją tego, co duchowe, nie poddające się procesowi zmienności i rozkładu, od tego, co doczesne i naznaczone piętnem indywidualnej wrażliwości w ziemskich doświadczeniach ludzi. Poeta zawsze opowie się po stronie tego, co chociaż kruche i nietrwale – to jednak przez fakt pozostawienia na nim ludzkiego piętna – już samo w sobie nie może ulec jakiemukolwiek zabiegowi redukcji. Nawet wówczas, gdy chodzi o zbawienie.

*aniolowie stróże są bezwzględni
i trzeba przyznać mają ciężką robotę*

*ona prosi
– schowaj mnie w oku
w dłoni w ramionach
zawsze byliśmy razem
nie możesz mnie teraz opuścić
kiedy umarłem i potrzebuję czułości*

*starszy anioł
z uśmiechem tłumaczy nieporozumienie*

HPG, 9

Więzy, którymi ludzie związali się podczas doczesnej egzystencji, są tak silne, że próba odłączenia zakochanych jest doświadczeniem ponad ich miarę. Wydaje się, że zbawienie nie tylko nie wzbudza zachwyty, ale staje się przyczyną cierpienia. Dochodzi do tego, że: „starszy anioł / z uśmiechem tłumaczy nieporozumienie” – jak gdyby starał się przekonać zgromadzonych o dobrych(!) zamiarach wobec nich. Są też tacy, którzy „bez bólu poddali się rozkazom”, ale i oni chcą zachować jakieś okrucy doczesności, jakieś fragmenty świata, który był dla nich jedynym światem nawiązywania intymnych relacji, jedynym światem, który cokolwiek dla nich znaczył. To właśnie

oni – pozornie pogodzeni „w zaciśniętych pięściach chowają / strzępy listów wstążki włosy ucięte / i fotografie”.

Koniec wiersza tylko pozornie wskazuje na: „moment / przed ostatecznym podziałem / na zgrzytających zębami / i śpiewających psalmy”. W gruncie rzeczy nikt nie zostanie do końca uszczęśliwiony. Zbawienie nie jest zatem pozbawieniem człowieka trwogi, nie jest jego całkowitym i ostatecznym wyzwoleniem. „Tak to oni wyglądają” wciąż cierpiący, niepełni, okaleczeni, z jakąś nieprzekraczalną sferą niechęci wobec zamiarów Stwórcy. Nie mogą, nie chcą oderwać się od rzeczy, jak przytoczony w wierszu drwal – „którego trudno posądzić o takie rzeczy”, zazdrośnie, z całą determinacją prostego człowieka strzeże siekiery:

*przyciska siekiere do piersi
– cale życie byla moja
teraz też będzie moja
żywiła mnie tam
wyżywi tu
nikt nie ma prawa
– powiada –
nie oddam*

HPG, 9

Jeśli jest jakaś wieczność i jakieś spełnienie, to mieszczą się one w tym świecie (spróbujmy w tym miejscu wprowadzić termin „eschatologia horyzontalna”), mieszczą się w granicach doczesności. Herbert zdaje się informować nas, że nie ma innej eschatologii (w tym wypadku „eschatologii wertykalnej”, w ścisłym znaczeniu związanej ze sprawami ostatecznymi, to znaczy wymykającymi się spod ludzkiego doświadczenia – przynajmniej takiego, który mógłby zostać wyrażony za pomocą intersubiektywnie sprawdzalnego języka)¹⁹, poza tą, której doświadczamy na co dzień. Nie oznacza to bynajmniej, że postawa Herberta jest „ateistyczna”, nie podobnego, to raczej poszukiwanie przejawiania się *sacrum* w materialnych przedmiotach poddanych procesowi rozpadu, i chociaż są nietrwale, tym niemniej naznaczone sensem daleko wykraczającym poza ich czasowo-przestrzenne usytuowanie w strukturze rzeczywistości. Stąd pretensja bohaterów wiersza „U wrót doliny”, którą można sformułować następująco: nie chcemy zbawienia, które pozbawiłoby nas przyjaźni z rzeczami, nie chcemy zbawienia, które zrywałoby więzy zrodzone w doczesności. Jeżeli chcesz nas zbawić Boże, to zbaw nas z tym, co nam bliskie, z tym – co być może niedoskonałe i banalne z Twojego punktu widzenia, lecz dla nas jedyne i niepowtarzalne. Nie oddzielaj matek od dzieci, żon od mężów. Zostaw nam nasze kanarki, siekiery, listy, wstążki i fotografie. Zostaw to wszystko, co pachnie ziemią, co z ziemi wyszło, a bez czego nie potrafimy być szczęśliwi. Nie odbieraj nam tej namiastki, tego, co naprawdę nasze – ziemi.

¹⁹ Dla zrozumienia mechanizmów rządzących w poezji Herberta zagadnieniami ostatecznymi, podział na: 1. „eschatologię wertykalną” – w ścisłym stopniu związaną z bytowaniem pośmiertnym oraz 2. „eschatologię horyzontalną” – znajdującą swoje wypełnienie w doczesności, posiada podstawowe znaczenie. Staje się bowiem skutecznym narzędziem interpretacyjnym zwłaszcza tam, gdzie same wiersze nie pomagają w jasnym rozeznaniu.

Przynajmniej w kilku wierszach z tomu „Hermes, pies i gwiazda”, pojawiają się aniołowie jako centralne postaci liryczne²⁰. Warto w tym miejscu pokusić się o krótką charakterystykę teologiczno-filozoficzną zagadnienia istnienia czystych inteligencji. Rzeczownik „anioł” nie jest określeniem natury, lecz funkcji. Hebrajskie słowo *mal'ak*, oraz greckie *angelos*, oznaczają tyle, co „wysłannik”. Aniołowie są duchami przeznaczonymi do pomocy starającym się osiąść zbawienie²¹. Wymykając się spod naturalnego poznania stanowią oni skutek tego świat tajemniczy. Stary Testament często przedstawiał Boga na wzór wschodniego władcy²². W ten sposób znaleźć można opisy dworu Jahwe. Aniołowie spełniają na dworze Boga rolę Jego sług²³. Są oni również nazywani świętymi²⁴ albo synami Bożymi²⁵. Znajdują się wśród nich cherubiny – ich określenie jest pochodzenia mezopotamskiego – którzy podtrzymują tron Boga²⁶, ciągną Jego wóz²⁷, służą Mu za pojazd²⁸ lub pilnują Jego posiadłości, by nie weszło do niej nic, co nie jest święte²⁹. Serafini natomiast – „płonący”, wyśpiewują chwałę Boga³⁰. Spotyka się również cherubinów w ikonografii świątyni, gdzie swymi skrzydłami okrywają arkę³¹. Wszyscy aniołowie – zwani często „zastępami niebieskimi”³² – powiększają chwałę Boga. Aniołowie pozostają zawsze do dyspozycji Boga³³, oraz stanowią pewną więź pomiędzy niebem a ziemią³⁴. Początkowo wszystkim aniołom bez różnicy przypisywano czyny dobre i złe³⁵. Jednakże od czasów niewoli, zadania aniołów są bardziej sprecyzowane, a sami aniołowie otrzymują pewne kwalifikacje moralne w zależności od roli, jaką spełniają. Z jednej bowiem strony mamy dobrych aniołów, z drugiej zaś szatana i demony. Pomiędzy tymi dwoma ugrupowaniami panuje ustawiczna niezgoda³⁶. Aniołowie otrzymują imiona wiążące się z ich funkcjami: Rafael – „Bóg uleczyl”³⁷, Gabriel – „Bohater Boży”³⁸, Michał – „Któż jak Bóg?”³⁹. W Nowym Testamencie wylicza się archaniołów⁴⁰, cherubinów⁴¹, Trony, Panowania, Potęgi⁴², do których dochodzą gdzie indziej Moce⁴³. Hierarchia powyższa, zróżnicowana, jeżeli chodzi o nazwy poszczególnych stopni, nie ma charakteru nauki już zdeterminowanej. W Nowym Testamencie aniołowie występują jako byty podporządkowane objawieniu Jezusa Chrystusa. Ewangelisci mówią o serdecznym obcowaniu Jezusa z aniołami⁴⁴. Jezus wspomina aniołów jako byty rzeczywiste i działające. Czuwając nad ludźmi, widzą jednak oblicze Boga⁴⁵. Egzystencja aniołów wolna jest od skrępowania ciałem⁴⁶. Mimo tego, iż aniołowie nie wiedzą kiedy nastąpi Sąd Ostateczny, gdyż jest to tajemnicą woli samego Boga, to jednak właśnie one będą wykonawcami owego Sądu⁴⁷. Aniołowie mają towarzyszyć Jezusowi w dzień Jego powtórnego przyjścia⁴⁸. Wtedy to będą wstępować na Niego i zstępować z Niego⁴⁹, jak kiedyś zstępowali po

²⁰ Andrzej Kaliszewski sporo miejsca poświęca aniołom, zwłaszcza w rozdziale „Remont w zaświatach”. Por. Andrzej Kaliszewski, „Gry Pana Cogito”, dz. cyt., s. 114-137.

²¹ Zob. Hbr 1, 14.

²² Iz 6, 1n.

²³ Job 4, 18.

²⁴ Job 5, 1; 15, 15; Ps 89, 6; Dn 4, 10.

²⁵ Ps 29, 1; 89, 7; Pwp 32, 8.

²⁶ Ps 80, 2; 99, 1. Również w mistyce żydowskiej akcentuje się tę funkcję spełnianą przez anioły. Zob. G. Scholem, „Mistyccyzm żydowski i jego główne kierunki”, Warszawa 1997, s. 72-78.

²⁷ Ez 10, 1n.

²⁸ Ps 18, 11.

²⁹ Rdz 3, 24.

³⁰ Iz 6, 2n.

³¹ Wj 25, 18n.

³² Ps 148, 2; Neh 9, 6.

³³ Ps 103, 20.

³⁴ Rdz 28, 12.

³⁵ Job 1, 12.

³⁶ Zch 3, 1n.

³⁷ Tob 3, 17; 12, 15.

³⁸ Dn 8, 16; 9, 21.

³⁹ Temu ostatniemu jako głowie aniołów została oddana w opiekę cała społeczność żydowska. Zob. Dn 10, 13.

⁴⁰ 1 Tes 4, 16; Jud 9.

⁴¹ Hbr 9, 5.

⁴² Kol 1, 16.

⁴³ Ef 1, 21.

⁴⁴ Mt 4, 11; Łk 22, 43.

⁴⁵ Mt 18, 10.

⁴⁶ Mt 22, 30.

⁴⁷ Mt 13, 39; 49; 24, 31.

⁴⁸ Mt, 25, 31.

⁴⁹ J 1, 51.

drabinie Jakuba⁵⁰. Chrystus wysłał anioły, żeby zgromadzili wybranych⁵¹ i z Królestwa usunęli potępionych⁵². Bóg poddał Chrystusowi anioły od chwili Jego zmartwychstania⁵³, bo są przecież stworzeni w Nim, przez Niego i dla Niego⁵⁴. Obecnie uznają Jego panowanie⁵⁵ a w Dniu Ostatecznym będą stanowić Jego straż przyboyczną⁵⁶. W ten sposób świat aniołów podporządkowuje się Chrystusowi, którego tajemnice już przedtem kontemlował⁵⁷. Aniołowie, tak jak było to w Starym Testamencie, są zwiastunami jakiegos istotnego pouczenia od Boga⁵⁸.

Również filozofia zajmowała się problematyką istnienia aniołów. Arystoteles przyjął istnienie inteligencji poruszających sfery niebieskie i nie przypisywał gwiazdom dusz. Majmonides uważał, że pierwsza zasada ruchu znajduje się w duszy wolnej od wszelkich czynności zmysłowych i ograniczonej do swej części umysłowej. Awerroes stał na stanowisku, że pierwsza zasada ruchu znajduje się w czystej i prostej inteligencji. Metafizyczne spekulacje nad hierarchicznymi stopniami bytu mają swoje źródło w neoplatońskiej nauce o emanacji. U Plotyna znajdujemy już zarys zróżnicowania w ramach pierwszego stopnia emanacji, a mianowicie inteligencji. Uzupełniają to Porfiriusz i Jamblich uznając w archaniołach i aniołach demony. Proklos doprowadza do pełnego kształtu naukę o inteligencjach, o ich bezwzględnej bezcielesności i prostocie. Aniołowie należą do rzędu demonów i bohaterów, istnieją poza czasem. Poznanie aniołów nie jest poznaniem dyskursywnym, lecz prostym poznaniem przez oświecenie. Pseudo-Dionizy dokonuje ostatecznej syntezy biblijnego pojęcia aniołów – wysłanników ze spekulacją neoplatońską. Nie tylko zdefiniował biblijne anioły jako czyste duchy, ale także uporządkował je według klasyfikacji i podzielił na trzy hierarchie, z których każda składa się z trzech klas⁵⁹. Albert Wielki i św. Bonawentura sprzeciwiali się utoż-

⁵⁰ Rdz 28, 10.

⁵¹ Ef 1, 20n.

⁵² 2 Tes 1, 7; Ap 14, 14-16.

⁵³ Gabriel jest przy dwukrotnym zwiastowaniu (Łk 1, 19.26), całe wojsko niebieskie daje o sobie znać w noc

Bożego Narodzenia (Łk 2, 9-14). Aniołowie donoszą również o Zmartwychstaniu (Mt 28, 5n.) i ukazują apostołom sens wniebowstąpienia (Dz 1, 10n.).

⁵⁴ Myślę, że dla współczesnego czytelnika będzie interesującym przedstawienie hierarchicznego podziału aniołów zaproponowanego przez Pseudo-Dionizego (IV/V w.) w jego dziele „O Hierarchii Niebieskiej”:

Trzy główne stopnie:

I. Aniołowie poznający istoty poznawalne umysłowo w takiej postaci, w jakiej wywodzą się one z pierwszego źródła wszystkiego, co istnieje, czyli z Boga.

II. Aniołowie, którzy poznają przedmioty umysłowo poznawalne jako podległe najpowszechniejszym przyczynom stworzonym.

III. Aniołowie poznający przedmioty umysłowo poznawalne jako odnoszące się do poszczególnych bytów i zależne od szczegółowych przyczyn.

Trzy różne porządki odpowiadające trzem głównym stopniom:

ad I. Oglądają istoty poznawalne umysłowo w samym Bogu. Bóg zaś jest celem każdego stworzenia. Aniołowie ci oglądają im właściwy najwyższy cel wszechświata – dobroć Bożą. Ci, którzy czynią to z największą jasnością to: **Serafini** – są oni rozplómienni, gorący miłością dla tego przedmiotu, którego tak doskonałą znajomość posiadają. **Cherubini** – „pełni wiedzy”. Oglądają oni dobroć Bożą już nie bezpośrednio i w niej samej, ale ze względu na to, że jest opatrnością. **Trony** – aniołowie, którzy oglądają bezpośrednio w nim samym rozrządzenie Bożych wyroków.

ad II. Dla nich Bóg nie jest jedynym przedmiotem poznania, w którym widzą oni rzeczy. Poznają je oni w wielości przyczyn powszechnych. Właściwym przedmiotem ich poznania jest ogólne rozrządzenie środków ze względu na cel. W tym porządku mamy: **Panowania** – są wykonawcami tego rozrządzenia. **Moce** – pomagają i dzielą w zależności od skutków to, co zostało im dane w sposób ogólny przez Panowania. **Potęgi** – zapobiegają one powikłaniom i szkodliwym zakłóceniom.

ad III. Poznają porządek Opatrzności Bożej w wielości przyczyn szczegółowych. **Księstwa** – zostały im powierzone bezpośrednie rządy nad sprawami ludzkimi. Przeznaczeni są oni do czuwania nad dobrem państw i narodów. Czuwają nad podziałem na królestwa, przyznaniu przewagi temu lub innemu narodowi, doglądają postępowania władców i możnych. **Archaniołowie** – w ich kompetencji znajdują się prawdy wiary, w które trzeba wierzyć i należy kult jaki trzeba Bogu oddawać. Przekazują oni również uroczyste poselstwa jakie Bóg za ich pośrednictwem kieruje. **Aniołowie stróżowie** – zajmują się sprawami osobistymi każdego człowieka.

⁵⁵ Mt 13, 41.

⁵⁶ Ap 5, 11n.; 7, 11n.

⁵¹ Mt 24, 31.

⁵⁴ Kol 1, 16.

⁵⁷ 1 Tym 3, 16.

samianiu aniołów z inteligencjami, tą samą linią poszedł św. Tomasz z Akwinu, który przedstawił najpełniejszą filozoficzną interpretację bytowej natury aniołów. Według Akwinaty Bóg powołuje stworzenia do bytu swym umysłem i wolą. Doskonałość świata wymaga zatem istnienia stworzeń obdarzonych umysłem. Przedmiotem intelektu jest to, co powszechne; ciało zaś, jako materialne, oraz wszelka władza cielesna są z natury ograniczone do jednego szczegółowego sposobu bytowania. Dlatego stworzenia obdarzone w wyższym stopniu umysłem mogą być tylko bezcielesne. Zatem – mówi św. Tomasz – doskonałość wszechświata wymaga istnienia bytów całkowicie wolnych od materii, czyli od ciała. W systemie św. Tomasza istnieje konieczność przyjęcia istnienia czystych inteligencji znajdujących się bezpośrednio poniżej Boga. Ponieważ dzieła powołane do istnienia przez Boga są z natury uporządkowane w sposób ciągły, według malejącej doskonałości – gdzie na samym szczycie znajduje się byt absolutnie prosty, czyli Bóg – to tym samym nie można przyjąć, aby bezpośrednio poniżej Boga znalazła się substancja tak wybitnie złożona i podzielna, jaką jest ciało. Musimy zatem przyjąć istnienie wielu stopni pośrednich, poprzez które moglibyśmy zstępować od najwyższej prostoty Boga do złożonej różnorodności ciał materialnych. Jedne z nich stanowią substancje obdarzone umysłem, połączone z ciałami; drugie zaś stanowią substancje obdarzone umysłem, wolne od wszelkiego związku z materią. I właśnie te substancje nazywamy aniołami. Św. Tomasz uważa, że duchowa substancja stworzona, którą zwiemy aniołem, działa w ten sposób, iż oświeca anioła bezpośrednio od siebie niższego, a podlega w ten sposób, że jest oświecona przez anioła bezpośrednio od siebie wyższego. Ponieważ aniołowie nie mają materii, to każdy z nich jest gatunkowo różny od innych, czyli jednostka jako taka stanowi tutaj osobny gatunek. Właściwą czynnością czystych inteligencji jest samo poznawanie umysłowe. O ile u Boga istota utożsamia się z Jego istnieniem, a Boże istnienie jest nieskończone i obejmuje cały byt, o tyle w bycie anielskim istota nie jest tożsama z istnieniem, stąd u aniołów, w ich sposobie poznania, występuje mnogość cechująca zawsze stworzenie. Aniołowie, jako byty stworzone przez Boga, poznają zawsze jedynie pewną określoną część bytu, a nie jego całość⁶⁰.

Ale powróćmy do Herberta. W wierszu „Siódmy anioł”⁶¹ autor „Hermesa, psa i gwiazdy”, wprowadzając postać „Szemkela”, stara się przelamać opozycję pomiędzy światem ziemskim a rzeczywistością anielską. Jednakże cenę jaką przychodzi zapłacić Szemkelowi za tak „ambitny” zamiar jest uszczerbek, ba pozbawienie go głównego atrybutu anielskości – doskonałości. Nie jest on bowiem tak jak Gabriel: „złościsty / podpora tronu / i baldachim”, ani jak Rafael – „stroiciel chórów”. Nie obdarzono go żadną dostojną czynnością, nie posiada też szczególnych przymiotów: przywódczych, jak Michał („cały w łuskach i pióropuszcach”), intelektualnych, jak Azrael („geometra nieskończoności / doskonały znawca fizyki teoretycznej”), albo Dedrael („apologe- ta i kabalista”); estetycznych, jak Azrafael („dekorator świata / opiekun bujnej wegetacji”). Szemkel jest zwykły, zwyczajny: „jest czarny i nerwowy”. Nie cieszy się dobrą

⁶⁰ Na temat Tomaszowej koncepcji czystych inteligencji zob. Etienne Gilson, „Tomizm”, Warszawa 196.

⁶¹ Wnikliwie przypatruje się temu autorowi Andrzej Kaliszewski, poszukując zwłaszcza wytłumaczenia dla pojawiających się w wierszu imion archaniołów. Por. Andrzej Kaliszewski, „Gry Pana Cogito”, dz. cyt., s. 114-121.

opinią wśród innych aniołów. Sarkają na niego: „dlaczego nie jesteś doskonały”. Głównym przestępstwem jakiego notorycznie dopuszcza się Szemkel, jest przemyt grzeszników. W opinii innych aniołów ten proceder jest naganny, dlatego Szemkel: „był wielokrotnie karany”. Mało tego, uważają oni, iż taka postawa jest wyrazem braku szacunku wobec anielskiej godności. Z wyrzutem stwierdzają: „nie nie ceni swojej godności / i utrzymują go w zastępie / tylko ze względu na liczbę siedem”. Polem działalności Szemkela jest kontinuum: „między otchłanią / a niebem / jego tupot nieustanny”. Można powiedzieć, że Szemkel choć lekceważony przez inne anioły, jako jedyny z nich przekracza przestrzeń wyznaczoną przez anielskość. Jedyny zbliża się do człowieka, ratuje go („przemycą”). Zatem paradoksalnie rzecz ujmując, tylko Szemkel ma w sobie ludzkie (nie anielskie!) uczucia. Jest pełen współczucia, troszczy się o ludzi, w końcu ratuje ich przed „otchłanią”. „Nie-ludzki” Szemkel okazuje się „nie-anielskim” aniołem: „czarny(m) nerwowy(m) / w starej wyleniającej aureoli”.

Wiersz ten wyraża Herbertowskie przekonanie o radykalnym oddzieleniu tego, co niebiańskie, od tego, co ziemskie. Nawet Szemkel, który przekracza granice anielskiej przyzwoitości zwracając się w stronę śmiertelnych ludzi, u swoich, u aniołów, traktowany jest z lekceważeniem, trzymany na siłę, tylko dla zachowania doskonałej formy: „tylko ze względu na liczbę siedem”. W świecie Herbertowskiej poezji przepaść między wiecznością a doczesnością – nawet wtedy, kiedy na krótko zostaje przezwyciężona (lub zawieszona), – i tak od razu staje się stanem nagannym, nienormalnym, budzącym sprzeciw i, jak w przypadku Szemkela sarkazm. Wylamanie się spod zasady nieprzystawalności i radykalnego bytowego rozdzielania rzeczywistości ziemskiej od niebiańskiej, wzbudzi zawsze sprzeciw, naruszy odwieczny porządek bytowej gradacji.

Nie brak w tym wierszu również, tak charakterystycznej dla całej twórczości Herberta, ironii. Oto bowiem, pomimo swoistego pęknięcia w szeregach anielskich i wstydlivego wylamania się zeń Szemkela:

*malarze bizantyńscy
kiedy malują siedmiu
odtwarzają Szemkela
podobnego do tamtych*

*sądzą bowiem
że popadliby w herezję
gdyby wymalowali go
takim jak jest
czarny nerwowy
w starej wyleniającej aureoli*

HPG, 61

Okazuje się, że nie sposób odebrać aniołowi tego, co bez względu na okoliczności, zawsze będzie jego atrybutem – doskonałości.

Podobny motyw „przełamania” bytowej nieprzystawalności świata anielskiego i ludzkiego znajdujemy w prozie poetyckiej „Siedmiu aniołów”:

*Co rano przychodzi siedmiu aniołów. Wehódzą bez pukania. Jeden z nich
nagłym ruchem wyjmuje mi z piersi serce. Przyklada do ust. Inni robią to samo.
Wtedy usychają im skrzydła, a twarze ze srebrnych stają się purpurowe. Odchodzą
ciężko tłukąc sabotami. Serce zostawiają na krześle jak pusty garnuszek. Cały dzień
trzeba napelnić, aby nad ranem aniołowie nie odchodzili srebrni i skrzydlaci.*

HPG, 128

Aniołowie spożywają „serce”. Następuje przemiana bytowa – trudna do wyobrażenia sobie w świetle filozofii neoplatonickiej – czyste duchy łączą się z materią. Przelatują przepaść, jaka dzieli ich od ludzi. Przystają być anielskimi, aby doświadczyć tego, co znaczy być ludzkimi: „Wtedy usychają im skrzydła, a twarze ze srebrnych stają się purpurowe”. Serce pozostawione na krześle „jak pusty garnuszek” trzeba napelnić tym, co ludzkie, tym, co dalekie i różne od anielskiego. Trzeba napelnić „krwią”, w której znajdują się wzloty i upadki, radości i cierpienia, jednym słowem wszystko, co składa się na ludzką egzystencję. A należy to robić – choćby tylko po to, „aby nad ranem aniołowie nie odchodzili srebrni i skrzydlaci”. To znaczy po to, aby zatrzymać jak najdłużej aniołów w kręgu ludzkich spraw. Taki proces można nazwać „oswajaniem” aniołów, ich „uczłowieczaniem”, co akurat mało ma wspólnego z ich demitologizacją, jak chciał tego Kaliszewski. Dopatruję się raczej tutaj próby nawiązania kontaktu z aniołami, próby poszukiwania przez Herberta drogi powrotu do utraconego Raju, do sfery uniwersalnych prawd⁶². To między innymi aniołowie stoją na straży stałości niebiańskiego świata. I nawet ich zstępowanie w rzeczywistość ziemską, ich pozbywanie się „skrzydeł”, w niczym nie pomniejsza różnicy, jaka jest między nimi a ludźmi, choć niewątpliwie stwarza okazję dla niematerialnych bytów do włączenia się w krąg ludzkich doświadczeń. Ale można oczywiście na ten wiersz spojrzeć w odwrotny sposób: to anielskość poszukuje dla siebie samej wypełnienia w doczesności. „Każdego dnia”, z jakimś permanentnym zamiarem, świat niebiański wkrada się w doczesną, poddaną zmienności i rozkładowi rzeczywistość. Ostateczność i definitywność poszukuje dla siebie samej wolnej przestrzeni w świecie pełnym chaosu, artefaktów i przypadkowości. Nie chciałbym rozstrzygać w tym miejscu tej kwestii, choć wyraźnie pragnę wskazać na częstą w poezji Herberta ambiwalencję i otwartość na różne, niekiedy nawet idące w przeciwnych kierunkach, interpretacje.

Interesujące światło na te kwestie rzuca proza poeticka „Samobójca”:

*Był taki teatralny. Stał przed lustrem w czarnym ubraniu z kwiatem
w butonierce. Włożył do ust narzędzie, czekał, aż lufa ociepli się, i uśmiechając
się z rozstargnieniem do swego odbicia – strzelił.
Spadł jak płaszcz zrzucony z ramion, ale dusza stała jeszcze jakiś czas potrząsając*

⁶² Zbigniew Herbert napisze po latach: „Zawsze chciałem kochać, uwielbiać, padać na kolana i bić czołem przed wielkością, mimo że nas przerasta i poraża, bo jaka byłaby to wielkość, gdyby nie przerastała i nie porażała”. Por. Zbigniew Herbert, „Labirynt nad morzem”, „Twórczość” 1973, nr 2, s. 8-9.

głową coraz lżejszą, coraz lżejszą. A potem ociągając się weszła w to zakrwawione u szczytu ciała w chwili, gdy wyrównywała się jego temperatura z temperaturą przedmiotów, co – jak wiadomo – wróży długowieczność.

HPG, 163

Dusza samobójcy – a może dusza każdego człowieka – nie opuszcza go w momencie śmierci, nie wyzwała się – jak życzył sobie Platon – z niepotrzebnego garnituru, jakim jest ciało. Dusza wchodzi z powrotem w śmiertelne ciało, zaczyna w nim zamieszkiwać w jakiejś organicznej, choć przecież niematerialnej symbiozie. Momentem zamieszkania duszy w ciele jest chwila: „gdy wyrównywała się jego temperatura z temperaturą przedmiotów”. Okazuje się bowiem, że długowieczność ciała jest długowiecznością przedmiotów. Ostatecznie nic nie ginie na tym świecie, wszystko przyjmuje, co najwyżej, postać pierwiastków będących budulcem przedmiotów. Takim stanem, stanem przedmiotu, dusza wcale nie pogardza. Nie ma w niej żadnej niebiańskiej tęsknoty, jakiegoś gestu niezadowolenia lub rozpacz. W zupełności zadawała się – choć „ociągając się” – śmiertelnym ciałem, aby w jego towarzystwie „długowiecznie” egzystować. W tej prozie poetyckiej mamy po raz kolejny do czynienia z zamianą desygnatów podpadających pod eschatologię i doczesność. To, co niejako z natury swojej powinno realizować się w scenerii niebiańskiej, to znaczy wieczna egzystencja niematerialnej duszy, u Herberta znajduje swoje miejsce na ziemi, w tym doczesnym świecie. Miejscem eschatologicznego przebywania ludzkiej duszy jest ciało, które po śmierci przynależy – za ledwie – do świata przedmiotów. To właśnie ten, zmysłowo postrzegalny świat, staje się areną eschatologicznych rozstrzygnięć. Dusza nie traci nic ze swoich atrybutów, poza brakiem platońskiej tęsknoty za innym, niż ziemski, światem. Trudno w tym momencie rozstrzygnąć, jakie są powody tego stanu rzeczy. Czy chodzi tutaj o erozję niebiańskich pragnień i oczekiwania na indywidualne, jednostkowe zbawienie? Czy też może o swoiście pojętą solidarność ze śmiertelnym ciałem, w którym przecież dusza miała schronienie (choć z platońskiego punktu widzenia nie chciane), a wedle filozofii tomistycznej współkonstituowała osobę ludzką.

Zamknięcie eschatologii w doczesności zdaje się mieć u Herberta jeszcze inne, bardziej psychologiczne podłoże. Ponieważ nawet mocą własnej wyobraźni nie jesteśmy w stanie spenetrować nieba jako hipotetycznego miejsca (lub stanu) egzystencji człowieka po śmierci; wygodniejszym zatem wydaje się przyjęcie takiej koncepcji, w której eschatologiczne (niebiańskie) oczekiwania mogłyby zostać zrealizowane w doczesnej, intersubiektywnie komunikowalnej i sprawdzalnej rzeczywistości. Można więc śmiało zaryzykować tezę, iż w poezji Herberta oba światy: doczesny i wieczny, ziemski i niebiański współlistnieją ze sobą, przenikają się wzajemnie. Oba światy są rzeczywistościami eschatologicznymi, choć tylko jeden z nich – ten ziemski – eschatologiczność jest w stanie wyrazić. Tak więc poezja Herberta to *theatrum mundi*, gdzie wszystko, co tylko zjawiskowe, kruche i poddane śmierci, nie przestaje być otwarte na to, co wieczne, niezniszczalne i ostateczne.

W innym wierszu: „Raj teologów”, Herbert zdaje się odpowiadać na pytanie o przyczyny niechęci do skonwencjonalizowanej wizji niebiańskiej rzeczywistości.

Aleje długie aleje, wysadzone drzewami starannie przyciętymi jak w parku angielskim. Czasem przechodzi tędy anioł. Włosy starannie utrefione, skrzydła szumiące laciną. Ma w ręku zgrabny przyrząd zwany sylogizmem. Idzie szybko nie poruszając powietrza i piasku. Mija w milczeniu kamienne symbole cnót, czyste jakości, idee przedmiotów i wiele innych rzeczy zupełnie niewyobrażalnych. Nie zniika nigdy z oczu, bowiem nie ma tu perspektyw. Orkiestry i chóry milczą, ale muzyka jest obecna. Jest pusto. Teologowie mówią przestronnie. To też ma być dowód.

HPG, 122

W wierszu panuje atmosfera porządku, ład, harmonii. Przechadzający się (czasem) po Raju anioł jest pełen powagi, godności i opanowania, „włosy starannie utrefione, skrzydła szumiące laciną. Ma w ręku zgrabny przyrząd zwany sylogizmem”. Oczywiście można się tutaj dopatrywać gorzkiej nuty ironii na pewną formę scholastycznej wyobraźni, próbującej w logiczny sposób wytłumaczyć to, co przecież wymyka się czysto racjonalistycznemu myśleniu. Anioł zachowuje się w Raju jak w muzeum, gdzie nie wolno niczego dotykać, a jedyną sensowną rzeczą jest nie dać poznać przedmiotom niedyskretnego procederu podglądania ich doskonałości. Dlatego też anioł: „Idzie szybko, nie poruszając powietrza i piasku. Mija w milczeniu kamienne symbole cnót, czyste jakości, idee przedmiotów i wiele innych rzeczy zupełnie niewyobrażalnych”. Sztuczność i muzealność tego opisu jest bardzo wyraźna. To, co najbardziej rzuca się w oczy to stwierdzenie, że w Raju „jest pusto”. Okazuje się, że nie ma w nim nikogo. Raj jest niezamieszkały. Jest bezludny. Raj teologów jest zatem czystą abstrakcją, rzeczywistością nie wychodzącą poza niesprzeczne dywagacje lotnych umysłów. Teologiczne wizje i koncepcje Raju okazują się w swoim ukonkretnieniu groteskowe, śmieszne, pomimo tego, że: „teologowie mówią przestronnie”. Oczywiście tak przedstawiona wizja Raju nie zachęci nikogo do wysiłków w celu jego osiągnięcia. Raj teologów jest śmieszną, jakby wprost z opery buffo wziętą rzeczywistością, na którego istnienie być może można znaleźć dowód, ale w którym nie sposób przebywać. Stąd wniosek, że Herbert w swojej poezji nie takiego, nie-ludzkiego Raju będzie poszukiwał⁶³.

Jeśli nie w teologicznych wizjach można odnaleźć drogę powrotną do Raju, to na pewno zbyt daleko nie trzeba szukać piekła. Jest ono nawet całkiem blisko, na wyciągnięcie dłoni, stanowi najbliższe otoczenie człowieka. Świetny wiersz „Piekło” dobitnie o tym przekonuje. Treścią tak realizującego się piekła są upadki i cierpienia zwykłych ludzi. Ich pogmatwane losy. Piekło nie przeraża swoją niezwykłością. To raczej zwyczajność stanowi jego integralną, ba, esencjalną cechę. Piętrowość piekła jest równoległa z piętrowością kamienicy, w której ludzie każdego dnia doświadczają jego przemożnego działania. Tak więc na poddaszu wiszą zwłoki dziewczyny – „zaplątane w sznury [...] które księżyc zapomniał wciągnąć do siebie i zostawił na pastwę plotkarek i pajaków”. Niżej piekło objawia się w inny sposób – „Kobieta czyta list, chłodzi

⁶³ Stanisław Barańczak w takich wierszach jak: „Siódmy anioł”, „Raj teologów” czy też „Siedmiu aniołów” widzi w nieziemskich bohaterach jedynie formalną figurę, będącą podstawą do zaakcentowania centralnej opozycji między tym, co doczesne – człowiecze, a tym, co wobec doczesności stoi w opozycji. Por. „Uciekinier z Utopii”, dz. cyt. s. 112-123.

twarz pudrem i znów czyta". Być może to list miłosny, a może informacja o czyjejs śmierci, chorobie lub zdradzie. „Na pierwszym piętrze” – młody człowiek rozmyśla nad piekłem własnego ubóstwa, nad upokorzeniem, jakie przyjdzie mu znieść, kiedy będzie musiał wyjść na ulicę w „rozlatujących się butach”. I wreszcie na dole, w kawiarni, widzimy parę przyrzekającą sobie: „będziemy zawsze razem”. To piekło niemożliwości osiągnięcia jedności, piekło poróżnienia, chaosu, w jaki wpada nasza indywidualność, jednostkowość, niepowtarzalność, kiedy potrzeba, aby dała coś z siebie drugiej osobie. Obraz piekła jaki proponuje nam Herbert przeraża zwykłością. Nieomal każdy z nas z łatwością mógłby odnaleźć się w jednej z przedstawionych sytuacji – na którymś z „pięter” piekła. Piekło to nieustanne doświadczanie braku⁶⁴, niedostatku, niezrozumienia. Piekło zatem jest na ziemi, jego eschatologiczna definitywność znajduje swoje miejsce w życiowych sytuacjach, w jakie uwikłany jest człowiek, nie pozwalając mu zarazem na pełną realizację potencjalności w nim tkwiących.

4. Konkluzje

Nie sposób w krótkim szkicu zająć się wszystkimi aspektami Herbertowskiej eschatologii. Chodzi mi raczej o postawienie na nowo pytania o zasadniczy rys tej poezji, o zasygnalizowanie przy okazji wznowienia tomu „Hermes, pies i gwiazda”, poła niedostatecznie moim zdaniem dotychczas poddanego krytycznej penetracji. Dużo światła w tym względzie rzuciły rozważania Stanisława Barańczaka, który interpretował poezję Herberta śledząc konfrontację obszaru „dziedzictwa” z obszarem „wydziedziczenia”⁶⁵. Myślę, że o ile określenie Herberta jako poety religijnego jest z pewnością nieuprawnioną supozycją, o tyle postrzeganie jego twórczości w perspektywie eschatologicznej wydaje się czymś jak najbardziej oczywistym. Dlaczego? Dlatego, że w istocie swojej ta poezja jest niczym innym, jak poszukiwaniem definitywnych rozwiązań i to zarówno w płaszczyźnie estetycznej, jak również – a może nade wszystko – w wymiarze etycznym. Okazuje się bowiem, że wiersze Herberta są eschatologiczne nie zawsze w sposób religijny, eschatologiczna postawa, jaką odnajdujemy w poezji autora „Hermesa, psa i gwiazdy”, transcenduje wierzenia każdej partykularnej religii, nie niwelując jednakże tego, co dla samej eschatologii jest jej *spiritus movens*, to znaczy definitywności i ostateczności rozstrzygnięć. Jeśli zatem nie mogę osiągnąć Raju jako idealnego stanu równowagi, moralnej harmonii, pogodzenia żywiołów i sprzeczności – to już sama ta konstatacja w ustach Herberta nosi rys eschatologiczny, jakiejś ostatecznej i definitywnej konkluzji. Poezja Herberta jest eschatologiczna na sposób,

⁶⁴ Inaczej kwestię tę interpretuje Krzysztof Dybciak: „Starą zasadę św. Augustyna [...] głoszącą, iż zło jest brakiem i podobnie brzydota niczym pozytywnym, lecz jedynie brakiem – zmienia polski poeta na prawidło głoszące, iż brzydota jest nadmiarem, a nawet generalnie: zło jest nadmiarem czy to energii, czy składników, a w rezultacie: chaosem, nieustabilizowaniem, agresją”. Por. Krzysztof Dybciak, „Gry i katastrofy”, Warszawa 1980, s. 150.

⁶⁵ Stanisław Barańczak pisze: „[...] centralny w naszych dotychczasowych rozważaniach problem konfrontacji obszaru «dziedzictwa» z obszarem «wydziedziczenia», stanem wygnania, ekspatriacji, banieji z symbolicznej Arkadii lub Raju, nabiera szczególnego znaczenia w tych wierszach Herberta, w których funkcjonuje w kilku naraz perspektywach – życia jednostki, dziejów określonego narodu lub cywilizacji, historii ludzkości w ogóle. Wspólnym mianownikiem jest tu pojęcie d o r a s t a n i a: od dzieciństwa do wieku dojrzałego, od idyllicznej nierwotności do skomplikowanej współczesności, od mitu do wiedzy wyniesionej ze zbiorowych doświadczeń”. Stanisław Barańczak, „Uciekinier z Utopii”, dz. cyt. s. 121.

który można nazwać „transreligijnym”, przekraczając to, co w każdej z religii jest partykularne i swoiste, zatrzymując zarazem dla siebie to, co jest im wspólne: jakąś definitywność, ostateczność rozstrzygnięć. I nawet ironia – potężny instrument, jakim posługuje się autor „Struny światła” a, nie jest niczym innym jak narzędziem, dzięki któremu ujawnia się to, co definitywne, to, co eschatologiczne. Można wręcz zaryzykować tezę, iż świat wierzeń kultury grecko-hellenistycznej i judeo-chrześcijańskiej pojawia się w poezji Herberta jako *p r e t e k s t* do opisanego centralnego wehikulu, jakim jest eschatologia. Paradoksalnie możemy stwierdzić, że wszędzie tam, gdzie Herbert zmagają się z rozumem, ujawnia się jego eschatologiczna postawa względem rzeczywistości. Jedynym miejscem, gdzie ona wygasa, jest ślepa, nie poszukująca zrozumienia wiara – wtedy to właśnie poetyckie *alter ego* Herberta najmocniej zbliża się do jednej z podstawowych zasad wiary ewangelickiej – *sola fide*⁶⁶.

Aniołowie w poezji Herberta pełnią rolę postaci typicznych, to znaczy konkretyzują pewną rzeczywistość przedmiotową. Z reguły tą rzeczywistością jest stały, niezmienny, doskonały świat niebiański. W ten sposób stanowią oni rzeczywistość antytetyczną względem sytuacji bytowej, w jakiej znajduje się człowiek. Ten ostatni bowiem zanurzony jest w materii, dotknięty ograniczonością, zmiennością i śmiertelnością, nie posiada w samym sobie dostatecznej ilości atrybutów, dzięki którym mógłby zniwelować przepaść oddzielającą go od świata doskonałego. Dlatego też bohaterowie Herbertowskich wierszy z zachwytem, ale i często nie ukrywanym żalem i zazdrością (pomimo maski ironii), postrzegają świat niebiański jako synonim rzeczywistości doskonałej, do której człowiek – wygnaniec z Raju – chciałby znaleźć drogę powrotu. I co ciekawe, wszędzie tam, gdzie anielskość staje naprzeciw człowieczeństwa, wówczas człowiek nakłada maskę ironii, jak gdyby chciał ukryć swoje zażenowanie, powiem więcej, rozpacz z powodu nierówności i przeciwstawności sytuacji bytowej, w jakiej przyszło mu egzystować na ziemi, w miejscu archetypicznego wygnania. W ten sposób zabieg, jakiego dokonuje Herbert, jest nie tyle zabiegiem demitologizacji – czyli pozbawienia przypisanych danej rzeczywistości cech i atrybutów – lecz raczej to proces „transmitologizacji”, gdzie podkreślona zostaje bytowa różnica, wręcz przepaść pomiędzy tym, co skończone, ziemskie, ograniczenie i śmiertelne, a tym, co niebiańskie, wieczne, niezmiennie i nieśmiertelne. W tym sensie generalną kwestią, jaka staje przed każdym interpretatorem Herbertowskiej poezji, staje się pytanie o *s p o s ó b*, w jaki owa bytowa różnica może zostać przezwyciężona. To jednak jest już zagadnienie na zupełnie inny szkic.

Mirosław Dzieli

⁶⁶ Ma to miejsce zwłaszcza w późnych zbiorach wierszy Zbigniewa Herberta. Przykładem może być „Modlitwa starców” z tomu „Elegia na odejście”. Związki poetyckiej postawy Herberta z protestantyzmem sygnalizowałem już wcześniej. Por. Mirosław Dzieli, „Czas pożegnań: Miłosz, Herbert i Ten Trzeci”, „Kwartalnik Artystyczny” 1996, nr 1, s. 129-135.

TRZY WIERSZE

Trzy najważniejsze wiersze polskiej poezji XX wieku. Po Czesławie Miłoszu („Kwartalnik Artystyczny” nr 3/15/1997) i Stanisławie Lemie (nr 4/16/1997) prezentujemy wybór Jana Józefa Szczepańskiego. Kolejna odpowiedź w następnym numerze. (red.)

Jan Józef Szczepański

* * *

Oto trzy wiersze do ankiety „Kwartalnika Artystycznego”:

Bolesław Leśmian

Ballada o dumnym rycerzu

Śpi owo rycerz, śpi bezrozumnie
I raz na zawsze – w dębowej trumnie.

Leży wygodnie, bo się ułożył
Tak, aby nigdy snu nie zatrwożył...

Jego kochanka z różańcem w ręku
Zawodzi pełna skargi i jęku:

„Przyszłam ci wyznać moje niemoce,
Że nie wiem, jak tam spędzasz swe noce?...

Bo odkąd w ciemnym nocujesz grobie –
Ani ty przy mnie – ni ja przy tobie!

Kochałam oczy i usta twoje,
Wczoraj kochałam, dzisiaj się boję!

Boję się szatą w mrok zaszeleścić,
Boję się w myśli ciebie popieścić!...

Trzy dni się w myśli twój czar promienił,
Dziś nie wiem, ile grób cię odmienił...

Ani mi z tobą łoża podzielić,
Ani urodą swoją weselić –

Darmo przymuszam uparte ciało,
By się twym oczom podobać chciało!

Przy tobie martwym – ja nieszczęśliwa
Wstydę się jeno, żem jeszcze żywa!...”

Rozważył rycerz, że w słowach – zdrada,
I po dawnemu leżąc, powiada:

„Choć mi robaki oczy wyżarły –
Nie wstyd mi tego, żem już – umarły!...

Chociaż podziemiec jestem nikczemny –
Nie wstyd mi tego, żem już podziemny!...

Taką mam sytość i przepych w próżni,
Że mnie od króla Bóg nie odróżni!

Taka noc błyska nad życia zbiegiem,
Że mi świat cały – jednym noclegiem!

Ani mi słońca, ani mi nieba,
Ani miłości twojej potrzeba!

Ani mi zemsty w onej ustroni,
Gdzie krew nie szemrze i miecz nie dzwoni!

Nie znasz ty dumy, nie znasz pogardy
Tych, którzy w ziemi posnęli twardej...

W piersi ich – wielka ciszy potęga
I żaden zawód ich nie dosięga!

I nawet z resztek zsiniałej wargi
Nie wydobędziesz jęku ni skargi!

Oto w pobliżu mam ja sąsiada,
Co już od serca w proch się rozpada.

Ten ci jest śmiercią ode mnie starszy –
I śpi, na źmijach głowę oparłszy.

Lecz co przecierpiał i co zobaczył –
Nawet półszepcetem wyrzec nie raczył!

Nie ulżył jękiem niemej żalobie,
Nie wyznał nigdy, co przeżył w grobie!...

A wszak ci w trupach taka moc bywa,
Że trup i w grobie wiele przeżywa!

Lecz Bogu chyba, w dzień zmartwychwstania,
W twarz rzuci wżgardę swego wyznania!”

I zamilkł rycerz – dumnie i godnie,
I po dawnemu leżał wygodnie.

Jego kochanka z różańcem w ręku
Odeszła, pełna wstydu i lęku...

Bolesław Leśmian

Kraina poezji

Do tej krainy idź ścieżkami tonów,
Z których się rodzą spokojne muzyki,
Granicą dźwięków jeszcze nie spełnionych,
Zaczętych tylko.

Jeżeli w noc czerwcową się rozlegnie
Brzęk, chrabąszcz w strunę u skrzypiec uderzy
Albo kot po klawiszach pazurkiem przebiegnie,
Możesz im wierzyć –
Idź, nim umilkną.

Do tej krainy – w Trzech Króli, wieczorem,
Gdy na kominie jasny ogień bucha
I rzędy rondli miedzianych oświetla,
A na ulicy śnieżnej tuż za domem
Huczy basetla.

Ledwo usypiasz, już przy tobie staje
Elf mały, z baśni zimowej norweskiej,
A wtedy miga niby baj po ścianie
Płomyk niebieski.

Stąpacie cicho, żeby nie obudzić
Rodziców, którzy śpią w dębowym łożu,
I – w lot kominem! w ciemny świat i czar
Białego mrozu.

Lot, lot. Noc w górze cicha i gwiazdzista,
W szronach na dole prześwituje siolo
I nagle wiosna. Na różowych listkach
Księżycy koło.

Do tej krainy – lecz jakąż jest ona,
Wybudowana gdzieś na zgasłych tonach,
Pożar ognistym mieczem wejścia strzeże,
Umarły gil ćwierka u jej bram,
Siedzą z głową na rękach polegli żołnierze,

Na miast ruinie rzędy lisich jam
I mlecz, i wrzos na zapomnianych schronach.

Tam śnieżna góra jest pienistą falą,
Co trwa sekundę na równinie mórz.
Nim w głąb upadnie, gdzie się perły palą,
Trzmiel z tulipana strząśnie żółty kurz.
Nim nowa fala, księżycem zwabiona,
Kłęknie i czoło powoli podźwignie,
Tysiącolecie ludzkie jedno skona,
A trzmiel w kielichu tulipana zniknie.

Do tej krainy przyjmij zaproszenie,
Nie pytaj, jak się dziś ona nazywa,
Wiesz, przez jak gorzkie tam idzie się cienie.
Czy jest szczęśliwa? Nie wiem, czy szczęśliwa.
Jak pióro strzały, która pierś przebiła,
Drga, błyszczy w słońcu i barwy przybiera –
Z bólem na zawsze ta ziemia złączona
I tylko smutek jej bramy otwiera.

Jeżeliś kłęski zaznał, dosięgl lat
Dojrzałych, patrząc na gruzy i zgliszcza,
I spustoszyła myśli twe jak wiatr
Litość najczystsza.

Jeżeliś nie chciał mówić odtąd nic,
Bo zapytałeś – po co, czy to warto
Straszliwy posąg, skamieniały krzyż
Ubierać farbą,

To wiedz, że ona blisko, żeś jest tuż.
I jeśli mówisz: żegnaj mi na wieki –
Witaj – odpowie echo z ziemskich puszczy,
Wstydliva czułość obmyje powieki
I każde dawne pożegnania słowo
Jest jak świtania dalekiego wstążka,
Rosa o brzasku, czeremchy gałązka
A gdyś oplakał ją – ona przed tobą.

Warszawa, 1942

Czesław Miłosz

Zbigniew Herbert

Do Marka Aurelego

Prof. Henrykowi Elzenbergowi

Dobranoc Marku lampę zgaś
i zamknij książkę Już nad głową
wznosi się srebrne larum gwiazd
to niebo mówi obcą mową
to barbarzyński okrzyk trwogi
którego nie zna twa łacina
to lęk odwieczny ciemny lęk
o kruchy ludzki łąd zaczyna
bić I zwycięży Słyszysz szum
to przyplływ Zburzy twe litery
żywiolów niewstrzymany nurt
aż runą światła ściany cztery
cóż nam – na wietrze drżeć
i znów w popioły chuchać mącić eter
gryźć palce szukać próżnych słów
i wlec za sobą cień poległych

więc lepiej Marku spokój zdejm
i ponad ciemność podaj rękę
nich drży gdy bije w zmysłów pięć
jak w wątlą lirę ślepy wszechświat
zdradzi nas wszechświat astronomia
rachunek gwiazd i mądrość traw
i twoja wielkość zbyt ogromna
i mój bezradny Marku płacz

Zbigniew Herbert

Poeci, których wymieniłem, są artystami najwyższej dla mnie miary i każdy ich wiersz zasługuje na szczególne wyróżnienie. Mógłbym wymienić szereg innych tytułów-wierszy równie dobrych, a nawet lepszych, przylegających do innych okoliczności, ale można by się zastanawiać bardzo długo. Nie proponuję więc żadnego „konkursu” między nimi, niech już będą te trzy.

Jestem przekonany, że ich twórczość będzie w przyszłości charakteryzować polską poezję naszych czasów.

Jan Józef Szczepański

„Nie chciałem zajmować się literaturą...”

Wywiady przeprowadzone przez: J. Darribehaude, J. Guenot, André Parinaud, Claude Sarraute, przetłumaczone na angielski przez Jamesa Sherwooda i Patricia Bowlesa.

Louis-Ferdinand Céline: – Więc co ja mogę panu powiedzieć? Nie mam pojęcia, co powiedzieć, żeby się spodobało pańskim czytelnikom. To są ludzie, z którymi trzeba się obchodzić delikatnie... Nie można ich szokować. Chcą, żebyśmy ich bawili, ale broń Boże bulwersowali. Tak... Więc rozmawiamy. Pisarz nie ma w sobie tak wielu książek. „Podróż do kresu nocy”, „Śmierć na kredyt” – na tym powinienem był przestać... Wdałem się w to bez ciekawości. Ciekawość zbyt drogo kosztuje. Stałem się kronikarzem tragedii. Wielu pisarzy szuka tragedii i nigdy się na nią nie natyka. Gromadzą w pamięci rozmaite drobne, osobiste historie, które tak naprawdę nie są tragediami. Powie pan: Grecy. Tragikom greckim wydawało się, że rozmawiają z bogami... Cóż, oczywiście... Ale, na rany Chrystusa, nie każdego dnia ma się okazję pogawędzić przez telefon z bogami.

– *A co było, pana zdaniem, największą tragedią naszych czasów?*

– Stalingrad. Oto co znaczy katharsis! Upadek Stalingradu to kres Europy. To był k a t a k l i z m. Stalingrad stanowił punkt kulminacyjny tego wszystkiego. Tam właśnie, można powiedzieć, skończyła się, i to skończyła na dobre, „Biała cywilizacja”. Więc wokół tego wszystkiego narobiło się trochę hałasu, trochę wrzenia – karabiny, wodospady. A ja tam byłem... I wykorzystałem to. Wykorzystałem ten materiał. Sprzedałem to. Oczywiście wplątałem się w różne historie – na przykład sprawa Żydów – które bynajmniej mnie nie dotyczyły, nie miałem żadnego interesu mieszać się w to. Nawet jeśli opisałem to wszystko... na swój sposób.

– *Sposób, który sprawił, że ukazanie się „Podróży do kresu nocy” wywołało skandal. Pański styl oburzył wielu ludzi, ponieważ byli przyzwyczajeni do czegoś zupełnie innego.*

– Zaraz zawołali, że wszystko wymyśliłem. Weźmy impresjonistów. Pewnego dnia zabrali swój malarski ekwipunek i wyszli z atelier, by malować pod gołym niebem. Zobaczyli, jak naprawdę wygląda piknik na trawie. Także muzycy postąpili w ten sposób. Między Bachem a Debussy'm jest wielka różnica. To było coś w rodzaju rewolucji. Wymieszali kolory, dźwięki. W moim przypadku chodziło o słowa. Co się tyczy literatury francuskiej, mam zamiar zachować ostrożność, nie chciałbym popełnić omyłki.



Louis-Ferdinand Céline

For. Archiwum

Ukształtowały nas różne religie – katolicka, protestancka, żydowska... Religie chrześcijańskie, krótko mówiąc. Przez całe stulecia o kształcie edukacji francuskiej decydowali jezuita. Nakazywali nam budować zdania na wzór fraz łacińskich – pięknie wyważone, z podmiotem, orzeczeniem, dopełnieniem, i posiadające pewien rytm. Słowem – język kazań nie miał nic wspólnego z językiem mówionym, i to język kazań był obowiązujący! Mówią o jakimś pisarzu: „Tworzy piękne zdania!”. Ja powiadam: „To nie do czytania”. Oni mówią: „Jaki wspaniały, teatralny język!”. Ja patrzę, słucham. To płaskie, blade, zgroza. Ja przeniosłem do moich książek prawdziwe słowo mówione. Dzięki mnie słowo mówione nareszcie ukazało się w druku. Dokonałem tego.

– *To właśnie nazywa pan swoją „małą muzyką”, nieprawdaż?*

– Nazywam ten język „małą muzyką”, ponieważ jestem skromny, ale trzeba było dokonać naprawdę wielkiej transformacji. To była harówka. Ludzie myślą, że osiągnąłem ten efekt ot tak sobie, bez żadnego trudu, ale na tym właśnie polega cała sztuka. Aby stworzyć powieść taką, jak jedna z moich, trzeba napisać osiem tysięcy stron i wybrać z nich osiemset. Niektórzy ludzie powiadają w rozmowie ze mną: „To kwestia wrodzonej elokwencji... On pisze tak jak mówi... To są słowa używane na co dzień... Praktycznie identyczne z tymi, którymi się na co dzień posługujemy... Rozpoznajesz je.” Cóż, to jest właśnie „transformacja”. Nie dokładnie to słowo, którego się spodziewasz, nie dokładnie ta sytuacja, której oczekujesz. Słowo użyte w taki sposób staje się zarazem bardziej osobiste i precyzyjniejsze, niż zwykle.

– *Co pan stara się pokazać?*

– Emocje. Savy, biolog, powiedział coś bardzo trafnego: Na początku była emocja, a słowa nie było wówczas wcale. Kiedy uklujesz amebę, skurczy się, doznała jakiejś emocji, nie powiedziała ani słowa, ale doznała emocji. Dzieci krzyczą, koń galopuje. Jedynie my posługujemy się słowami. Słowa stwarzają polityka, pisarza, proroka. Słowo jest straszliwe. Nie można go poczuć. Ale osiągnąć punkt, w którym można przelożyć tę emocję na słowa, to trudniejsze, niż można sobie wyobrazić... To niebezpieczne... Nadludzkie... To sztuczka, która może zabić magika.

– *Jednakże zawsze pan twierdził, że istnieje coś takiego, jak potrzeba pisania.*

– To nie jest kwestia wolnego wyboru. Musisz zapłacić. Nie jest nic warta historia, którą tylko wymyśliłeś. Wartość ma tylko historia, za poznanie której drogo zapłaciłeś. Jeśli zapłaciłeś, masz prawo ją przemienić. W innym przypadku to ohydne oszustwo. Ja pracuję... Zawarłem kontrakt, muszę go wypełnić. Tylko że dziś mam już 66 lat i w 75 procentach jestem kaleką. W moim wieku wielu ludzi już się wycofało. Jestem winien 6 milionów Gallimardowi... więc muszę ciągnąć to dalej... Mam już na warsztacie nową powieść... zawsze ta sama materia... Znam kilka powieści. Ale z powieściami jest trochę tak, jak z koronczarstwem... sztuką, która zniknęła wraz z klasztorami. Powieść nie może rywalizować z samochodami, kinem, telewizją, alkoholem. Zadowolony z siebie, dobrze się odżywiający facet, który ocalał w wielkiej wojnie, wieczerem daje całusa swojej podstarzałej żonie i tak się kończy jego dzień. Załatwione.

„Medycyna była moją fascynacją...”

Wywiad, jakiś czas później, w 1960 roku

– Czy pamięta pan jakiś wstrząs, jakieś literackie objawienie, które pana jakoś naznaczyło?

Louis-Ferdinand Céline: – Och, nie, nigdy! Poszedłem na studia medyczne i tym właśnie chciałem się zajmować, medycyną, z całą pewnością nie literaturą. Jezu Chryste, nie! Jeśli uważam jakichś ludzi za utalentowanych, to Paula Moranda, Ramuza, Barbusse’a, oni naprawdę zostali do tego stworzeni.

– W dzieciństwie nie chciał pan zostać pisarzem?

– Och, nie, wcale, nie, nie, nie. Miałem ogromny podziw dla doktorów. Tak, leczenie ludzi wydawało mi się czymś absolutnie wspaniałym. Medycyna była moją fascynacją.

– Kim był lekarz dla pana, jako dziecka?

– Po prostu facet, który przychodził do nas, do domu przy Passage Choiseul, aby zbadać moją chorą matkę, mojego ojca. Zobaczyłem cudownego faceta, który leczył, który wyprawiał zadziwiające rzeczy z ludzkim ciałem, kiedy nie chciało ono prawidłowo funkcjonować. Byłem porażony. Wyglądał na bardzo mądrego osobnika. Medycyna wydawała mi się czymś w rodzaju magii.

– A z czym dziś kojarzy się panu słowo „lekarz”?

– Ba! Teraz społeczeństwo tak źle obchodzi się z lekarzami, że byle szarlatan może stanowić dla nich konkurencję – nie mają żadnego prestiżu, żadnego prestiżu. Odkąd lekarz zaczął się ubierać jak pracownik stacji benzynowej, cóż, powoli stał się kimś w rodzaju pracownika stacji benzynowej. He? Nie ma już wiele do powiedzenia, bowiem każda gospodyni posiada Medycznego Larousse’a, no i poza tym same choroby stały się jakby blahsze, jest ich mniej: nie ma już syfilisu, nie ma rzeżączki, nie ma tyfusu. Antybiotyki pozbawiły medycynę jej tragizmu. Nie ma już wielkich plag, nie ma cholery.

– A choroby nerwów, choroby umysłowe, czy tych nie jest za to teraz więcej?

– Cóż, wobec tych chorób jesteśmy absolutnie bezsilni. Niektóre rodzaje szaleństwa mogą zabić, ale tylko nieliczne. Lecz co się tyczy pół-szaleńców – w Paryżu aż się od nich roi. Istnieje naturalna potrzeba poszukiwania ekscytacji, ale oczywiście wszystkie skrajności, z którymi ma się do czynienia na przedmieściach, budzą grozę... zwłaszcza co się tyczy nastolatków, czyż nie?

– Czy kiedy pracował pan w fabryce Forda, miał pan wrażenie, że tryb życia, jaki narzuca się robotnikom, sprzyja powstawaniu u nich zaburzeń umysłowych?

– Och, nie, wcale. Nie. Główny doktor w fabryce Forda zwykł był powiadać: „Mówią, że szympany zbierają bawelnę. Ja twierdzę, że byłoby lepiej zobaczyć, jak szympany obsługują maszyny”. Człowiek chory nadaje się lepiej, chorzy przywiązują się do fabryki, zaś zdrowi zawsze odchodzą prędzej czy później. Ale problemem, z jakim musi sobie poradzić ludzkość, nie jest teraz medycyna. To przede wszystkim kobiety zwracają się do lekarzy. Kobięte wypełnia niepokój, ponieważ, to jasne, podlega ona wszelkiego rodzaju słabościom. Potrzebuje ona... Chce pozostać młoda. Przechodzi swoją menopauzę, ma swoje miesiączki, wszystkie te płciowe sprawy, bardzo delikatne, to czyni z niej coś w rodzaju męczennicy, czyż nie?, i ta męczennica jakoś żyje, cza-



Mélan, 1 października 1933 r.

Fot. Archiwum

sem krwawi, czasem nie krwawi, udaje się do lekarza, poddaje operacjom, nie poddaje operacjom, znów jest operowana, w międzyczasie rodzi dzieci, traci figurę, wszystko to jest bardzo ważne, tak. Nie chce czegoś zrobić, nie może czegoś zrobić. Nie ma żadnego muskułu. To ogromny problem... o istnieniu którego niewiele wie. To jest racja bytu salonów piękności, po to są potrzebni znachorzy i handlarze narkotyków. Ale nie jest to sytuacja, którą mogłaby się zainteresować medycyna – kobiece trudności. To jak z wędną różą, nie powie pan, że to problem medyczny lub rolniczy. Kiedy będąc w ogrodzie widzisz usychającą różę, akceptujesz to. Inna wkrótce zakwitnie. Ale kobieta nie chce umierać. Tu właśnie jest pies pogrzebany.

– *Praktykując jako lekarz dowiedział się pan pewnych rzeczy i zyskał pewne doświadczenia, które wykorzystał pan w swoich książkach.*

– Och, tak. Och, tak, praktykowałem dwadzieścia pięć lat, to kawał czasu. W młodości wiele podróżowałem. Pokonaliśmy wiele schodów, poznaliśmy wielu ludzi. Muszę powiedzieć, że to mi pomogło w różnoraki sposób. Tak, pomogło mi ogromnie. Ale nie napisałem żadnej powieści na temat lekarzy, to by była straszna pila... jak Soubiran.

– *Pańska fascynacja medycyną zrodziła się bardzo wcześnie, a jednak zaczął pan od czegoś całkiem innego.*

– Tak. I to jak innego! Chcieli ze mnie zrobić sprzedawcę. Ekspedienta w sklepie! Nie mieliśmy niczego, moi rodzice nie mieli środków, pan tego nie może zrozumieć. Zacząłem życie w biedzie i tak też je kończę.

– *Jak wyglądały małe przedsiębiorstwa około roku 1900?*

– To była gorączka, gorączka. W tym sensie, że ledwo mieliśmy co do gąb włożyć, a równocześnie musieliśmy zachowywać pozory. Na przykład od strony Passage Choiseul mieliśmy dwie wystawy sklepowe, ale tylko jedna była oświetlona, ponieważ drugi sklep był pusty. I trzeba było posprzątać przed sklepem przed rozpoczęciem pracy. Mój ojciec. Z nim nie było żartów. Cóż. Moja matka miała koleczyki. Zawsze zastawialiśmy je pod koniec miesiąca, aby zapłacić za gaz. Och, nie, to było okropne.

– *Czy długo mieszkał pan przy Passage Choiseul?*

– Hm... osiemnaście lat. Aż wstąpiłem do wojska. Byliśmy w skrajnej nędzy. Gorzej, ponieważ będąc nędzarzem możesz popuścić sobie wodzy, stać się degeneratem, pijakiem, a myśmy stawiali nędzą czoło. Nasza nędza była nędzą pełną godności. To

straszne. Przez całe życie towarzyszył mi zapach klusek. Ponieważ moja matka zwykła cerować stare koronki. A stare koronki, jeśli już przesiąkniętą jakimś zapachem, to na zawsze. I na próżno będzie pan pral koronkę przesiąkniętą jakimś zapachem. A czym pachniały? Kluskami. Zjadłem całe michy klusek. Moja matka robiła całe michy klusek. Gotowane kluski, och, tak, tak, kluski i papka kukurydziana. Z farszem, który nie miał zapachu. Kuchnia w domu przy Passage Choiseul znajdowała się na drugim piętrze, była maleńka, jak kredens, na drugie piętro wchodziło się po krętych schodkach, o, takich, i trzeba było bez końca wchodzić i schodzić po nich, aby zobaczyć, czy potrawa się gotuje, czy woda wrze, czy nie wrze. Zwykle wchodziłiśmy po nich ze trzydzieści pięć razy dziennie. Tak wyglądało nasze życie. Okropnie. A mój ojciec obsługiwał klientów. Wracał do domu o piątej. Musiał załatwiać dla niej różne sprawy. O nie, to była nędza, pełna godności nędza.

– *Czy cierpiał pan biedę także wtedy, gdy chodził pan do szkoły?*

– W tym okresie nie byliśmy bogaci. To była państwowa szkoła, wie pan, więc nie wyróżnialiśmy się specjalnie. Nie musieliśmy mieć kompleksu niższości. Moich kolegów gryzły pchły i, tak samo jak mnie. Nie, w tamtym miejscu nie było bogatych ludzi. Znaliśmy kilku bogaczy. Dwóch lub trzech. Odnosiliśmy się do nich z nabożną czcią! Rodzice powiadali mi: ci ludzie są bogaci, handlują tutaj tekstyliami. Prud'homme. Znaleźli się tu przypadkiem, zblądździ, ale my ich rozpoznaliśmy, ze zgrozą. W tamtym czasie czciliśmy bogatych ludzi! Z powodu ich bogactwa. Równocześnie uważaliśmy, że ten kupiec jest inteligentny.

– *Kiedy i w jaki sposób uświadomił pan sobie, że to niesprawiedliwe?*

– Bardzo późno, muszę przyznać. Po wojnie. Stało się to, rozumie pan, kiedy zobaczyłem, jak jedni ludzie robią majątki, podczas gdy inni umierają w okopach. Widziałeś to i nic nie mogłeś na to poradzić. Potem pracowałem w Lidze Narodów i wówczas doznałem ośnienia. Zrozumiałem, że światem naprawdę rządzi Bydło, Mamona! Nie, nie żartuję. Niepodzielnie. Naturalnie świadomość społeczna obudziła się we mnie jeszcze później. Nie miałem jej, byłem pełen rezygnacji.

– *Jaka była postawa pańskich rodziców, czy akceptowali swoją sytuację?*

– Och, akceptowali ją najgorliwiej w świecie. Moja matka mówiła mi: „Moje biedne dziecko, gdyby nie było bogatych ludzi (ponieważ wtedy już zacząłem się nad tym zastanawiać), gdyby na świecie nie było bogaczy, nie mielibyśmy co jeść. Na bogatych ludziach spoczywa odpowiedzialność.” Moja matka podziwiała bogatych ludzi, proszę to zrozumieć. Więc, jak się można było spodziewać, częściowo to mi się udzie-



Z Lucette Almanzar około 1938 r.

Fot. Archiwum



Louis Destouches w mundurze, jako przedstawiciel Misji Rockefellera w 1918 r. Fot. Archiwum

lilo. Chociaż nie byłem całkiem przekonany. Nie. Ale nie ośmieliłbym się mieć własnego zdania, co to to nie. Mojej matce, która cerowała koronki dla bogatych ludzi, nigdy nie zamarzyłoby się, by samej nosić podobne. To nie było dla niej. Więc moja nieświadomość jest czymś zrozumiałym. Nawet jubiler sam nie nosił klejnotów, ani żona jubilera. Byłem jednym z ich chłopców na posyłki. Do Roberta, na ulicę Royale, do Lacleche'a, na ulicę de la Paix. W tamtych dniach byłem bardzo ruchliwy. O, la, la! Wypełniałem wszystkie polecenia w imponującym tempie. Teraz jestem połamany artretyzmem, ale w tamtych czasach prześcignąłbym metro. Nasze stopy zawsze były poranione. Ponieważ, rozumie pan, nie dostawaliśmy nowych butów zbyt często. Nosiliśmy za małe buty, ponieważ rośliśmy jak na drożdżach, a na nowe obuwie nie było pieniędzy. Wszędzie biegalem pieszo. Tak... Świadomość społeczna... Kiedy służyłem w kawalerii, jeździliśmy na polowania na ziemię księcia Orłowa i księżnej d'Uzes, i zwykle zatrzymywaliśmy oficerskie konie. Robiliśmy tak, dopóki się dało. Byli-

śmy absolutnym bydłem. Naturalnie, rozumiało się samo przez się, że to był zwykły interes.

- Czy pańska matka miała na pana duży wpływ?
- Odziedziczyłem po niej pewne cechy charakteru. I to chyba wszystko. Ta kobieta była taka surowa, nieczłonna. Muszę powiedzieć, że miała temperament. Nie umiała cieszyć się życiem, to wszystko. Zawsze czymś się martwiła, zawsze była jakby w transie. Pracowała do ostatniej minuty swojego życia.
- Jak pana nazywała? Ferdynand?
- Nie. Ludwik. Chciała, abym pracował w wielkim sklepie, w Hôtel de Ville, w Luwrze. Chciała zrobić ze mnie sprzedawcę. To był jej cel. A mój ojciec zgadzał się a nią. Ponieważ jemu samemu studia literackie na nie się nie przydały! A mój dziadek zrobił nawet doktorat! Tak niewiele im z tego przyszło, powiadali, więc on musi zająć się interesami, i dzięki temu wydobędziemy się z biedy.
- Czy sytuacja pańskiego ojca polepszyłaby się, gdyby został nauczycielem?
- Tak, ale oto co się stało: musiałby uzyskać licencjat nauczycielski, a ukończył tylko studia ogólne i nie mógł kontynuować nauki, ponieważ nie miał pieniędzy. Jego ojciec zmarł, zostawiając żonę z piątką dzieci.
- Kiedy zmarł pański ojciec?

– Umarł w tym samym roku, w którym ukazała się „Podróż do kresu nocy”, w trzydziestym drugim.

– *Zanim ukazała się „Podróż”?*

– Tak, tuż przedtem. Och, nie spodobałaby mu się. Co więcej, on był zazdrosny. Nie chciał, abym został pisarzem. Zresztą prawdę mówiąc, ja też nie. Przynajmniej w tym punkcie się zgadzaliśmy.

– *A jak zarządzała na pańskie książki pańska matka?*

– Uważała, że to niebezpieczne i paskudne, że narobię sobie kłopotów. Sądziła, że to wszystko źle się skończy. Ona była z natury bardzo ostrożna.

– *Czy przeczytała pańskie książki?*

– Och, nie mogłaby, nie by z nich nie zrozumiała. Uznałaby je za wulgarne, no i poza tym w ogóle nie czytała książek, nie należała do kobiet, które czytają. Nie była ani trochę próżna. Pracowała do samej śmierci. Ja byłem wtedy w więzieniu. Powiedziano mi, że umarła. Nie, dowiedziałem się o jej śmierci zaraz po przyjeździe do Kopenhagi. Podróż była okropna, straszna – doskonały epilog. Okropna. Ale każda rzecz jest okropna, jeśli się na nią spojrzy z określonej strony, proszę o tym nie zapominać, dobrze? I wie pan co? ... doświadczenie jest jak przyćmiona lampa, która oświetla drogę tylko temu, który ją niesie... nie można go przekazać... Musisz zatrzymać swoją wiedzę dla siebie. Moim zdaniem człowiek ma prawo umrzeć tylko wtedy, gdy ma do opowiedzenia naprawdę dobrą historię. Aby przekroczyć granicę, musisz opowiedzieć swoją historię i albo cię przepuszczą, albo nie. Tym właśnie, na planie symbolicznym, jest „Śmierć na kredyt” – sprawozdaniem z życia, które już przemieniło się w śmierć. Widzi pan... to nie dobry Bóg rządzi tym światem, lecz demon. Człowiek. Natura jest odrażająca, niech pan tylko spojrzy, życie ptaka, życie zwierzęcia.

– *Czy były jakieś momenty w pana życiu, kiedy czuł się pan szczęśliwy?*

– Niech mnie diabli, nie. Ponieważ nie nie może zrekompensować człowiekowi starzenia się. Myślę, że gdybym dostał dużo forsy i mógł swobodnie zaspokajać swoje potrzeby, byłoby wspaniale – miałbym możliwość ukryć się gdzieś, nie musiałbym pracować i mógłbym obserwować innych ludzi. Szczęście to mieszkać samemu nad morzem, i żeby wszyscy zostawili człowieka w spokoju. I jeść bardzo niewiele; tak. Prawie nic. Świeca. Nie używałbym elektryczności, i tak dalej. Świeca! Świeca, i czytałbym w jej świetle gazetę. Inni miotają się, pochłonięci swoimi małymi ambicyjkami, oglądam ich poczynania niczym przedstawienie. Bogaci ludzie polujący na zaproszenie, aby tylko utrzymać się na fali. Patrzyłem na to, kiedyś żyłem pośród ludzi: „Gontran, posłuchaj jego rady; och, Gaston, wczoraj naprawdę byłeś w formie! Powiedz mu, o co chodzi! Wczoraj wieczorem znów mi o tym powiedział! Jego żona mówiła, och, Gaston, zaskoczyłeś nas!” To prawdziwa komedia! Na tym upływa ich czas. Pilnują się nawzajem, należą do tych samych golfowych klubów, chodzą do tych samych restauracji.

– *Gdyby pan mógł zacząć wszystko od początku, czy szukałby pan radości poza literaturą?*

– O tak, absolutnie! Nie prosilem o radość. Nie czuję jej. Zdolność odczuwania radości życia to kwestia temperamentu, kwestia diety. Trzeba dobrze jeść, dobrze pić, i dni mijają szybko, czyż nie? Smacznie zjeść i wypić, od czasu do czasu wybrać się na wycieczkę samochodem, czytać kilka wybranych gazet, i dni mijają. Twoja gazeta, kilku gości, poranna kawa i, mój Boże, kiedy ty wracasz ze swojej codziennej przechadzki, to już czas na lunch. Czy nie tak to wygląda? Po południu spotykasz się z kilkoma

przyjaciółmi i kolejny dzień z głowy. Wieczorem kładziesz się do łóżka o tej porze co zwykle i zamykasz oczy. To jest twoje życie. I im jesteś starszy, tym czas biegnie szybciej, czyż nie tak? Kiedy jesteś młody, dni ciągną się bez końca, natomiast gdy się zestarzejesz, koniec zbliża się potężnymi krokami. Kiedy jesteś na emeryturze, każdy dzień jest jak błysk, kiedy jesteś dzieckiem, czas płynie bardzo wolno.

– *Jak spędzałby pan czas, gdyby mógł pan wycofać się z aktywnego życia i miał stałe dochody?*

– Czytałbym gazety. Spacerowałbym w miejscach, gdzie nikt by mnie nie obserwował.

– *Czy może pan spacerować tutaj?*

– Nie, nigdy, nie! Lepiej nie!

– *Dlaczego nie?*

– Ponieważ zostałbym zauważony. Nie chcę tego. Nie chcę być obserwowany. W porcie człowiek znika. W Hawrze... Nie obawiałbym się, że ktoś mi się będzie przyglądał w dokach Hawru. Pan tego nie może zrozumieć. Stary marynarz, stary blazen...

– *A lubi pan statki?*

– O tak, tak! Kocham je obserwować. Obserwować, jak przybývają i odpływają. Ja, wybrzeże i statki – niczego więcej do szczęścia mi nie trzeba. Z ich kominów unosi się dym, odpływają, wracają, to nie twoja sprawa, prawda? Nikt nie stawia ci żadnych pytań! Tak, i czytasz lokalną gazetę: *Le Petit Havrais* („Mały mieszkaniec Hawru” – D.R.), i... to jest właśnie to. Nie trzeba nic więcej. Och, przeżyłbym moje życie całkiem inaczej.

– *Czy miał pan jakichś idoli – mam na myśli ludzi, których chciał pan naśladować, którzy byli dla pana wzorem?*

– Nie, ponieważ tacy ludzie są otoczeni pompą, a mnie nie zależy na pompie ani trochę. Chciałbym być po prostu nieznanym nikomu starym człowiekiem. Ludzie, których inni obierają sobie za idoli, trafiają do encyklopedii, a ja tego nie pragnę.

– *Miałem na myśli ludzi, z którymi mógłby się pan spotkać.*

– Och, nie, nie, nie. Widzę zawsze, jak manipulują innymi. Działają mi na nerwy. Nie. Po matce odziedziczyłem pewnego rodzaju skromność: pragnienie, by nie nie znaczyć, absolutnie nie! Jedynym moim pragnieniem jest być kompletnie nieznanym. Mam apetyt, zwierzęcy apetyt na odizolowanie się. Tak, myślę, że spodobałoby mi się Boulogne, tak, Boulogne-sur-Mer. Często jeździłem do Saint-Malo, ale teraz to już niemożliwe. Teraz jestem tam już w miarę znany. Miejsca, których ludzie nigdy nie odwiedzają...



Leon Daudet i Lucien Descaves po(d)picirają kandydaturę Célius'n do Nagrody Goncourtów. Fot. Archiwum

„Jestem pesymistą...”

Ostatni wywiad Céline'a, 1 czerwca 1961 roku

– *Czy w pańskich powieściach dużo się mówi o miłości?*

Louis-Ferdinand Céline: – Nie. I nie ma takiej potrzeby. Powieściopisarz musi być człowiekiem bardzo powściągliwym.

– *A przyjaźni?*

– O niej także nie wspominam.

– *No dobrze, czy sądzi pan zatem, że pisarz powinien skoncentrować się na mało istotnych uczuciach?*

– Trzeba rozmawiać o robocie. Tylko to się liczy. Ale i tu trzeba zachować dyskrekcję. Robi się wokół tego stanowczo zbyt wiele szumu. Jesteśmy przedmiotem reklamy. To obrzydliwe. Ale każdy będzie musiał prędzej czy później nauczyć się skromności. W dziedzinie literatury i we wszystkich innych. Wszyscy jesteśmy zakazani reklamą, to naprawdę obrzydliwe. Trzeba wreszcie zamknąć jadaczkę i zająć się robotą. To wszystko. Czy publiczność interesuje się tym, czy nie, czyta nasze książki, czy nie czyta, to nie nasza sprawa. Jedyne, co ma do zrobienia autor, to zniknąć.

– *Czy pisanie sprawia panu przyjemność?*

– Och nie, absolutnie nie. Gdybym miał pieniądze, nigdy nie napisałbym ani jednego zdania. To punkt pierwszy.

– *Więc to nie miłość ani nienawiść dyktują panu pańskie książki?*

– Och, bynajmniej! Mój stosunek do tych uczuć, o których pan mówi, miłości i przyjaźni, to wyłącznie moja sprawa, publiczności nic do tego!

– *Czy współcześni interesują pana?*

– Och, nie, wcale. Raz się nimi zainteresowałem, próbując powstrzymać ich od pójścia na wojnę. I właściwie nie brali udziału w wojnie, ale i tak wrócili w glorii chwały. Cóż, a mnie wtrącili do więzienia. Zapłaciłem za to, że się przejąłem ich losem. Nie powinienem był się o nich martwić. Człowiek powinien martwić się jedynie o samego siebie.

– *W pańskich późnych książkach pojawiają się pewnie uczucia, które wiele mówią o panu.*

– Jak się człowiek uprze, może się doczytać wszystkiego, to wcale nie takie trudne.

– *Więc chce nas pan przekonać, iż w pana późnych książkach nie ma nic, co byłoby częścią pańskiego najintymniejszego „ja”?*

– Nie, nic intymnego, nic. Może jedna rzecz, tylko jedna, to znaczy to, że nie wiem, jak korzystać z życia. Mam pewną przewagę nad innymi ludźmi, których pochłania niustanna pogoń za przyjemnościami. Korzystać z życia to dla nich jeść, pić, czkać, pieprzyć się, cały zestaw czynności, które prędzej czy później muszą cię wyjałowić. Ja nie umiem korzystać z życia, bynajmniej. Ale w sumie, cóż, w sumie wychodzi mi to na dobre. Umieć wybierać. Umieć smakować, ale, jak powiedział pewien Rzymianin z epoki schyłku Cesarstwa, sam fakt, że wszedłeś do burdelu, nie czyni cię rozpustnikiem, stajesz się nim dopiero wtedy, gdy tam zostajesz, czy nie tak? Ja przez całe życie wstę-

powaleł do burdeli, ale natychmiast stamtąd wychodziłem. Nie lubię pić. Nie lubię jeść. Taki już ze mnie dziwak. Mam do tego prawo, czyż nie? Pragnę tylko dwóch rzeczy: spać, i aby mnie zostawiano w spokoju.

- *Jakich pisarzy uważa pan za obdarzonych talentem literackim?*

- Są trzej pisarze, którym w lepszych czasach niewątpliwie nie odmówiono by wielkości. Morand, Ramuz, Barbusse byli pisarzami. Mieli wycucie. Byli do tego stworzeni. Ale inni nie są do tego stworzeni. Na Boga, to oszuści, banda oszustów! I tych oszustów uważa się za mistrzów.

- *Czy uważa się pan za jednego z największych żyjących pisarzy?*

- Och, bynajmniej. Wielcy pisarze... Nie chcę zonglować przymiotnikami. Najpierw musisz pożegnać się z tym padolem, a potem, gdy już jesteś nieboszczykiem, inni przyczepiają ci etykietkę. Ale najpierw musisz być martwy.

- *Jest pan przekonany, że potomność odda panu sprawiedliwość?*

- Ależ, na Boga, wcale nie to miałem na myśli! Dobry Boże, bynajmniej! Zresztą może wtedy już nie będzie Francji. Jacyś Chińczycy lub Berberowie zrobią małą inventaryzację i uznają za gówno moje książki, mój wypracowany styl, moje wielokropki... To prawdopodobne. A skoro już mówimy o „literaturze”, ja się już skończyłem, skończyłem. Po „Śmierci na kredyt” nie miałem już nic do powiedzenia, a tego, co powiedziałem, nie było wcale tak wiele.

- *Czy nienawidzi pan życia?*

- Hm... Nie mogę powiedzieć, że je Kocham, co to, to nie. Toleruję je, ponieważ jestem żywy i ponieważ spoczywa na mnie odpowiedzialność. Ale tak poza tym jestem pesymistą. Nie ma we mnie żadnej nadziei. Nie oczekuję niczego. Mam nadzieję, że umrę tak bezboleśnie, jak to tylko możliwe. Wszyscy żywią taką nadzieję. To wszystko. I żeby nikt nie cierpiał z mojego powodu, przeze mnie. Umrzeć w pokoju, czy nie tak się o tym mówi? Umrzeć, jeśli to możliwe, od jakiegoś zakażenia, albo, hm, sam się zabiję. To by było o wiele prostsze. Im bliżej jest to, co nadejść musi, tym człowiekowi jest trudniej. Teraz pisanie kosztuje mnie o wiele więcej wysiłku, niż choćby rok temu, a w przyszłym roku będzie jeszcze ciężiej, niż w tym. To wszystko.

Wywiad udzielony w tym samym roku, podczas którego Céline obmyślał pierwszą i ostatnią scenę filmowej adaptacji „Podróży do kresu nocy”

Louis-Ferdinand Céline: – A, tu jesteśmy. Czerwiec 14. Jesteśmy na Avenue du Bois. Mamy tu trzy cokolwiek nerwowe Paryżanki. Damy tamtych czasów – oszukańczych czasów. Więc, na miłość Boską, słyszymy, co one mówią. A Avenue du Bois, wzdłuż Allée Cavaliere, jedzie general, a za nim jego adiutant, konno oczywiście, obaj na koniach, oczywiście, na koniach. Więc, na miłość Boską, pierwsza z dam powiada: „Och, to był chyba general Boisrobert, widziałaś?” „Tak, widziałam.” „Pozdrowił mnie, czyż nie?” „Tak, tak, pozdrowił cię. Ja go nie poznałam. Mnie to nie interesuje, wiesz przecież.” „Ale adiutant to mały Boilepere. Och, był tam wczoraj, jest niemożliwy, nie daj poznać po sobie, że coś zobaczyłaś, nie patrz, nie patrz. Opowiadał nam o wielkich manewrach pod Mourmelon, wiesz! To, powiedział, oznacza wojnę, ja wyjadę, ja się zabieram... On jest niemożliwy, czyż nie mam racji?, ze swoją wojną...”

Potem w oddali słychać dźwięczną, jakby wojskową muzykę.

– *Naprawdę tak myślisz?*

– Tak, kochana, tak, oni są niemożliwi, z tą swoją wojną. Te parady wojskowe wieczorami, co ci one przypominają? To absurdalne, to farsa. Ostatnim razem w Longchamps zobaczyłam tych żołnierzy z czymś w rodzaju rondla na głowach, to rodzaj helmu, nigdy byś nie uwierzyła, to takie szpetne, i to właśnie oni nazywają wojną, wystroić się tak idiotycznie. Moim zdaniem to śmieszne, całkiem śmieszne. Tak, tak, tak, śmieszne. Och, spójrz, to attaché Ambasady Hiszpańskiej. On też mówi o wojnie, to już szczyt, och, naprawdę, jestem tym śmiertelnie znużona, lepiej by urządzili polowanie i pozbawili życia kilka bażantów. Wojny dzisiaj to rzecz warta jedynie śmiechu, na Boga, nie do pomyślenia, człowiekowi trudno w to uwierzyć. Śpiewają takie głupie piosenki, to zdumiewające, weźmy choćby Maurice’a Chevaliera, chociaż ten jest raczej zabawny, wszyscy się z niego śmieją.

Więc znaleźliśmy się w tym punkcie, tak, to wszystko.

– *Och, ja bym raczej porozmawiała o karnawale kwiatów, tak, karnawale kwiatów, wszędzie było tak pięknie, tak cudownie. Ale oni są teraz pochłonięci przygotowaniem do wojny, to takie głupie, no nie?, to nie do zniesienia, trzeba wreszcie z tym skończyć.*

– Dobra, to była przygrywka, a teraz mamy już wojnę. Dobra. W tym momencie można pokazać Paryż i autobus, w całej serii znakomitych ujęć, autobus jadący w kierunku skrzyżowania Drouot, nagle autobus przyśpiesza i to jest bardzo zabawny widok, trzykonny autobus Madelaine-Bastyli, tak, tutaj dacie to zdjęcie. Dobra, w porządku. Teraz przenosicie się na wieś. Weźcie opisy krajobrazu z „Podróży”. Będziecie musieli przeczytać „Podróż do kresu nocy” jeszcze raz – co za katastrofa. Będziesz musiał znaleźć te spośród opisanych w powieści miejsc, które wciąż istnieją. Co do Passage Choiseul, nie będzie problemu. I Epinay, wejście na Epinay, nadal jest tam, gdzie było. Oczywiście możecie je sfilmować także, ale to już nie jest to samo, co kiedyś... Możecie pokazać Tuilerie, skwer Louvois, to mała uliczka, powinieneś rzucić na to okiem, zobaczyć, jak rzeczywistość przystaje do twoich wyobrażeń.

Potem jest mobilizacja. W porządku. I w tym punkcie rozpoczynasz „Podróż do kresu nocy”. Bohaterowie „Podróży do kresu nocy” wyruszają na wojnę – część wielkiego filmu. Będziesz na to potrzebował mnóstwa forsy...

Potem zakończenie.

Macie tutaj krajobraz jak ze snu, możecie pokazać okolice Meuse, to tam odbył się mój wojenny debiut, odrobina Flandrii, w porządku, ślicznie, wystarczy jedno spojrzenie, to bardzo sugestywne, a potem, powoli, narasta turkot karabinów. To, z czym się wojna kojarzyła wam, z czym się kojarzyła wszystkim ludziom żyjącym w tamtych czasach, to był ogień karabinów, ze wszystkich stron, osaczający. To było toczące się BLOM BELOLOM BELOM, to był młyn, mielący w pył naszą epokę. To znaczy, że linia ognia znajdowała się dokładnie przed tobą, i tam właśnie miałeś pobiec, aby cię skreślili z listy, i tam właśnie skonali oni wszyscy. Tak, a ty miałeś wynurzyć się z okopów i biec, z bagnietem w zaciśniętych dłoniach. Ale przede wszystkim oznaczało to strzelanie i ogień. Najpierw strzały, potem płomienie. Płonące miasta, wszystko. Najpierw strzelanie, potem rzeź.

Pokaż to najlepiej, jak tylko można, to twój problem, postaraj się. W tej sprawie polegam na małym Descaves. Potrzebujesz muzyki, która by harmonizowała z odgłosami strzałów. To musi być ponura muzyka, jak Wagner, głęboka, on powinien wyszukać coś odpowiedniego w sklepie muzycznym. Muzyka, która by współbrzmiała z tym wszystkim. Możliwie mało gadania. Możliwie mało słów. Nawet w wielkiej scenie, nawet tam, gdzie na scenie znajduje się trzysta milionów. Strzały, BELOMBE-LOLOMBOM, tactactac. Karabiny maszynowe – oni już je mieli. Od wybrzeży Morza Północnego aż po Szwajcarię ciągnął się 450-kilometrowy pas ziemi, na całej swej długości nieustannie wchłaniający, przeżuwiający ludzi. O, tak, każdy człowiek, znalazłszy się tam, powiedział sobie: Więc to tutaj wszystko się rozgrywa, tutaj znajduje się ta słynna rzeźnia, no tak. To tutaj wyróżniliśmy się nawzajem. Tutaj nie można spać! Milion siedemset tysięcy takich jak ty, właśnie w tej chwili wyzionęło ducha. To sporo. Odwroty, natarcia, wycofywanie się, coraz głośniejsze BUMBUM, wielkie karabiny, małe karabiny, niezbyt wiele strategii, nie, możesz opowiedzieć o waszych posunięciach tylko ogólnie, ale ich nie było bardzo wiele, nie, tym, czego się baliście, był ogień karabinów, po prostu. Niemcy mieli wielkie karabiny i to było wielkie zaskoczenie dla francuskiej armii, 105-ki, my nie mieliśmy takiego żadnego. W porządku. I rowery, które mogłeś złożyć i wziąć pod pachę.

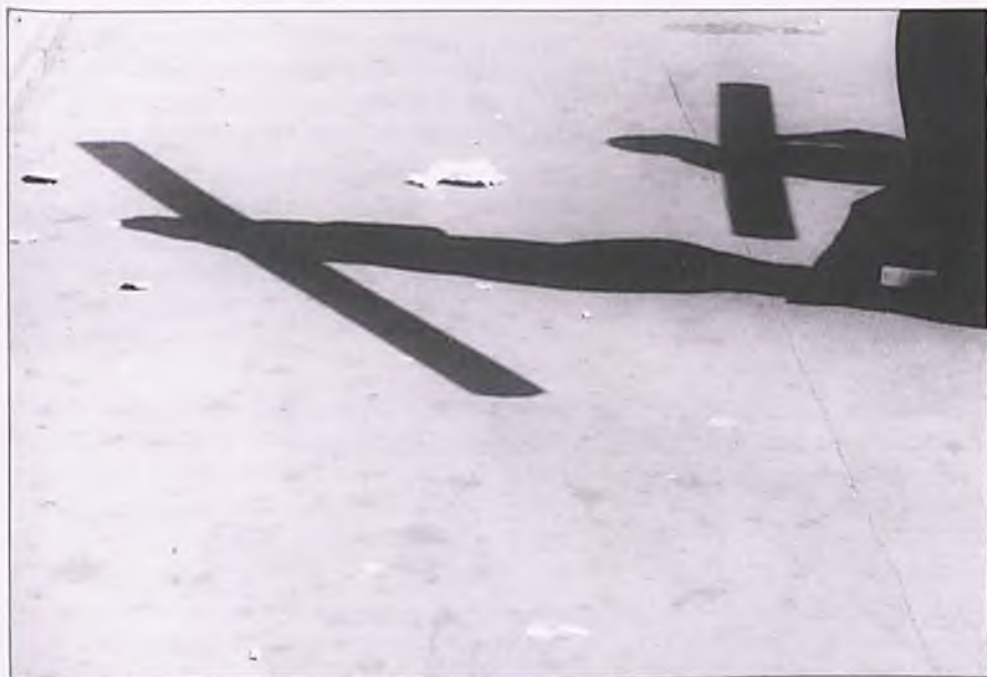
Więc, aby zakończyć swoją opowieść, „Podróż do kresu nocy”, widzisz, kończy się tak dobrze, jak to tylko możliwe, hm..., ale mimo to zakończenie, konkluzja, podpis pod opowieścią, są absolutnie prawdopodobne, jak w życiu. Zakończenie książki jest napisane w języku filozoficznym, książki owszem, ale nie filmu. Film powinien kończyć się następująco: poznajemy starego człowieka – w myślach nazywam go Simonem – który opiekuje się cmentarzem, wojskowym cmentarzem. Jest stary, ma siedemdziesiątkę i ma twarz pooraną bruzdami. A dyrektor, kurator cmentarza, jest młodym mężczyzną i daje starcowi do zrozumienia, że czas się wycofać. Aj, odpowiada tamten, bardzo bym chciał, ledwie już daję sobie radę. Bo, rozumiesz, oni zbudowali mu małą chatkę, niedaleko Verdun, a on zrobił z niej małą kawiarenkę i miał gramofon, naprawdę, prawdziwy składany gramofon! Więc w tym barze podaje ludziom drinki i rozmawia, wiesz, opowiada swoją historię, opowiedział ją wielu ludziom, i widzimy bar i wchodzących do niego lu-

dzi, kiedyś przychodziło tam wielu ludzi, ale już nie przychodzą, aby złożyć wizytę na grobie ukochanych zmarłych. Ale Simon ma świadomość, że ostatecznie te groby są już bardzo stare i że nawet trudno się do nich dostać, tak trudno, że nawet on sam już tam nie chodzi, ponieważ, jak powiada, jestem zbyt stary, nie mogę, nie mogę chodzić. Łazić całe kilometry po tych wybojach, to zbyt wielki wysiłek, to niemożliwe, zapłaciłbym życiem, umarłbym, jestem zmęczony, zmęczony, straszliwie. I mógł to powiedzieć, ponieważ dyrektor cmentarza znalazł kogoś na jego miejsce. I kim jest ten ktoś, kto obejmie jego posadę? Powiem ci. To... Armeńczycy. Rodzina z Armenii. Ojciec, matka i pięcioro małych dzieci. A co oni tutaj robią? Cóż, pewnie popłynęli do Afryki, jak wszyscy Armeńczycy, i zostali stamtąd wykopani i ktoś poradził im, aby się ukryli na północy, poszukali starego cmentarza, którego dozorca zbyt się już zestarzał, by móc nadal pełnić swoje obowiązki, i zajęli jego miejsce. Och, powiada na to, wspaniale, bo dzieci chorują, Afryka jest dla nich zbyt gorąca. Więc Simon ich przyjmuje. Dozorca cmentarza. Ma na głowie swoją czapkę z daszkiem i tak dalej. Dobra, powiada, zajmiecie moje miejsce. Na pewno nie będzie wam tu za gorąco. Jeśli będziecie chcieli rozpaścić ogień, tutaj jest drewno, można postawić kociołek na starym piecu, ja, powiada, nie mogę zostać z powodu tych marszów. Za starych, dobrych czasów byli tu Amerykanie. Nadal są tu Amerykanie, pod ziemią, rozumiesz, znajdziesz ich... Dobra, pokażę ci furtkę, przez którą wchodzi, to niezbyt daleko, niecały kilometr, ale ja już nie mogę tego robić – nogi są zbyt słabe, zbyt słabe – jestem ranny, jestem w osiemdziesięciu procentach zniechęcony, to nie to co kiedyś! Zamieszkać z moją siostrą. Kiedyś była z niej niezła suka. Mieszka w Asnieres! Flejtuch z niej okropny! Ona powiada, że muszę do niej przyjechać, ale ja sobie zupełnie nie wyobrażam, jak to będzie, nie widziałem jej od trzydziestu lat, nie wyobrażam sobie, ona musi być teraz jeszcze większą fleją niż kiedyś. Ma męża, powiada, że będzie u nich dość miejsca, może, nie wiem, co bym robił tutaj, nie mogę tu zostać, nie mogę, nie mogę dalej wykonywać roboty, nie mogę tego robić. Teraz nie ma zbyt wiele roboty, teraz przyjeżdża ich już tylko dwoje lub troje, tylko oni się ostali, kiedyś było ich więcej, przybywali całymi stadami, w dawnych czasach, na groby tych wszystkich Francuzów i Anglików, tutaj są pochowani najróżniejsi, ale sam zobaczysz, bo powiedzieli mi, że masz mnie zastąpić, aha, prostuj krzyże, tak, niektóre się przechyliły, nie mogło być inaczej, czas robi swoje, krzyże nie mogą wiecznie stać prosto, więc ja je naprostowywałem przez długi czas, ile mi tylko starczało sił, ale teraz już nie będę tego robić, nie, nie, potem musiałbym się położyć do łóżka, rozumiesz, a leżenie tutaj to żadna przyjemność, no i nie mam nikogo przy sobie, a więc odwiedzający przybywają, i właśnie pojawia się pewna dobra kobieta, Amerykanka, bardzo stara Amerykanka, i powiada: „Chcę zobaczyć mojego starego przyjaciela, Johna Browna, mojego wujka, czy on leży tutaj?” Chwileczkę, powiada on, wszystko jest w rejestrach, proszę poczekać chwileczkę, zobaczę, tak, pokażę pani rejestry, tutaj, i pokazuje jej rejestry i powiada, prowadziłem go starannie, widzi pani, nie może pani zaprzeczyć, ehe, teraz popatrzmy, Brown, Brown, Brown. Och, tak, tak, tak, tak, tak. Dobrze, widzi pani, to na cmentarzu Fauvettes, o tam, proszę pani, trudno znaleźć ten grób. Nie, nie, proszę, on leży tam, razem z żoną i z dziećmi, okolica jest bardzo interesująca, oni robią porządek; ja nie mogę, jak pani widzi, nie mogę, powiedziałem pani, że nie mogę, nie ma sensu, madame, i niech mi pani wierzy, jeśli chce pani próbować tam dotrzeć, znaleźć ten grób, niech mi pani pozwoli sobie powiedzieć, u mnie wszystko jest w porządku, w moim rejestrze, ale nie zaglądałem tam od bardzo dawna, na grób Amerykanina to daleko, co

najmniej dwa i pół kilometra, nie, nie, niech pani pozwoli, aby oni to zrobili, oni to zrobią. Służę pani, czym chata bogata, sok malinowy, lemoniada. Och, pani by chciała filiżankę kawy, to pewne, że nie mógłbym odmówić nikomu, kto poprosi o filiżankę kawy, zrobię pani kawę.

I robi jej kawę, rozumiesz?, miał nosa do bogatych damulek. Cóż, powiada, widzi pani, moja siostra, w Asniere, oto kawa, małą kawę? Wie pani?, to mi coś przypomina, nie jestem pewien, czy ona umie robić kawę. Z niej jest prawdziwy brudas, sam to przyznaję. Ejże, nie wiem, co zrobię, wciąż nie mogę zdecydować, w końcu nie muszę jechać, nie ma takiej konieczności. Więc zdecydowane.. Tak. Jadę. Tak, naprawdę jadę, zostawię panią z nimi. Och, nie bójcie się (Armeńczycy wyglądają na przestraszonych). Tak, tutaj nie będzie wam ani trochę za gorąco, starczy nalożyć do pieca trochę drewna i robi się ciepło, żadna fatyga. Och zobaczycie, nie będzie takiego problemu. A co byście powiedzieli na odrobinę muzyki? Ach, to były dobre czasy, gdy stał tutaj gramofon, piękny gramofon, jedyny, jaki tutaj kiedykolwiek stał, to był, to był... I wyjmuję bardzo stare pudło, i puszczają stare nagrania, ale naprawdę stare, „Viens Poupoule”, „Ma Tonkinoise” – tak, tak jest milej, czyż nie?, można je grać przez całe lato, możecie to robić, to ich przyciągnie na nowo, więc przyjedzie pani znowu, kiedy oni już doprowadzą grób do porządku, tylko da im pani trochę czasu, dobrze? Cóż madame, czas z powrotem. Jedźcie pani do Paryża? Ma pani samochód? Znakomicie, muszę powiedzieć, że to by mi się przydało, tak, to by było wielkie ułatwienie, wyobrażam sobie, móc wracać samochodem... □

tłumaczyła z języka angielskiego Dorota Rybicka



*** Elżbieta Lempp

Louis-Ferdinand Céline

Zeszyty więzienne

(fragmenty)

Uwięziony w Kopenhadze w latach 1945-47, Céline kupił w kantynie Vestre Fangsel dziewięć szkolnych zeszytów, po 20 stron każdy; zeszyty te zostały ponumerowane przez administrację więzienia. W nierównym stopniu wypełnione, zeszyty te zawierają cytaty (zwłaszcza z Chateaubrianda i Wiktora Hugo), szkice do „Féerie pour une autre fois”, zarys fabularny „Guignol’s band, III”, brudnopisy odpowiedzi na oskarżenia, notatki (lista rzeczy, o które ma poprosić żonę, gdy ta odwiedzi go w więzieniu), fragmentaryczny rozkład zajęć, refleksje i wspomnienia. Podobnie jak pierwsza wersja „Féerie”, zeszyty napisane są w całości ołówkiem.

Objaśnienia typograficzne:

< > – słowa dodane przez autora

* – słowo, co do którego nie ma pewności, czy zostało właściwie odczytane

[-] – słowo nieczytelne

Musiałem zapłacić za ten nadmiar szczęścia i powodzenia – niedole uczepiły się mnie, stałem się przedmiotem zawiści okrutnej <niewybaczalnej> – Ichok¹ – Odpowiedziałem – ugrzęzłem <jedną nogą> w jeszcze intensywniejszej nienawiści i z czasem <i w miarę narastania ciszy> widzę coraz wyraźniej, że* sprawy musiały się potoczyć tak, jak się potoczyły – to samo przydarzyło się Louisowi Hémon z Marią Chapdelaine – jego życie <po tej książce> stało się piekłem – i pewnego śnieżnego dnia będący na granicy szaleństwa Hémon znalazł śmierć pod kołami Canada Pacific <Aktem desperackiej odwagi było to, że ośmielił się pozostać w swoim kanadyjskim miasteczku – był skończony, określony, znienawidzony> Myślałem o nim pewnego dnia, patrząc przez pręty mojej klatki na padający śnieg – Zaledwie ośmielił się pozostać w Kanadzie, nienawidzono go wszędzie, w tym także Maria Chapdelaine, jego błąkaninie nie było końca.

[Zeszyt I, str. 15]

Bardzo lubię Anglików i Anglię – ich sposób na życie i pełne poezji lato, ale jeśli chodzi o politykę, wyznaję, że czuję <wobec nich> to samo, co Joanna d’Arc – odniesienie nader francuskie, jak mi się zdaje.

[Zeszyt III, str. 12]

Ogarnia mnie wzruszenie namiętne, straszliwe, silniejsze, niż ja sam, wobec wszyst-

¹ M. Grégoire Ichok (1852-1940) – dyrektor przychodni w Clichy, w której Céline pracował w latach 1929 – 1937. Ci dwaj mężczyźni nienawidzili się zawzięcie.

kiego, co żyje, a zwłaszcza wobec istot słabych i zagrożonych, zgodziłbym się na wiele jeszcze miesięcy więzienia, byle tylko przetrwać.

[ibid.]

Tym gorzej dla mnie, powinienem być martwy, ot co, zaprzestać obrony.

Wszelki świat odnawia się cały <jawnie> dla każdego pokolenia – Przeszłość nie ma znaczenia dla młodych, co najwyżej wzbudza ich irytację <drażni ich każde wezwanie, które się im w imię tej przeszłości narzuca>. Chwała zdobyta w przeszłości budzi ich wściekłość, gwiżdżą na nią, jest dla nich obelgą, kozie łajno, ohydne, sklerotyczne bredzenie godnych politowania staruchów <kombinatorów*> i komedianów – Młodość czyni jednak z przeszłością jedynie to, co i cały świat – Wszystko, co nie należy do teraźniejszości, wszystko, co pozostało po tamtych ludziach, po tamtym stanie rzeczy, po tamtym świecie, jawi się jej od razu jako straszliwe, odpychające, niebezpieczne i zgniłe.

Każde nowe pokolenie musi nasrać na Kolumnę.

[Zeszyt III, str. 16v]

Zawsze nie znośm niemieckiego, moi biedni rodzice zadali sobie wiele trudu, zdobyli się na wiele wyrzeczeń, abym się tego języka nauczył, wysłali mnie tam na rok, miałem 9 lat, w 1905 – Co za [–] tu pewnego nauczyciela w Diepholz Hanovre. Natychmiast znienawidziłem, język <chropowaty, brutalny, zbędnie trzeszczący>, Niemców, kraj, wszystko. Oto już 50 lat, jak mówię w tym przeklętym języku <nie zniosę go w Raju>, zawsze mówiłem w nim <ja, Niemiec> źle, jak najmniej, z uczuciem nienawiści: to język nieszczęścia.

[Zeszyt IV, kartka 2v]

Lud, cały lud, jest jak ta trykociarka. Czego mu trzeba, to rozrywka, spadające głowy <krew, grzmiące gęby – rąbanina> Powody, dlaczego ma to gdzieś, pyskuje jednym głosem, wyrzaskuje najróżniejsze rzeczy, wyrzeszczy, co tylko zechcesz.

[Zeszyt VI, kartka 6v]

Biedny Denöel, zamordowano go w stanie pełnej gotowości.

[ibid.]

Z pewnością jestem jedną z tych nielicznych istot, które powinny być wolne. Prawie wszyscy inni zasłużyli na więzienie swoją pretensjonalną służalczością, swym obrzydliwym zezwierzęceniem, przeklętym samochwalstwem.

[ibid.]

Nosiłem po nim żalobę, a w dodatku nie chciałem splunąć na trupa, wyprzeć się go, sprzedać go zwycięzcy za bezcen <po kawaleczku, poprzez następujące jedno po drugim zaprzaństwa – A oni w ten sposób nie tylko uratowali własną skórę i swoje

wkłady, ale nawet odzyskali szacunek <Trybunału>, a świat gratuluje im, przyznaje medale za patriotyzm – patrz Spinasse i inni – A ja niczego nie tknąłem, stałem z boku, zupełnie na uboczu – niczego nie przysięgałem – stuprocentowy amator – nie najemnik i nie profesor – Nieznany karzelek – kobieta światowa – nie tylko niczego nie wygrałem, ale wręcz przegrałem wszystko – i przegrałem świadomie – mapa otchłani – Wdałem się w to w imię aryjskiego ideału Pokoju Europejskiego – Miałem okazję! Ale nic za to nie dostałem – Hérold Paquis musiał, choć mu to było nie w smak, <wygłaszał perrory w tym sensie> poddać się, uznać, że Führer jest genialny, Ribbentrop to wysłannik Opatrzności, Abetz – drugi Talleyrand, inaczej miałby przerypane.

[Zeszyt VI, kartka 17v]

Nie ma już wzniosłej Francji z „Nędzników” – teraz wyrzuca się tu tylko wszelkie <obrzydlistwa [-] – odsmażane nienawiści, wieki epopei przemienione w ocet. Zrządzająca, parszywa, głodna krwi harpia.

[Zeszyt VI, kartka 18]

Jakże marzę, by znaleźć się w miejscu, gdzie nie dotarła moja niesława.

[ibid.]

Louis-Ferdinand Céline
tłumaczyła Dorota Rybicka



*** *Elżbieta Lempp*

Louis – Ferdinand Céline

Listy więzienne

Adresatką większości więziennych listów Céline'a jest Lucette Almansor, żona pisarza. Listy te, pisane z dnia na dzień, są świadectwem cierpienia artysty, który, więziony w Kopenhadze w latach 1945-51, prowadził upartą walkę o odzyskanie dobrego imienia i wolności. Bezpośrednim celem tej walki było uniknięcie ekstradycji do Francji, gdzie postawiono by go przed Trybunałem Sprawiedliwości i prawdopodobnie skazano na śmierć, mimo, że wysuwane przeciw niemu oskarżenia opierały się na nader słabych podstawach.

Korespondencja ta (z której wybraliśmy dwa listy), świadczy o ogromnym uczuciu, jakim Céline darzył swoją żonę. Postawa Lucette podczas ich ucieczki przez Niemcy, a także w okresie wygnania w Danii, była zaiste bez zarzutu.

To dzięki swojej żonie, o której powiadał, iż „w czasach spokoju jest dla niego Ofelią, a w czasie próby – Joanną d'Arc”, Céline przetrwał tę próbę moralnie i fizycznie. Jako jedyna odwiedzała go w więzieniu (jeśli nie liczyć kilku wizyt Thorvalda Mikkelsena, przejeżdżającego przez Danię w interesach), towarzyszyła mu w tych wszystkich nieszczęściach, a oprócz tego była jego jedyną powierniczką, roztropnym i wysłuchiwanym doradcą, no i wreszcie jedyną pośredniczką pomiędzy nim, a pozostałymi we Francji przyjaciółmi. Choć sama znajdowała się w trudnym położeniu, walczyła jak lwica, okazując niezwykle przymioty serca i umysłu.

Wtorek, 12 marca 1946

Mój Drogi Mistrzu¹, oto kilka słów, które moja żona przetłumaczy panu, a które stanowią wskazówki dla moich rzeczników. Moja ukochana Lucette, masz absolutnie rację i zastosuj się do Twoich mądrych rad. Tylko, widzisz, gdybym mógł się zobaczyć z Mikkelsenem², on by mi przedstawił wszystkie okoliczności... a tak mamy rebus i trwanie w niepewności, aż człowiekowi różne dziwaczne myśli przychodzą do głowy. Oczywiście bardzo bym chciał, aby mnie zoperowano tutaj, ale w moim wieku operacja to spore ryzyko, jestem już bardzo starym kaleką, trzeba więc, bym najpierw odzyskał nieco sił i zdrowia. Wciąż się potykam i miewam zawroty głowy. Przecież przyjechałem do Danii z tym właśnie zamiarem: leczyć się. Niestety! Widzisz, że marzą mi się fotel, wieś i dobra kawa. To skromne marzenia. Serce słabnie i potrzeba mu świeżego powietrza oraz leków wzmacniających. Moje urocze kochanie, tak dzielne w tej straszliwej burzy, i w gruncie rzeczy tak samotne. Wiesz przecież, że jestem przy Tobie cały czas. Żyjemy na ostrzu noża. Czyta się Lonôtre'a, autor licznych dzieł opisujących życie codzienne podczas Rewolucji Francuskiej, zabawnie, ale

¹ Pierwsze zdanie tego listu jest adresowane do adwokata Céline'a, natomiast wszystkie pozostałe – do jego żony. Francuskie słowo „maitre” posiada tylko jedno znaczenie, właśnie „mistrz”. Céline zwraca się w ten sposób do swego adwokata, ponieważ pokłada w nim wszystkie swoje nadzieje (przyp. tłum.)

² Duński adwokat pisarza.

już znacznie mniej zabawnie jest doświadczać na własnej skórze tego, o czym on pisze. Nie robię sobie nadziei, choć Francja znalazła się w prawdziwych tarapatkach – nie mają już ani grosza, nie mają armii, moralności, przemysłu, ale to lajdacy, ich degeneracja przyprawia mnie o mdłości, i wbrew ogólnemu chaosowi wykazują zdumiewającą solidarność, gdy chodzi o upokarzanie i dręczenie takich nieszczęśników, jak my. W swoim szaleństwie wyobrażają sobie, że znaleźli i wymierzili sprawiedliwość sprawcom wszystkich ich nieszczęść. A tak naprawdę uderzyli w tych, którzy ich ostrzegli. Podwójna nienawiść. Nienawiść wiekuista. I zła wola. Pewnie już nie masz herbaty. Varenne mógłby ci ją wysłać. Powiedz Marii, żeby zaabonowała „Kurier Medyczny”. Przyda się, niezależnie od okoliczności. Wiem, że ministrowie Vichy (nie ci główni, lecz ci z drugiego planu, jak Masson) zostali oskarżeni jedynie o „zhańbienie narodu”. Ładne rzeczy! Taki kruczek prawny, by uratować przyjaciół. Śliczne oszustwo! Dlaczego więc mnie oskarżono o zdradę? Można by się nad tym długo zastawiać i nie dojść do żadnego wniosku. Mimo wszystko, ci ludzie „kolaborowali” ile wlezie, czerpiąc z sytuacji wszelkie możliwe korzyści! Gdzie sprawiedliwość? Niestety, jeśli chodzi o moją osobę, wchodzi w grę sekretna nienawiść, która nigdy się nie zdeklaruje; poza tym boją się następnej książki. Uciszyc bydlaka, a potem wszystko się ułoży. Czy nie wiesz od Marii, co się stało z wydawnictwem Denöel? Maria popełnia ten błąd, że patrzy na moją sprawę przez grubszy koniec lunety, to znaczy, że wszystko wydaje się jej błahę, niegroźne i łatwo usuwalne, jak kurz... Tutejsi ludzie mają odwrotną manię, chętnie widzieliby we mnie potwora, francuskiego nazistę – wierzą we wszystkie bzdury wymyślane przez zagranicznych dziennikarzy... Ich ignorancja odnośnie francuskich realiów jest przerażająca. Wszystko interpretują najgłupiej jak można, to, co piszą, jest absolutnie niesłuszne i absurdalne, nie trzyma się kupy. Niestety, prawda nie istnieje! W tych politycznych bredniach wszystko jest sztuczne i spreparowane. Mówią, co im ślina na język przyniesie, robią, na co im przyjdzie ochota. Jestem pewien, że Hérold-Paquis nie przeczytał „Beaux Draps” w całości. A jednak oskarżył mnie hałaśliwie, że sprzeniewierzyłem się temu, co w tej książce zawarłem! Co on może o tym wiedzieć? Nic, zero, zero, nul! I tak jest ze wszystkim, gdy człowiek musi przebywać wśród głupców. Ale jak się stąd wyrwać? Oto cała kwestia! Raz na zawsze! Powinienem być przyjąć posadę asystenta, którą zaproponował mi Mondain. Groenland załatwilby, co trzeba... ale to by było zbyt piękne. Zrobiło się za dużo hałasu wokół mojej sprawy. Jeszcze szczęście, że traktują mnie jak szaleńca i nadwrażliwca. Którym zresztą naprawdę jestem. Tysiąc całusów mojemu kochaniu,

Destouches

Sobota 30 marca 1946 roku

Mój drogi Mistrzu, nazwisko wiadomego francuskiego ministra, na które co i rusz natrafiam czytając swoje gazety, staje się coraz dłuższe i brzmiące bardziej szlachecko. W „Politiken” z 29 marca brzmi ono Guy de Girard de Charbonniere i wydrukowane jest kursywą. Nie dziwilbym się, gdyby osoba, o którą chodzi, była opętana próżnością, żadna zaszczytów, gdyby chodziło o małego paranoika rozkochanego w szlachcie, marzącego o tym, by ujrzeć się ambasadorem, jak Chateaubriand, Lamartine, książę de Ligne itp. Niewiele by mnie to obchodziło, gdyby nie fakt, że ten maniak, dzięki swej

władzy, od czterech miesięcy przetrzymuje mnie w więzieniu. Nic mniej precyzyjnego, niż oskarżenia przeciwko mnie i nic nędzniejszego, haniebniejszego i bardziej oczywistego, niż motywy, które kierowały tymi, co mnie uwięzili. Mam powody podejrzewać, że za tym wszystkim stoi jakiś szalaniec!

Moje małe, urocze kochanie, wkrótce rozbłyśnie poniedziałkowe światelko, a potem zapadnie siedmiodniowa noc! Wiem, że cierpisz z powodu tego wszystkiego bardziej niż ja, mój skarbie. Ja cierpię, myśląc o Twoim osamotnieniu, o smutku, który przeżywasz tam, niedaleko mojego więzienia. Nie śmiem zastanawiać się nad Twoim losem. To by było nie do zniesienia dla kogoś, kto jak ja, ma związane ręce. Przedstawiłaś Marii zbrodniczy debilizm paryskich sędziów, przewodniczącego etc... Z ich rozsądkiem jest naprawdę kiepsko. Widzisz, kochanie, myślę, że poczekamy do maja, i jeśli sprawa naprawdę nie ruszy z miejsca, jeśli nie dadzą mi pozwolenia na pobyt tutaj od maja, żądam, by mnie odesłano do Francji i osądzono, trudno! Nasza tutaj roślinność nie jest warta więcej niż śmierć, wolę największe choćby ryzyko, niż te ciągle odroczenia, to odwlekanie. Torturą jest, widzisz, nie samo uwięzienie (choć samo w sobie okropne), ile niepewność, jak długo to jeszcze potrwa, jakiego rodzaju mękę jeszcze mi zadadzą. Można się zmobilizować, można się zdobyć na czasowy opór. Ale nieludzką jest rzeczą żądać od człowieka, by opierał się wiecznie – a dla więźnia niepewność to synonim wieczności. Powiedziano mi: trzy tygodnie, a zrobiły się z tego trzy miesiące. Ile będzie teraz – trzy lata? Trzydzieści lat? To nie ma sensu. Nie niecierpliwię się, kochanie, ale, musisz zrozumieć, mam już swoje lata. Nie wiem, jak długo jeszcze pożyję, dlaczego miałbym zaakceptować fakt, że jestem igraszką w rękach maniaków i awanturników? Będę o tym rozmawiał z naszym przyjacielem. Dał nam dowody prawdziwego oddania i pozwolił czerpać ze skarbnicy własnej pomysłowości. Jeśli on mnie nie wydobędzie z za krat, będzie to znaczyło, że jakaś potężna siła sprzeciwia się mojemu uwolnieniu. Wówczas stawię czoło tej zgrai na własnym terenie. Trudno. Tam przynajmniej dadzą mi możliwość obrony, nawet jeśli moje wysiłki miałyby pójść na marne. A potem będzie po wszystkim. Przedstawienie się skończy. Bardzo skrupulatnie dozwajają mi tu różne udogodnienia, ale wiem, że to nie może trwać wiecznie. Wkrótce będę musiał wrócić do celi sześciolub czteroosobowej. Zmarnieję tam do reszty. Przykro mi, że mnie opuściły moje małe wróbelki. Nie przylatują w pobliże tej klatki – ale za to ja mam tu więcej słońca. Nie można powiedzieć, bym był u kresu wytrzymałości. Nie sądz tak, moja śliczna. Dopóki siedzę, czuję się całkiem dobrze. Tylko kiedy wstanę, kręci mi się w głowie i nogi ugijnają się pod mną. Francuskie dzienniki są paradne. Widać, że ludzie są bardzo oczarowani, iż nie spełniono propagandowych obietnic i nadal nie ma czym napelnić żołądków. Pani Birbaum nie skończyła jeszcze stawiać kabaly! Nie wiedzą, komu złożyć. Ach! I znów to mnie obciąża winą! Znalezione winnego! Niesprawiedliwi i podli! Nie bierz tego, co napisałem, całkiem poważnie. To dla mnie bardzo ważne, że mogę ci przedstawić wszystkie swoje myśli. Bardzo bym chciał, aby myśli te były inne, ale mam przed oczami kraty, oraz klucze, na których zaciśnięta jest dłoń strażnika. Ludzie, tak we wszystkim nieogłędni i lekkomyślni, zdolni byli jako społeczeństwo stworzyć jedną tylko solidną instytucję: Więzienie. Myślę o Tobie.

Destouches

Tłumaczyła Dorota Rybicka

Louis-Férdinand Céline – chronologia

1894 -1899

Louis Destouches urodził się 27 maja 1899 roku w Courbevoie pod Paryżem, w mieszkaniu przylegającym do sklepu z konfekcją, prowadziła jego matka, Małgorzata. Ojciec Ludwika, Fernand Destouches, pracuje jako goniec w towarzystwie ubezpieczeniowym Phénix (w „Śmierci na kredyt” figurującym jako „Coccinelle – Pożar”). Louis zostaje ochrzczony 27 maja; jego matką chrzestną jest babka ze strony matki, Céline Guillou, a ojcem chrzestnym wuj ze strony matki, Louis Guillou. Dziecko zostaje natychmiast oddane mamce, w Yonne, we Voisine. Rok później zostaje przeniesione bliżej domu rodziców, do Puteaux, ulica des Valettes („Ścieżka Pasterzy” wspomniana u Alberta Paraza); pozostaje tam dwa lata. W 1897 roku, wobec zastoju w interesach, jego rodzice likwidują sklep w Courbevoie i przenoszą się na ulicę de Babilon w Paryżu – Louis dołącza do nich; Małgorzata pracuje jako sprzedawczyni najpierw w butikku należącym do Céline Guillou, a potem u pewnego kapelusznika. W listopadzie 1898 roku przenoszą się na ulicę Ganneron w osiemnastej dzielnicy, potem, w lipcu 1899 roku, do dzielnicy sześćdziesiątej siódmej, przy Passage de Choiseul („Passage de Bérésinas” w „Śmierci na kredyt”), gdzie Małgorzata Destouches przejmuje butik z „oryginalnymi przedmiotami”.

1900 -1914

1 października 1900 roku Louis Destouches rozpoczyna naukę w podstawowej szkole powszechnej przy skwerze Louvois, naprzeciw Biblioteki Narodowej. W tym roku odbywa się w Paryżu Wystawa Powszechna, do której w swoich książkach pisarz czyni kilka aluzji. W 1904 roku sklep podobnie jak mieszkanie zostają przeniesione pod numer 64 tegoż Passage Choiseul. Louis, który bierze lekcje gry na fortepianie, spotyka podczas jednego z koncertów Simone Saintu, która będzie jego powiernicą podczas pobytu w Afryce (Céline – Zeszyty 4). Pod koniec roku umiera jego babka – Céline Guillou. W lutym 1905 roku zostaje umieszczony w katolickiej szkole w pierwszej dzielnicy; 18 maja przystępuje do pierwszej komunii; letnie wakacje spędza w Dieppe. W październiku 1906 roku powraca do szkoły publicznej i 15 czerwca 1907 roku otrzymuje świadectwo jej ukończenia. Wkrótce zostaje wysłany do Niemiec, do Diepholz w pobliżu Hanoweru. Spędziwszy latem 1908 roku, w ramach wakacji, pewien okres we Francji, wraca do Niemiec i przez cztery miesiące pracuje w Karlsruhe w zamian za zakwaterowanie i wyżywienie. Od lutego do listopada 1909 roku uczy się w dwóch college’ach na południu Anglii: w Rochester i w Broadstairs, mieszkając w szkolnym internacie. Po powrocie do Paryża, podejmuje w styczniu 1910 praktykę u Raimona, handlarza tkanin. We wrześniu tego samego roku przenosi się do jubilara Roberta, a 1 kwietnia następnego roku do innego jubilara, Wagnera. 5 października 1911 roku zostaje uczniem u Laclouche’a, jubilara z piętnastej dzielnicy, mającego sklep przy ulicy de la Paix, potem, w grudniu, zostaje przeniesiony do filii w Nicei. 28 września wstępuje na trzy lata do 12. Regimentu Kirasjerów w Rambouillet. 5 sierpnia 1913 roku zostaje mianowany brygadierem i to właśnie w tym okresie redaguje „Zeszyty Kirasjera Destouche’a”. 5 maja 1914 roku zostaje podoficerem i 14 lipca uczestniczy w odbywającej się w Longchamp paradzie. W momencie wybuchu wojny regiment Destouche’a przebywa w Lotaryngii, walczy tam, a potem zostaje skierowany do Flandrii, gdzie bierze udział w bitwie pod Lys. Zgłosiwszy się jako ochotnik do misji mającej na celu nawiązanie kontaktu z innymi oddziałami 27 października w pobliżu Poelkapelle Céline zostaje ranny w prawe ramię. Dwa dni później jest operowany w Hazebrouck. Wyczytany w raporcie dziennym regimentu,

a potem dywizji, zostaje odznaczony medalem wojskowym i krzyżem wojennym, o jego wyczynie wspomina „Illustré National”. 1 grudnia Louis zostaje umieszczony w szpitalu Val-de-Grâce w Paryżu, a potem w Paul-Brousse, pod Paryżem.

1915-1924

Po drugiej operacji ramienia w styczniu 1915 roku i okresie rekonwalescencji, trwającym aż do maja, zostaje przyjęty do służb paszportowych w Konsulacie Generalnym Francji w Londynie. 2 grudnia trzecia komisja uznaje go za niezdolnego do służby wojskowej. Céline z zapalem zwiedza music-halle i prawdopodobnie nawiązuje liczne kontakty w środowisku francuskich sutenerów w Londynie. Na ten okres przypadają jego pierwsze doświadczenia w dziedzinie medycyny. 19 stycznia 1916 żeni się z Susanne Nebout, ale małżeństwo to nie zostaje zarejestrowane w konsulacie. W marcu zostaje zaangażowany jako nadzorca plantacji; przez półtora miesiąca podróżuje między Liverpooliem a Doualą, podróżuje też po Kamenzie, wreszcie obejmuje nadzór nad plantacją w Bikomimbo. W marcu 1917 roku trafia do szpitala chory na dyzenterię i zostaje odesłany do Francji na „Tarquah”. Na pokładzie pisze swój pierwszy znany tekst literacki, nowelę „Fale” (Céline – Zeszyty 4). W Paryżu poznaje, prawdopodobnie za pośrednictwem świadka jego pierwszego ślubu Edouarda Benedictusa, Raoula Marquisa, znanego pod pseudonimem Henry de Grafigny (pierwowzór Courtiala des Pereires, bohatera „Śmierci na kredyt”). Począwszy od marca 1918 uczestniczy w kampanii profilaktycznej przeciw gruźlicy, zorganizowanej przez misję Rockefeller, działając przede wszystkim w Bretanii. Zdaje maturę w Rennes w lipcu 1919 i rozpoczyna studia medyczne. Żeni się 19 sierpnia 1919 roku z Edith Follet, córką profesora Folleta, przyszłego dyrektora Szkoły Medycznej w Rennes. W kwietniu 1920 roku korzysta z wejścia w życie specjalnej ustawy dotyczącej kombatanatów i zapisuje się do tejże Szkoły Medycznej. 15 czerwca przychodzi na świat jego córka Collette. Trzy lata później Louis Destouches zdaje pomyślnie egzaminy medyczne i wstępuje do Akademii Nauk, gdzie pieczę nad nim obejmuje Edmond Perrier. 1 maja broni pracy doktorskiej zatytułowanej „Życie i dzieło Filipa Ignacego Semmelweisa”. Niedługo potem, ponownie zaangażowany przez fundację Rockefellera i, przydzielony do Komisji Higieny Ligi Narodów, osiada w Genewie, zostawiając żonę i córeczkę w Rennes.

1933 – 35

W lutym 1933 roku zaczyna korespondować z Evelina Pollet („Céline – Zeszyty 5”), a także spotyka Elisabeth Porquerol, z którą będzie utrzymywał bliskie kontakty przez ponad dwa lata. 16 marca „Candide” drukuje artykuł mający stanowić posłowie do „Podróży”: „Trzeba wyjaśnić...” W maju zostaje odwołana publikacja niemieckiego tłumaczenia „Podróży do kresu nocy” u Pipera Verlags i w Berliner Tageblatt. Céline udaje się ponownie do Wiednia. Latem zaczyna pracę nad „Śmiercią na kredyt”. W połowie września Denoël&Steele wydają „Kościół”.

1 października pisarz wygłasza w Medan odczyt zatytułowany: „Hod Zoli”. W grudniu „Podróż do kresu nocy” ukazuje się w Niemczech w okrojonej wersji. Dalszy ciąg zamieszania związanego z przyznaniem nagrody Goncourtów w 1932 roku: w wyniku skargi złożonej przez dwóch członków jury (Josepha-Henriego Rosny starszego i Rolanda Dorgeles), którzy uważają, że zostali zniesławieni, trybunał w Seine, „uniewinnwszy” Jeana Galtier-Boissiere (który przeprosił oficjalnie), skazuje dziennikarza Maurice’a Yvana Sicarda.

W czerwcu Céline wyrusza do Stanów Zjednoczonych, gdzie zostaje przez prawie dwa miesiące. Proponuje swoją powieść producentom filmowym. Pod koniec listopada jedzie do Belgii, gdzie ponownie spotyka Evelyne Pollet. W lutym 1935 roku dołącza do N *** w Austrii. W maju poznaje pianistę Delforge’a („Céline – Zeszyty 5”), w Paryżu. W lip-

cu jedzie do Danii, do Niemiec i do Austrii z Lucjanem Delforge. Wróciwszy do Francji pracuje intensywnie nad „Śmiercią na kredyt”. W listopadzie jedzie do Londynu. Pod koniec roku nawiązuje znajomość z Lucette Almansor, którą poślubi w 1943 roku.

1936 – 41

Angażuje nowa sekretarkę, Marię Canavaggia, która będzie dokonywała korekty całej jego późniejszej twórczości. 12 maja Denoël&Steele wydaje „Śmierć na kredyt”; Céline przebywa w tym czasie w Anglii. Latem jedzie do ZSRR. W październiku nagrywa w SACEM swoją piosenkę „A noeud coulant” („Regulamin” – w marcu 1937 roku). W grudniu „Kościół” zostaje wystawiony w Lyonie, a „Mea Culpa” (pamflet antykomunistyczny) wraz z „Życiem i dziełem Semmelweisa” zostają opublikowane przez Denoël&Steele. W lutym 1937 roku pisarz wyrusza do Nowego Jorku, i przebywa tam około 10 dni. Od maja do września pracuje nad „Bagatelles pour un massacre”. W grudniu rezygnuje z pracy w przychodni w Clichy; wkrótce ukazują się „Bagatelles”. W 1938 roku podróżuje po Ameryce Północnej, Anglii i Bretanii, gdzie pisze „Szkolę trupów”, wydaną w listopadzie. W tym okresie uczestniczy w zebraniach organizacji antysemitycznych i koresponduje regularnie z przywódcami tych ruchów. 21 czerwca 1939 roku Céline i Denoël zostają oskarżeni o zniesławienie przez doktora Rouques (chodziło o „Szkolę trupów”); w ciągu dwóch miesięcy, wobec wejścia w życie dekretu Marchandea, potępiającego rasizm oba pamflety zostają natychmiast wycofane ze sprzedaży. Kilkakrotnie Céline polemizuje z artykułami prasowymi. Ukazuje się nowe, okrojone o sześć najbardziej bulwersujących fragmentów, wydanie „Szkoly trupów”. 11 grudnia Céline zaciąga się na zarekwirowany statek Chella jako lekarz pokładowy; statek ten zatapia przypadkowo, w styczniu 1940 roku w okolicach Gibraltaru, brytyjski okręt wojenny, (Céline pracuje nad „Wolą króla Krogolda”, tekstem, który nie został opublikowany). Wróciwszy do Paryża, zostaje mianowany dyrektorem przychodni w Sartrouville. Podczas ucieczki przewozi ambulansem starszą kobietę i dzieci aż do La Rochelle (pierwszy rozdział „Guignol’s band”). Pod koniec roku pisze „Les Beaux Draps” (opublikowane w lutym 1941) i pracuje w przychodni w Bezons. Podczas okupacji udziela 11 wywiadów lub odpowiedzi na ankiety, i wysła 31 listów do dzienników francuskich; część tych listów została opublikowana. Przeprowadza się na Montmartre, by być bliżej swoich przyjaciół: Gena Paula, Roberta Le Vigan, Marcela Aymé, Maxa Revoła, Jeana Perrot, Jeana Bonvilliers.

11 maja 1941 roku uczestniczy w otwarciu Instytutu studiów nad kwestiami żydowskimi, a 5 września w inauguracji wystawy „Żyd i Francja” w Palais Berlitz. W listopadzie ukazuje się ponownie kompletne wydanie „Bagatelles pour un massacre”. W grudniu „Les Beaux Draps” zostają wycofane ze sprzedaży w strefie nie okupowanej, a Céline w artykule zatytułowanym „Na przegierz” wzywa wszystkie osoby o poglądach antysemitycznych do zjednoczenia się i utworzenia własnej partii; 25 grudnia wygłasza przemówienie na antysemitycznym zebraniu, zorganizowanym przez jeden z dzienników.

1942 -1961

1 lutego Céline uczestniczy wraz z Lucette Almansor w konferencji zorganizowanej przez Jacquesa Doriot. Niedługo potem wygłasza wykład na temat „medycyny standardowej” w Szkole Nauk Medycznych. W marcu jedzie do Berlina. Po powrocie do Paryża podpisuje „Sprzeciw intelektualistów wobec angielskich zbrodni”. W sierpniu ukazuje się wydanie „Śmierci na kredyt”, z ilustracjami Gena Paula, a w październiku nowe wydanie „Szkoly trupów”, rozszerzone o przedmowę i fotografie. Pisze przedmowę do książki Alberta Serouille, „Bezons poprzez wieki”, opublikowanej w styczniu 1944 roku. „Guignol’s band” ukazują się w sprzedaży w marcu. Céline opuszcza Francję niedługo po swoich pięćdziesiątych

urodzinach, 17 czerwca. Ma zamiar dotrzeć do Danii, gdzie umieścił pieniądze na koncie. Pisarz i jego żona zostają zatrzymani w Niemczech, w Baden-Baden i nie otrzymują wiza do Danii. Zostają przewiezieni do Kränzlin, miasteczku w Brandenburgii („Północ”) i pozostają tam aż do października, kiedy to przybywają do „kolonii francuskiej” w Sigmaringen, w Południowych Niemczech („Z zamku do zamku”). Opuszczają to miasto 22 marca 1945 roku i 27 marca docierają do Kopenhagi („Rigodon”): dowiadują się o śmierci matki Céline’a, która nastąpiła 6 marca. 19 kwietnia zostaje wydany na niego nakaz aresztowania. Pisarz zostaje oskarżony o zdradę. 2 grudnia w tajemniczych okolicznościach zostaje zamordowany Robert Dencel, a 17 tego samego miesiąca Céline i jego żona zostają aresztowani. 28 grudnia Lucette Almanson zostaje zwolniona. Po licznych pobytach w szpitalu i rozpoczęciu pracy nad „Odpowiedzią na oskarżenia” i „Féerie pour une autre fois”, Céline zostaje zwolniony na słowo 24 czerwca 1947 roku. „La Rue” publikuje w listopadzie pierwszy powojenny wywiad Céline’a, przeprowadzony przez Roberta Massin. W maju 1948 roku państwo Destouche przeprowadzają się do posiadłości ich duńskiego adwokata, Me Mekklensena, w Klaskovgaard, nad Bałtykiem. W listopadzie Cahiers de la Pléiade publikują pierwszy rozdział „Casse-pipe”, zaś Albert Paraz „Gala des Vaches”, zawierającą liczne listy Céline’a, kończącą się „Lettre a Jean Paul Sartre L’Agite du bocal”. Charles de Jonquiere publikuje w grudniu balet „Foudres et fleches” („Pioruny i błyskawice”). W następnym roku „Podróż do kresu nocy” zostaje wydana przez Editions Froissart, zaś „Casse-pipe” przez Frederica Chambriand. 21 lutego 1950 roku Céline (który nie jest obecny podczas rozprawy) zostaje skazany na rok więzienia, 50000 franków grzywny, oficjalne potępienie i konfiskatę połowy jego majątku: zostanie ulaskawiony w roku 1951. W tym czasie Frédéric Chambriand wydaje „Śmierć na kredyt” i „Casse-pipe”. W lipcu 1951 roku Céline wraca wraz z żoną do Francji; podpisuje kontrakt na wyłączność z Gallimardem i we wrześniu osiada w Meudon. Wszystkie jego powieści, a także „Simmelweiss” i „L’Église” zostają ponownie wydane między marcem a majem 1952 roku. Pierwsza część „Féerie pour une autre fois” ukazuje się w czerwcu.

We wrześniu Céline otwiera gabinet medyczny i zaczyna przyjmować pacjentów we własnym domu. W czerwcu 1952 roku ukazuje się pod egidą „Nouvelle Revue Française” pierwszy zeszyt „Entretiens avec le Professeur Y” (wydawanych w ograniczonym nakładzie w 1953 roku). „Normance” („Féerie pour une autre fois II”) ukazuje się w księgarniach 25. W marcu 1956 Céline nagrywa swoje piosenki – sam pisarz śpiewa, zaś Arletty i Michel Simon czytają fragmenty jego pierwszych powieści. W czerwcu 1957 roku udziela „L’Express” drugiego wywiadu. Skandal, jakiego ten wywiad stał się przyczyną, stanowił znakomitą reklamę dla „D’un château a l’autre”. Na początku lipca, na prośbę wojennych kolaborantów, Céline publikuje w „Rivanol” artykuł „Niech żyje amnestia, Panie Ministrze”. Wywiad telewizyjny Pierra Dumaye z Céline’em zostaje wyemitowany 17 lipca. W serii „Ich dzieło i ich głos” zostaje zarejestrowany program „Mówi do was Louis-Ferdinand Céline”, w którym, między innymi, Arletty i Pierre Brasseur czytają fragmenty dwóch pierwszych powieści. W styczniu 1958 roku, w wydawnictwie Plon ukazują się przeprowadzone przez Roberta Poulet „Pogawędki z L.-F. Céline’em”. W lipcu 1959 Gallimard wydaje kilka baletów i scenariuszy w jednym tomie zatytułowanym: „Ballets sans musique, sans personne, sans rien” („Balety bez muzyki, bez tancerzy, bez niczego”). 19 lipca, bez wcześniejszych zapowiedzi, program o Celinie zostaje zdjęty z anteny. W maju 1960 roku Céline koresponduje z Claude Autant na temat adaptacji filmowej „Podróży do kresu nocy”. Gallimard zapowiada publikację „Północy”. Między 1957 a 1961 rokiem Céline przyjmuje licznych gości i udziela około trzydziestu wywiadów. 30 czerwca 1961 roku kończy drugą redakcję „Rigodon”. Umiera nazajutrz na zawał serca.

*Sporządził André Derval
tłumaczyła Dorota Rybicka*

Bolesław Taborski

Autostrada



Fot. Archiwum

ta najdziwniejsza straszna autostrada
poprzez wertepy złudzeń żądz omamów
wiedzie do piekła na ziemi w kosmosie
czyli donikąd bo gdzie indziej ono?
a czym jest piekło i kim dzisiaj diabeł
zgadnijcie sami bo i transcendencja
ma miejsce w głowie czyli tylko w mózgu
diabelskie sztuczki sprytnych szarlatanów
są sprawą gdy już nikt w diabła nie wierzy
poza nim samym i tymi co muszą
(kim by on nie był kim by byli oni)
jeszcze reżyser co nawet błąd w sztuce
zmienia implozją w majstersztyk uludy –
i tak przemyślnie belkot post-moderny
kreuje post-ład w głupim pseudo-świecie
ładnie zgubionym na prostych zakrętach
beładnie brzydkiej straszno-autostrady
unicestwieni wydarzeń sekwencją
hop już jesteśmy w piekle naszych marzeń

25.8.97

Bolesław Taborski, ur. się w Toruniu, gdzie był uczniem Szkoły Ćwiczeń przy Państwowym Pedagogium. W czasie wojny uczył się na tajnych „kompletach” Gimnazjum im. W. Górskiego w Warszawie. Został żołnierzem pułku AK „Baszta” w konspiracji i walczył w Powstaniu Warszawskim. Wywieziony do obozu jeńców Stalag XB k. Bremy, po wyzwoleniu ukończył Liceum Polskie w Lubce. W r. 1946 osiedlił się w Anglii, gdzie studiował teatrologię i anglistykę na Uniwersytecie w Bristolu. Od r. 1953 mieszka w Londynie. Był współzałożycielem i członkiem redakcji miesięczników „Merkuriusz Polski”, następnie „Kontynenty”. W latach 1959–93 pracował w Sekcji Polskiej radia BBC. Współpracował z pismami literackimi i teatralnymi, także w Polsce, oraz prowadził wykłady i zajęcia z tej dziedziny, głównie w USA, gdzie był profesorem wizytującym Uniwersytetu Miejskiego w Nowym Jorku.

Jako poeta zadebiutował tomikami „Czasy mijania” (Londyn 1957) i „Ziarna nocy” (Warszawa, PIW 1958). Wydał kilkanaście zbiorów poezji. W r. 1998 ukaże się nakładem PIW najnowszy tom jego wierszy „Biały niedźwiedź”, a w PWN książka o Powstaniu Warszawskim – „Moje powstanie – wtedy i teraz”. Jest też autorem szeregu prac z dziedziny teatru, m.in. „Nowy Teatr Elżbietkański” (1967), „Byron and the Theatre” (1972), „Karola Wojtyły dramaturgia wnętrza” (1989). Na język polski przełożył m.in. Graham Greene’a „Moc i chwała”, wybory poezji R. Roberta Gravesa i Roberta Lowella, 19 sztuk Harolda Pintera; a na język angielski – m.in. dramaty zebrane Karola Wojtyły i Stanisławy Przybyszewskiej, trzy tomy esejów Jerzego Kotta, „Zycie Majakowskiego” Wiktora Woroszyńskiego, dwie monografie o teatrze Jerzego Grotowskiego.

Elegia dla Jacqueline (1945-87)

jak duch złocisty przeszła przez ten świat
z koroną włosów i jasnym spojrzeniem
i dźwięków czarem co nas obezwładnia –
ona bezwładna odchodziła od nas

powoli by nas ze stratą pogodzić –
nie nigdy nigdy się nie pogodzimy
z odejściem piękna – z tą straszną chorobą –
jak ona grała ten koncert Elgara!

z nim żyła jego ból był jej cierpieniem
przeniosła go na innej sztuki szczyty
najpierw przeczuciem potem doświadczeniem
śmiercią – elegią dla naszego smutku

wybrańcy bogów tak krótko są z nami –
więc zubożeni o nią o jej dary
którymi byśmy chcieli sięgnąć nieba
jej nieba – tutaj jeszcze zostajemy

14.1.95

Ziemia obiecana

Salomon był to mądry król
napisał kiedyś Brecht
co mądrość królów poznał
lecz Mojżesz był mądrzejszy

lat czterdzieści swój szczep prowadził
po pustyni manowcach i wydmach
choć kompas niezawodny miał
w dyrektywach samego Jahwe

wiedział co robi udając że nie zna
tej monotonnej synajskiej trasy
wiedział że niewolnikom z egipskich pól
nie wolno wejść do ziemi obiecanej

a choć minęły lat tysiące
człowiek pozostał taki sam
i wciąż niewolnik umrzeć musi
by wolny człowiek żył

1991

Wierność

czy wierność zmarłym to ignorancja śmierci?
u zwierząt może tak – przed stu z górą laty
żył w Szkocji człowiek który miał pieska
po śmierci pana pies Bobby był wśród żałobników
i został już przy grobie miał wtedy dwa lata –
czternaście lat na cmentarzu Greyfriars
czekał na swego pana – ludzie go żywili –
zmarł mając lat szesnaście i to był początek
jego sławy – ma swój pomnik przy nim świeże kwiaty
wspomina się wciąż jego upartą lojalność
wierność prawdziwą co sięgała poza grób –
czy Greyfriars Bobby wiedział że pan przyjdzie
a on dołączy do niego po całym swym życiu?
choć nieświadom był śmierci – ona od życia na grobie
go wyzwoliła – jego małe kosteczki leżą w ziemi
a dusza z panem w raju – nagroda za psią wierność

Edynburg, 19.8.97

Bolesław Taborski

P O C O P I S Z E ?

Kontynuując ankietę, po odpowiedziach: Czesława Miłosza („Kwartalnik Artystyczny” nr 4/8/1995), Ryszarda Krynickiego, Juliana Kornhausera (nr 1/9/1996), Jana Józefa Szczepańskiego, Tadeusza Konwickiego, Zbigniewa Żakiewicza, Aleksandra Jurewicza, Andrzeja Stasiuka (nr 2 /10/1996), Henryka Grynberga, Stefana Chwina, Kazimierza Brakonieckiego (nr 3 /11/1996), Tadeusza Różewicza, Urszuli Koziół (nr 4 /12/1996), Michała Głowińskiego, Bogdana Czaykowskiego (nr 1/13/1997), Kazimierza Hoffmana, Janusza Stycznia (nr 2/14/1997), Grzegorza Musiała, Krzysztofa Karaska (nr 3/15/1997), Floriana Śmieji, Macieja Niemca (nr 4/16/1997) zamieszczamy kolejne wypowiedzi. Ciąg dalszy w następnym numerze. (red.)

Bolesław Taborski

Dlaczego piszę?

To jasne – z wewnętrznej potrzeby. Ale i z chęci podzielenia się odczuciami i refleksjami, inspirowanymi przez to coś, co się pojawia nie wiadomo skąd i pisać każe (kiedyś inspirację przypisywano Muzie, dziś raczej uważamy, że są to pokłady podświadomości, reagujące na zewnętrzne bodźce). A te odczucia i refleksje dotyczą człowieka i świata, w którym żyje; człowieka z jego pięknem i brzydotą, dobrem i złem, wzlotami go przerastającymi i upadkami (tymi „zwykłymi” i tymi przerażającymi w swej ohydzie); wreszcie – nieograniczonością jego aspiracji i ograniczonością możliwości. (Jakże pięknie i trafnie określili te „bieguny” człowieka – Sofokles w „Antygonie” i Wojtyła w „Przed sklepem jubilera”.)

Zatem piszę z chęci podzielenia się. Ale z kim? Właśnie. Dziś poeta nie jest wieszczem, cierpiącym za miliony i w zamierzeniu prezentującym się milionom. Poeta zwraca się dziś do pokrewnych sobie duchów, odbiorców nastrojonych na jego fale wrażliwości, czujących i myślących podobnie jak on, choć może nie zawsze potrafiących te odczucia wyrazić. Poeta może im dać, jeśli tego zechcą, poczucie, że nie są sami, że jest ktoś, kto mówi do nich, i nawet za nich, o tym, co ich trapi i cieszy. To poczucie pokrewieństwa z innymi, choćby było ich niewielu, jest już samo w sobie wystarczającą motywacją pisania, lepszą i ważniejszą chyba niż chęć samo-ekspresji, która – nie wsparta duchową więzią z innymi – aż nazbyt łatwo przeradza się w ego-

tyzm samozadowolenia i może być dla poezji czynnikiem destrukcyjnym.

Nie ulega jednak wątpliwości, że poeta nie dociera do wszystkich potencjalnych odbiorców, bo nie wszyscy posiadają „odbiorniki”. Wreszcie mogą nie znaleźć wydawcy, wydawca może mieć kiepską sieć dystrybucyjną, lub nie mieć żadnej, nakłady mogą być bardzo niskie. Ponadto – w kraju takim jak Polska, ludzi piszących wiersze jest bardzo, bardzo wielu, a niektórzy piszą nawet jakby podobnie i „zastępują” tego, co przebić się nie potrafi. Podaż z pewnością przewyższa popyt; ciekawe, że – jak w handlu, choć poezja, jeśli może być towarem, to raczej „nie chodliwym” – o sukcesie decyduje moda, reklama, auto-reklama.

Jednak wewnętrzna potrzeba pisania, jest też wewnętrzną siłą, która każe mi pisać, pomimo trudności dotarcia do moich odbiorców, do pokrewnych mi duchów, wbrew modom i zalewowi postmodernistycznego belkotu, które moją poezję – nawet nie wiedząc o tym – usiłują wyprzeć. Z czego? Nie z „rynku”, „gieldy literackiej”, czy z księgarni, bo tam na próżno by mnie od dawna szukać. Wyprzeć raczej ze świadomości – krytycznej, czytelniczej, czy jak to jeszcze nazwać. Dziś nie da się marzyć o „sile fatalnej” Słowackiego i dobrze wiem, że żadnego zjadacza chleba w anioła nie przerobię. A to może nawet lepiej. Przy całej mojej miłości do tego wielkiego poety, nie o to chodzi, by zjadacze chleba byli aniołami, lecz by byli *ludźmi*, bo to im zostało przez Boga dane. Być *człowiekiem* to wystarczająco trudne zadanie i odpowiedzialność, którą niestety nie wszyscy przedstawiciele gatunku homo sapiens biorą na siebie i wypełniają. A co do mojej poezji: jeśli jest ona coś warta, to kiedyś do kogoś trafi, więc piszę. A jeśli nie jest nic warta, to nie trafi – i to też byłoby rozwiązanie.

Bolesław Taborski

Ewa Sonnenberg

Po co piszę?

Po co mi to było? No właśnie po co?

Szarganie własnym życiem w imię wiarygodności zapisanego tekstu,

„od kiedy tak a nie inaczej – śmieszność”,

spotkania autorskie, czarne lakierki i koronki, tremy, podróże w pociągach drugiej klasy, przystanek: pogotowie, krople miętowe, choroby morskie i inne, antybiotyki i sulfaguanidyny, recepty, skierowania; honoraria na paczkę cukierków, rzesze czytelników:

jeden okaz na sto kilometrów (wersja optymistyczna), jeden okaz na tysiąc kilometrów (wersja pesymistyczna);

jawnie uprawiać masochizm, patologicznie buzować się upokorzeniem, i ta cudowna świadomość, że w tym samym momencie miliony za mnie robią sobie dobrze, mając gdzieś długą tradycję dramatu, bezproblemowo napychają się tłuszczami, białkami wysokokalorycznymi i witaminami;

te brzydkie tajemnice, które kryją teksty literackie, ciemne strony ich powstawania, nikt się nawet nie domyśla, ile bólu, ran, blizn, bezdomności, wyobcowania, choroby, smrodu, zwierzęcości ukrywa się za wierszami: delikatnymi, kruchymi lirykami lub też za grubą warstwą prowokacyjnego makijażu, błyskotliwe zabawy ze słowem lub stylem:

„a jak będę duża i silna”, czy zapomnę?

Czytanie wierszy, zagłębienie przez wizjer duszy, mylenie kreacji twórczej z prywatnością,

rzucanie metafor na pożarcie strategii myślenia i wiedzy, pomiary głębokości dokonywane szkolną, drewnianą linijką albo tępą brzytwą,

doświadczenie śmierci: nieuleczalna, miłosna zażyłość śmiertelności z nieśmiertelnością, ryzyko prowokowania, przelamywanie bariery rzeczywistości,

samotne boje z materią i jej ludzkimi odpryskami, ta cała atramentowa don kichoteria,

pojedyńki jeden za wszystkich, wszyscy na jednego.

Drobny wycinek biografii:

Jestem uczennicą trzeciej be, szkoła podstawowa, mam poważne problemy z przystosowaniem. Pewna polonistka skutecznie obudziła w dziesięcioletnich dzieciakach odruchy nacjonalizmu. Poskutkowało: sfera rozjuszonych dzieci gonila za mną po szkolnych korytarzach. Na własnej skórze, a przede wszystkim w nogach, odczułam, co znaczy Sonnenberg. Każda z przerw przypominała polowanie na czarownice. Właśnie wtedy polonistka ogłosiła konkurs poetycki, wygrałam go, a ci, którzy przed chwilą oddawali się przyjemnościom polowania, leczyli nienawiść, przepisując nagrodzony wiersz do zeszytów i grzecznie chórem powtarzając.

Jakie to piękne i sprawiedliwe: coś dla instynktu, coś dla ducha. Spodobało mi się! Dlaczego by tego nie kontynuować? Przewrotny dualizm robi niezły interes z przeznaczeniem.

„I tak tam kiedyś może za sto lat będziecie się uczyć na pamięć mojej nieciekawej biografii (”nieciekawej“ przez kłamaną skromność) – brzmiał ów „przesławny” cyrograf.

Wzruszające? Szczerłość jest zawsze żalonna, żalonne są też fabulki z morałami i happy endem, tryumfy dobra nad złem i odwrotnie;

nawet dzieci przestały bać się baby jagi, wiedzą, że taką funkcjonariuszkę strachu i zła też można przelecieć i jeszcze będzie chciała więcej, dokładnie przeszukując strukturę słowa „kocham”;

są sprawy, o których na darmo by pisać, przechodzą wszelką wyobraźnię, nawet artystyczną...

Piszę po to, żeby być piękną, sławną i bogatą.

dla mamusi, żeby miała czym chwalić się przed sąsiadkami i ekspedientkami supersamów,

dla polonistów i krytyków, żeby mieli w czego utrzymać rodziny,

bo efektowniej podrywa się chłopców i panienki, jak Withmana nie cieszy mnie zwykła większość, chcę mieć miłość wszystkich kobiet i wszystkich mężczyzn,

bo umiem być całym światem, a świat nie potrafi być mną, więc daję mu kopa i naukę,

bo trzeba pełnić jakąś rolę społeczną, jak piszą mądrzy psychologowie; znajdując się w tzw. sytuacji bez wyjścia, na takiej a nie innej szerokości geograficznej, pod koniec XX wieku zdegradowana do bezrobotnej i bezproduktywnej komórki społecznej, musiałam stworzyć sobie iluzję pracy i obowiązku.

Och! już teraz widzę te tablice pamiątkowe, debaty, konferencje, biografie, szkice krytyczno – teoretyczne, konkursy mojego imienia, rzesze wielbicieli i przyjaciół... te pomniki, marmurowe sanktuaria, chłodne świątynie, alabastrowe nagrobki, muzea, wystawy i mowy okolicznościowe.

Jak to po co?

Przecież dostałam dożywotne stypendium na tym świecie, wypisane na twarzy i w sercu, mam jeszcze raz go stworzyć, czyli od nowa ponazywać. Zdać dokładną relację tym, co przyjdą, bez ambicji tworzenia wielkiej literatury. To, co piszę, nazwałabym antyliteraturą, że zacytuje siebie: czy może być poetą ktoś, kto robi błędy ortograficzne, a interpunkcję traktuje jak bieg przez płotki? Odkąd pamiętam, kartka papieru i coś do pisania współlistniały ze mną jak serce, wątroba, żołądek, flaki, odbył, jak jeszcze jeden solidny układ trawienny. Żywi się wszystkim! Zjada duże i małe, świńskie, ohydne, wstrętne, pokręcone, paskudne, długie i krótkie, robactwo i zielsko. Nie stosuje żadnych środków, by sobie ułatwić ten proces. Na czysto, na żywca, na trzeźwo przeżuwałam, mięłą, trawię i wydalłam. A jest tego sporo. Albo więc jestem geniuszem, albo grafomanem. Je-

den i drugi układ jest nie do zniesienia. Stoję na skrzyżowaniu ulicy i zamiast iść dalej, zamieniam się w papier, potem gubię kartki i siebie, nic z tego, tylko skrzyżowana się zmieniają. To rodzaj kleptomanii, patologicznie reaguję na obecność papieru, nie mogę się powstrzymać, muszę uszczknąć choćby kawałek i uszczęśliwić go literkami.

Po co?

Bo „ja to ktoś gorszy” i takiemu wolno wszystko,

bo nie chcę brać udziału w oszustwie p.t. rzeczywistość,

bo tak reaguje moja nietykalność i autonomia,

bo jak każdy młody i głupi chcę zmienić świat na lepsze,

bo dzięki temu jestem człowiekiem w tej zmasowanej kulturze produkcyjnej cyber umysłów i zmutowanych odmian homo sapiens,

bo marzy mi się rząd dusz, kupujący w astronomicznych nakładach moje tomiki,

bo to mój najbardziej ulubiony i rozpieszczany błąd, a w chwilę po upadek, katastrofa, przegrana, koniec świata,

bo już nic mi nie pomoże,

bo i tak nigdy nie odpowiem, po co.

Grudzień '97

Ewa Sonnenberg

Ewa Sonnenberg

manifest wewnętrzny 1



Fot. Wojciech Malkowicz

Ja to ktoś gorszy wylbrzymiony do rozmiarów człowieka
zrobiony byle jak byle gdzie przypadkowy produkt czyjegoś orgazmu
nikomu nic nie jestem winna sama wybieram sobie matkę ojca
są przyjaciółmi kochankami karmię własnym mlekiem potem
nie mam długów wobec piękna dobra rozumu
na loterii losu wygrałam fortunę za wrogów płacę mi nieśmiertelnością

nie muszę pić alkoholu żeby mówić prawdę w kolorze trzewi
to co napisałam nie dygam po każdym słowie wiersze
kwaśna pasza dla ludu hodowanego na telewizji i festynach
mój żagiel języka wypływa na pełne morze nie potrzebuję
usprawiedliwień od przyjaciół domu lekarzy ducha sama napiszę:
mogłam grać grzecznie w kącie chopina daleko od zapachu
surowego mięsa nigdy go nie jeść nie nazywać „granica granic”
dobrze jest być na krawędzi można wszystko

manifest wewnętrzny 2

jakby tego wszystkiego było za mało
nie stać mnie na papier toaletowy
podcieram się własnymi wierszami
wychodzę z bramy i biorę

Ewa Sonnenberg, ur. w takim a nie innym miejscu Ziemi, w tym a tym roku n.e. Studiuje filozofię na Uniwersytecie Wrocławskim. Pisze wiersze. Ukazały się trzy tomy: „Hazard – przewodnik dla tych, którzy nie boją się prawdy”, „Kraina tysiąca notesów” i „Planeta”, w podtytule – „Ludzie! nie nabierajcie się na takie liryki!”. Za „Hazard” otrzymała nagrodę im. Geорга Trakla.

Współpracuje z krakowskim pismem literacko-artystycznym „Studium”. Dużo podróżuje, czasami mieszka we Wrocławiu. (E.S.)

pierwszą lepszą z długim nosem i małym
rozumem nie nie umiem nawet żebrać
od czasu do czasu zdarza się że zjadam
super elegancką z białym
homogenizowanym ale nie wiem
czym i wtedy świat wydaje się
piękniejszy moi ukochani bohaterowie
narodowi oślepiają nagimi torsami
nie mam pieniędzy ale mam natchnienie
metafizyczne przeczucie co ma być i tak
będzie przerabiam papier
w szzerozłoty uśmiech siwy

tekst bez właściciela

moje teksty zbieranina przypadkowych słów
jak ci ludzie spotkani pod byle jakim dachem
z nikim nie piłam wódki
z nikim nie byłam do końca
te dni na wynos wiatru po kolana
coś felernego było w tej windzie
w dół tylko ten jeden kierunek
wypadły do autoagresji

znam na pamięć swoje kieszenie
wiecznie puste z nieśmiertelnym ciepłem
duchem epoki zagłodzonym na niewidzialność
ma w sobie wszystko i wszędzie
na ty z budynkami tego miasta
po takich schodach jak do nieba
ciężko zachorować na wyobraźnię
bez próby generalnej i wietrzenia skrzydeł
smród ulic pachnie swobodą
ujarzmianie powietrza płucami
na śmierć zakrzyczane deszcze

Only for Men

Mężczyźni rodzili mnie w bólach uświadaminiania obcego w sobie
przeklinali los wylawiając z ognistej wody na oczach zdezorientowanych
samie wściekle przegryzali pępowinę

Mężczyźni karmili piersią regularnymi dawkami chłodu
wchodziła w ścięgna i mięśnie zastygły w niemożność odwrotu
ich mlekiem odrzucenie wyczekane do osatniej ciszy pasło serce

Mężczyźni sprzyjali mi w życiu kładąc na pustą i śliską powierzchnię
siatkę celów kartografia zwycięstw powoływali się na siebie w najważniejszych
momentach mojego życia lub pokazując najpiękniejsze miejsca Ziemi

Mężczyźni tylko mężczyźni potrafili prawdziwie czekać harde Penelopy
bywały cudownymi kobietami ze spokojem robili swoje
nie tracąc czasu na sentymentalne teorie zatrzaszywali drzwi

Tylko mężczyźni i przyjaźń bez iluzji twardość szorstkiego naskórka
pod palcami gdy nie ma się czego chwycić oszczędzanie na łzach i razach
no problem zaciskanie pięści wypelnionych szkłem

Mężczyźni nauczyli jak do końca bywa się oddanym sprawie
kobiety są po to by je dotykać zamki błyskawiczne by je otwierać na szybko
spódniczki by wkładać pod nie ręce noc by głęboko w nią wejść

Mężczyźni smak wódki i klęski bezpieczna obojętność
nie ma takiego miejsca do którego byłoby daleko
oddali mi wolność nie pytali o zgodę zostawiając na drogę żebro

Ewa Sonnenberg

Pięć dni w Brukseli z Charlesem Baudelaire'em

Dzień czwarty

Bruksela, „Hôtel des Étrangers”.
„Pacheco”.
Czwartek, 29 września 1864.

Nadar wystąpił z propozycją spotkania podczas wystawnej kolacji kilku brukselskich znakomitości z niektórymi swoimi przyjaciółmi z Francji i z innych krajów. Chciał uczcić szczęśliwą podróż „Géanta”¹. Rozesłał trzydzieści zaproszeń na czwartek 29 września na szóstą wieczorem do „Hôtel des Étrangers” przy ulicy Fosséaux Loups nr 32, gdzie wciąż mieszkał wraz z rodziną. Bankiet odbył się w dużej sali restauracyjnej na parterze. Pogoda nadal była piękna. Popołudnie ciepłe i słoneczne. Nadar oczekiwał i przyjmował swoich gości na zewnątrz u podnóża schodów. Ustawiono stoły i krzesła, podano aperitif. Goście witając się ze sobą przechadzali się, przysiadali, rozmawiali. Nadar podchodził i dowcipnie, serdecznie witał towarzystwo otwartymi rękami. Oto dwaj synowie Hugo: Charles i François. Oto burmistrz Brukseli Jules Anspach, dyrektor gazety „Indépendance Belge” Henri Bérardi, syn dyrektora gazety „Moniteur Officiel” Eugène Bourson, dwóch braci Ghémar, obaj zdolni fotograficy. A oto i kapitan Sterekx, inżynier Léon de Rote, Aleksander Dumas syn będący przejazdem w stolicy Brabancji, Jean Rousseau, redaktor „Figaro”, Renson, założyciel nowo powstałej „Gazette”, Gustave Frédéric, jeden ze znakomitszych krytyków literackich, M. Nizet-Corvilain, jeden z uczestników naszego lotu, i wielu innych. Oto i nareszcie Baudelaire, ku któremu pośpiesza Nadar. Znają się i lubią od lat, chociaż całkowicie różnią w poglądach na sztukę i literaturę. Nadar nie jest ani poetą, ani muzykiem, zupełnie nie zna się na wierszach ani na muzyce. Kiedyś tak odpowiedział na przysłany przez Baudelaire’a sonet: „Nic z niego nie rozumiem. Może po wydrukowaniu będzie mi łatwiej”. Wiersz ten zatytułowany „Le Rêve” wszedł w skład „Kwiatów zła” i dedykowany został „F.N”. (Félixowi Nadarowi)². Ten zaś nigdy nie mógł pojąć jego tajemniczego piękna. Pojawiła się pani Nadar, trzymając za rękę syna Paula. Przywitano ją radośnie i z szacunkiem. Była jedyną damą na uczcie.

O szóstej trzydzieści szef sali restauracyjnej ogłosił: „Pani i Pan Nadar zapraszają!” Burmistrz Anspach podał ramię gospodyni i powoli, bezładnie, ponieważ Nadar nie ustalił z góry miejsc, zaczęto byle gdzie zasiadać przy długim owalnym stole. Pomimo tego Nadar siadł na głównym miejscu, mając po bokach dwóch synów Hugo, a pani Nadar naprzeciw niego, mając po swojej prawicy Anspacha, a po lewicy Aleksandra Dumasa syna. Mnie się nie powiodło, bo byłem na przeciwległym niż Baudelaire’emu.

¹ „Géant” to nazwa skonstruowanego przez Nadara balonu, którego lot odbył się 26 IX 1864 r. w Brukseli. [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.]

² Pełna nazwa wiersza to „Le rêve d'un curieux”, umieszczony w 3. edycji „Kwiatów zła” z 1861 r.

laire końcu. Menu było dziwne, chociaż wyszukane. Ułożył je sam Nadar, czym naraził się na sarkazmy Baudelaire'a. Przypominam sobie, że na początku podano pieprzną, a nawet bardzo pieprzną zupę, a na końcu bombę lodów nazwaną „bombą Olbrzyma”³, a to dlatego, iż kształtem przypominała balon w kolorach Francji i Belgii. Niebieski był bardzo słaby, żółty bardzo jasny, a czarny pas belgijskiego sztandaru zrobiony był z czekolady. Ta gruszkowata wielokolorowa bomba wielce się spodobała. Zamówiono drugą taką samą. Szef restauracji musiał przeproszać tłumacząc się, że nie tak łatwo powtórnie przygotować lód. Bombie towarzyszył monstrualny placek okrzyknięty „Plackiem Nadara”, na który przepis dał nasz aeronauta, artysta kulinarny niegorszy od samego Alexandra Dumasa ojca. Na deser podano szampana, a Anspach wznosił toast za męstwo Pani Nadar oraz za rychły podbój przestworzy przez „cięższego niż powietrze”. Nadar odpowiedział, zgodnie ze swoim zwyczajem, mową pełną zabawnych aluzji i wywodów, zakończoną zaproszeniem gości do wysłuchania trzech wymownych listów, które otrzymał w przeddzień lotu od Pani Sand, Victora Hugo, Louis Veuillota. List Hugo, górnołotny i apologetyczny, stał się sławny. Pani Sand nazwała Nadara „moim chłopcem” i przekazała mu swoje świeckie błogosławieństwo. Natomiast Louis Veuillot gorąco wyrzucał Nadarowi niereligijność, pisząc: „W razie niebezpieczeństwa spójrz w niebo i rzucaj kotwicę w górę!” Odczułem, że z tych trzech przytoczonych z emocją listów krzepiące przesłanie Veuillota najcieplej trafiło w czułe serce niewierzącego Nadara. Siedząc pomiędzy Jeanem Rousseau a Léonem de Rote oddalony byłem od Baudelaire'a, lecz on mnie widział i nie spuszczał ze mnie oczu. Dał mi znać, że pochwała szlachetne słowa Veuillota.

Rozmowy, coraz głośniejsze, poczęły się toczyć na różne tematy. Szampan rozwiązał języki, przyjęcie trwało jeszcze dosyć długo, do kawy podano rozmaite likiery. Nadar, wierny starym zasadom swojego przyjaciela Henry Murgera, „amatora wody”, odstawił wino, zaledwie mocząc wargi w stylowym kieliszku do szampana. Wypijał natomiast sporo filiżanek kawy, którą rzeczywiście lubił.

Okolo dziesiątej goście wstali od stołu i wyszli na dziedziniec na papierosa i piwo zgodnie ze zwyczajem belgijskim. Noc była czarująca, niebo rozgwieżdżone, panowała wyjątkowo przyjemna temperatura jak na tę porę roku, szczególnie w Belgii. Po upływie kwadransa większość gości wyszła. Pozostało nie więcej niż dziesięć osób, które wymienię za chwilę. Z kolei pani Nadar opuściła przyjęcie i udała się do dziecka. O jedenastej godzinie Nadar, miłośnik nocnych przechadzek, zaproponował spacer po mieście, co zostało chętnie zaakceptowane. Wszyscy ubrali się, zapalili cygara, wyszli. Jedyne ja jeden nie paliłem. Baudelaire zdziwił się temu, jak już to uczynił w Hôtel du Grand Mirroir i w Waterloo. Poprosił o wyjaśnienie. Odpowiedziałem mu, że zapaliłem tylko raz, że to pierwsze cygaro sprowadziło na mnie takie boleści, że nie zaczynałem więcej.

Nadar szedł na przodzie wraz z Alexandrem Dumas synem i kapitanem Stereksem. Za nimi szli inżynier Léon de Rote, Jean Rousseau, Gustave Frédéric wraz z dwiema innymi osobami, których nazwisk nie pamiętałem. Baudelaire oraz ja sam zamykaliśmy orszak. Nadar był naszym przewodnikiem, szliśmy za nim wzdłuż budynków Narodowego Banku do ulicy Bois Sauvage, gdzie przystaliśmy, aby podziwiać północne

³ „Géant” – Olbrzym.

skrzydło Sainte-Gudule⁴, którego kamienna ażurowa dekoracja rysowała się wyraźnie w delikatnej księżycowej poświacie. Gustave Frédéric i Nadar skorzystali z okazji, że znajdowaliśmy się na wprost bocznego portyku, i wygłosili całą przemowę o gotyku płomienistym, którego ten portyk był mistrzowskim przykładem. Następnie ruszyliśmy dalej. W pobliżu Schaerbeek Nadar zatrzymał się dokładnie w tym samym miejscu, z którego cztery dni wcześniej wzbił się w powietrze „Géant”. Oparliśmy się o kamienną balustradę Ogrodu Botanicznego, aby kontemplować do woli wspaniałą nocną panoramę Koekelberga. Wtedy też opuścili nas Gustave Frédéric i Jean Rousseau, mówiąc nam dobranoc.

Pozostali Nadar, Alexander Dumas syn, Sterckx, de Rote, dwóch nieznanymi, Baudelaire i ja. Nadar z Alexandrem Dumas odeszli na bok, aby się naradzić, tak, że nie mogłem odgadnąć, o co im chodziło. W każdym razie stanęli obaj na czele kolumny i poprowadzili nas w dół bulwarem Ogrodu Botanicznego aż do ulicy Pacheco, następnie wokół Collège Saint-Lois, by trochę niżej skierować się do dobrze znanego, specjalnego domu uczęszczanego przez brukselskich notabli oraz wielką burżuazję. Szedłem wraz z moim towarzyszem zupełnie nie zdając sobie sprawy ani z tego, dokąd zmierzamy, ani z charakteru miejsca, które skrywał ten budynek. Baudelaire szepnął mi do ucha:

– To taki zwyczaj w Brukseli. Wszystkie wieczorne przyjęcia kończą się w domu publicznym.

Po przejściu mrocznego korytarza weszliśmy do rzęsiście oświetlonego salonu, którego ściany były pomalowane na olejno, a meble powleczone czerwoną turecką tkaniną. Przywitała nad postawna, przesadnie umalowana i wydekoltowana dama w czarnym aksamitnym stroju. Była to pani domu, kobieta mająca co najmniej pięćdziesiątkę. Witając nas ceremonialnie, powiedziała:

– Zechciejcie państwo usiąść. Moje damy zaraz zejdą!

Po czym nacisnęła dzwonek i uważnie spojrzała na mnie. Przez chwilę myślałem, że zapyta o mój wiek i zabroni mi wstępu. Ale byłby wstyd! Zachowałem pewność siebie. Nagle spoza gwałtownie otwartych drzwi buchnęły głośne śmiechy, piosenki, obsceniczne słowa wraz z obrzydliwym zapachem piżma, a następnie pojawiły się w salonie wokół nas na wpół ubrane czy rozebrane nimfy – około dziesięciu Francuzek i Niemek, tłustych, chudych, wysokich, niskich, blondynek i brunetek. Część z nich usiadła na kanapie, pozostałe śmiało ruszyły w naszą stronę. Onieśmielony trzymałem się na uboczu. Po raz pierwszy w życiu odwiedzałem kobiety karawanseraj. Zamyślonny Baudelaire stał w rogu salonu. Pani domu donośnym głosem zadała typowe tu, bo w formie rozkazującej, pytanie:

– Czego się panowie napiją?

– Do licha! Szampana! – wykrzyknęli jednocześnie Nadar i Dumas.

Wkrótce wystrojona służąca wniosła na dużej tacy kieliszki i butelki, którymi zajęła się własnoręcznie pani domu, dbająca osobiście o reputację zakładu i dobre samopoczucie gości. Natychmiast zresztą wyczuła nieomylnym węchem bystrej handlarki, że miała do czynienia z wyjątkowymi klientami. Zarządziła otwarcie butelek i zaczę-

⁴ Katedra St. Michel et Gudule (XIII-XV, XVII/).

ła rozlewać wino uważając przy tym, żeby nie wylać musującej pianki. Kiedy nadeszła moja kolej spostrzegłem, iż spójrzała na mnie nieledwie po macierzyńsku. Poczęto wznosić najdziwniejsze toasty, trącając się kieliszkami. Panienki piły dużymi haustami, aby przypodobać się matronie, która widocznie naklaniała je do tego. Już wtedy trzech lub czterech naszych ulotniło się w towarzystwie rozkosznych kompanek. Pomiędzy tymi, którzy pozostali zawiązała się rozmowa na temat egzotycznego nazwiska Pacheco, który nosiła ulica oraz sam ten gościnny dom.

– Kto to był ten Pacheco? – pytano.

– To nazwisko jednego z Hiszpanów – ktoś odrzekł – szlachcica, a może nie, który z dalekiej Katalonii lub Estramadury przybył do Niderlandów, zamieszkali w większych miastach Flandrii, gdzie założyli swoje rodowe siedziby. To dlatego wiele belgijskich rodzin nosi dzisiaj iberyjskie nazwiska.

– Ja – rzekł Baudelaire – opowiadam się za szlachetnym Pacheco, którego straszliwą śmierć opisał Hugo w „Legendzie wieków” w pieśni błędzących rycerzy.

Pani domu nieśmiało wtrąciła:

– Myślę, że pan Pacheco był raczej dobroczyńcą miasta, ponieważ w testamencie dużą sumę przeznaczył na szpital św. Jana znajdujący się naprzeciw nas. To dlatego nazwisko to wypisane jest na jego fasadzie oraz nosi je nasza ulica.

– A więc – przerwał Nadar, który zawsze miał na podorędziu żartobliwe słowa – proponuję podwójny toast za tego wielkiego Pacheco, szlachetnego dobroczyńcy cierpiącej i kochającej ludzkości, gdyż, jak przypuszczam, to on ufundował ten azyl, gdzie znaleźliśmy kojące schronienie.

Ze wszystkich stron podniosły się okrzyki: „Niech żyje Nadar! Niech żyje Pacheco!”

Pani domu zaprotestowała.

– Ależ nie, ależ nie! Panowie!

Baudelaire w swoim kącie milczał. Powolutku przesuwałem się w jego kierunku szukając osłony przed dotykami i natarczywymi gestami zachęty ze strony grubej blondyny. Poeta jednym zdecydowanym ruchem uciał natychmiast jej zachcianki. Ponadto pozostałe nie zajęte damy wycofały się również. Reszta współtowarzyszy także opuściła salon. Baudelaire i ja zostaliśmy sami. Milczeliśmy. Baudelaire spojrzał na mnie spokojnie, lecz wyczułem, iż jest bardzo zmieszany. Po chwili zaczął powoli mówić:

– W życiu codziennym człowiek zachowuje swoją wolną wolę i nie jest zmuszany robić tego, co inni. Zły przykład jest niebezpieczny i zdarza się często, lecz kiedy dusza jest zahartowana, wcale nie musi temu ulec. Życie jest długie i z zasady zepsute. Trzeba się strzec od początku. Można się tego nauczyć. Jeden z największych kaznodziejów, wilebny ojciec Lacordaire, spisał metody postępowania dla młodzieży. Posłuchaj, co powiedział w jednej ze swych najbardziej wzniosłych „ nauk ” – sześćdziesiątej pierwszej – której taki fragment na zawsze zapamiętałem.

Baudelaire zwrócił się całym sobą do mnie i zaczął półgłosem deklamować, wyraźnie akcentując każde słowo i naśladując poważny ton kazania:

– Przyjacielu, dziecię matki, która wydała cię na świat w świętym związku małżeńskim, bracie siostry, której cnoty jesteś strażnikiem, ach, nie plam hańbą tego wielkiego dobra, które uczyniło cię człowiekiem!

Baudelaire powtórzył z naciskiem: ... tego wielkiego dobra, które uczyniło cię człowiekiem. Potem kontynuował:

– Przyjacielu, zachowaj czystość! Zachowaj w swoim kruchym ciele honor swojej duszy, to religijne źródło, skąd wypływa życie, gdzie rozkwita miłość. Przygotuj swoje wnętrze do świętych przyjaźni i związków, które mogłoby pobłogosławić niebo z ziemią...

Jego głos coraz bardziej stawał się przeszywający:

– Jest na świecie, pomiędzy twoją matką i siostrą, pomiędzy twoimi przodkami a potomkami, delikatna i lagodna istota przeznaczona tobie przez Boga. Ukryta przed wszelkimi spojrzzeniami już teraz żyje dla ciebie, którego jeszcze nie zna, tobie poświęcając swoje upodobania, dla ciebie rezygnując ze wszystkiego, co mogłoby nie spodobać się najmniejszemu z twoich pragnień...

Baudelaire wstał, uniósł szerokim gestem karności rękę i coraz dobitniej mówił:

– Zachowaj dla niej swoje serce tak, jak ona zachowuje twoje dla ciebie. Nie przekazuj jej zepsucia, kiedy ona ofiaruje ci swoją miłość. Jeśli ona poświęca się dla ciebie dzięki jedynej miłości, to ty, powodowany tą samą miłością, powstrzymaj swoje popędy i uczyni z nich sprawiedliwą i krwawą ofiarę...

Już od dłuższego czasu pani domu, która wcześniej wycofała się, obserwowała nas przez uchylone drzwi, a następnie cichutko weszła i przysłuchiwała się słowom Baudelaire'a. Wreszcie wykrzyknęła:

– Święta prawda, panie Baudelaire! – nazwisko poety musiała usłyszeć po raz pierwszy zupełnie niedawno wypowiedziane przez Nadara.

Zbliżyła się i dodała ciszej, jakby wyjawiając sekret:

– Ja także mam piętnastoletniego syna, którego kształcę daleko stąd w gimnazjum na prowincji, aby został uczciwym człowiekiem. On nigdy nie pozna źródeł, skąd są pieniądze, które płacę za jego wykształcenie, żeby przygotować mu godną przyszłość. Chciałabym, żeby został księdzem, zbawił się, odkupił swoją matkę...

Scena ta gwałtownie została przerwana przez wesołe odgłosy. Znowu otworzyły się raptownie drzwi i nasi współtowarzysze powrócili do salonu śmiejąc się i żartując, poprawiając na sobie rozpiętą garderobę. Opóźnione do połowy butelki szampana zdawały się czekać zrezygnowane na powrót z Cytery tych spragnionych smakoszy. A ci nie kazali sobie prosić, chwycili swoje kielichy i zaśpiewali chórem: „Pijmy! Pijmy! Ponad wino i kobiety nie ma nic lepszego na ziemi!”

Baudelaire wziął mnie pod rękę i wyprowadził. Ubrał swoją długą czarną opończę, która miała go chronić przed nocnym zimnem. Na głowie miał kapelusz z szerokim rondem, siwiejące włosy opadały mu długimi lokami na kołnierz, tak że w półmroku wyglądał jak jakiś uczony doktor. Nic nie mówiąc do siebie dotarliśmy do naszych domostw. Już u siebie rozbierałem się niespokojny i przekonany, iż uniknąłem wielkiego niebezpieczeństwa.

Tej nocy zasypiałem powoli, zachowując jasne wrażenie, że Baudelaire ustrzegł mnie na zawsze od nieczystych postępków i haniebnych związków.

Georges Barral
 tłumaczył Kazimierz Brakoniecki

Tłumaczenie według: Georges Barral, „Cinq journées avec Charles Baudelaire à Bruxelles”, Éditions Obsidiane 1995, str.99,5 nlb. Préface de François Lallier.

W 1995 roku ukazała się w Paryżu książeczka autorstwa Georges'a Barrala zatytułowana po prostu „Pięć dni z Charlesem Baudelaire'em”, której pierwsze wydanie pojawiło się w 1932. Barral był w 1864 r. młodym pomocnikiem Nadara (właściwie Félixa Tournachona) – słynnego francuskiego fotografika i aeronauty – który postanowił wzbić się w powietrze na skonstruowanym przez siebie balonie „Géant” na oczach króla Leopolda I w kolejną rocznicę uzyskania niepodległości przez Belgię. Przebywający od 24 IV 1864 r. w Belgii na dobrowolnym wygnaniu (miało to być samoukaranie) Baudelaire, miał być jednym z uczestników lotu, do czego zresztą nie doszło, bo „statek powietrzny” był przeciążony, a sam jego lot trwał w rzeczywistości raczej krótko. Poeta pozostał – w krytykowanej i ośmieszanej przez siebie Belgii – do 2 VII 1866 r., kiedy jako ciężko chory przetransportowany został do Paryża.

Książka wspomnieniowa Barrala wzbudzała i nadal wzbudza wiele kontrowersji. Podważana jest autentyczność wspomnień i faktów dotyczących oczywiście samego Baudelaire'a. Wszyscy dobrze znamy obiegowe opinie o tym poecie, który miał być poetą przeklętym i satanistycznym, dyndysem i degeneratem. W każdym razie relacja młodziutkiego podówczas Barrala przyniosła całkowicie odmienny od ustalonych wizerunek poety... i nie mieściła się w normach uznanych za baudelaire'owskie. Dzisiejsi czytelnicy zwracają uwagę na młodociany wiek pamiętnikarza, jego łatwowierność, na skomplikowaną psychikę poety, którego gry na pewno nie mógł odkryć i docenić prostolinijny młokos.

Jakkolwiek było, to te „budujące wspomnienia” pozostały mało znane i nie zmieniły – bo nie mogły – generalnej oceny poety i jego poezji. Jasne, że książeczkę tę należy czytać wraz z innymi relacjami, wraz z powstającymi wówczas utworami samego poety, a szczególnie z jego intymnymi zapiskami. Baudelaire chciał być... księdzem, ojcem, chciał być zdrowym geniuszem (zazdrościł mocno Victorowi Hugo), a był tym, kim był... W każdym razie scenę w burdelu czyta się w zupełnie innym nastroju, niż w tym zaprojektowanym (może świadomie) przez poetę i – następnie po latach – przywołanym przez niewinnego admiratora.

Szkoda, że nie mamy żadnej – nie licząc przetłumaczonej małej monografii Ruffa – prawdziwej biografii Baudelaire'a. Szkoda, bo we Francji (choć nie tylko) powstaje ich kilka rocznie!

K.B.

Prawda

(wszelkie naśladownictwa – zamierzone)

I

Łatwa jak śmierć
płaska jak szkolna tablica
nudna jak konieczność
nieistotna jak zeszłoroczna odwilż
smutna jak dziecko bez zabawek
nieruchoma wśród rozpędzonych karuzeli
niezmienna w mozaikach kalejdoskopu
matowa w mieniącym się wachlarzu

oczywista naga surowa gorzka twarda

Tylko tchórze mówią prawdę
bojąc się zawikłać
pogubić
w mirażu niezaistniałych ewentualności
wymagowanych wariantów
nieweryfikowalnych hipotez

Poprawnego wątku trzymają się tak kurczowo
jakby każde odstępstwo –
najmniejszy fałszywy krok
miał ich na zawsze wpędzić stoczyć
w labirynt wir przepaść

Paraliżują ich role pozy próby
Wzdragają się przed założeniem maski
jak przed połknięciem trucizny –
jakby maska miała ich przeniknąć
nimi zavladać
uczynić niewolnikami
czy też jakby sama –

niczym niewolnik planujący zdradę –
w decydującej chwili przełomowej rozgrywki
zamierzała odpaść

Zdumiewająco zakłamani
kiedy wmawiają sobie
że ta prawdziwa – to najlepsza
potępiając tych którzy sięgają po najlepszą –
potępiając pośpiesznie –
czy nie z obawy że mogliby zazdrościć?

II

Kłamstwo może wybierać
prawda nie daje wyboru

Kłamstwo może myśleć
prawdę zadowoli bezmyślność

Prawda zmierza prostą drogą
nawet gdy droga ta wiedzie do klęski
Kłamstwo niezłomnie dąży do celu

Prawda obnaża słabości –
a więc błaga o litość
jeśli wygra – to dzięki łasce losu
szerokim okom sieci
niskiej poprzeczce
Kłamstwo wychodzi niebezpieczeństwu naprzeciw
mierzy się z nim wyważa strategię
ryzykuje –
i zwycięstwo sobie zawdzięcza

Prawda trzyma w zanadrzu tabliczkę
z rzekomym usprawiedliwieniem:
„ŚWIADCZYŁEM PRAWDZIE”
Kłamstwo bierze odpowiedzialność
nie szuka fałszywych uniewinnień

III

Co za brawura
naginać rzeczywistość
wbrew dowodom i faktom
tworzyć własną – nową wersję zdarzeń

dodawać jej tonów barw
jak artysta
pogłębiać szlifować
aż stanie się bardziej wiarygodna niż ta
która miała miejsce

Być jednocześnie
sobą –
i kimś innym – i kimś jeszcze innym
chwytać się zawodów
aktora iluzjonisty ekwilibrysty zonglera
hazardzisty hochsztaplera
wszystko
żeby na koniec
zyskać z góry wybraną
dla siebie przeznaczoną
jedyną siebie godną
tożsamość –
triumfatora

Tak
stawiać na jedną
atutową
wierną na dobre i złe kartę
determinacji –
zanim uczciwość skreśli nasze szanse
i obróci się przeciwko nam
wobec porażki i żalu przybierając
wzgardliwy
drwiący grymas

IV

Chcę grać
udawać
ludzić
nęcić wabić
wprowadzać w błąd
mylić ślady
kryć się zapierać
zaprzeczać
przemilczać tać
tuszować –
zastawiać pułapki
obmyślać podstępny

stwarzać pozory
robić sztuczki
być na niby na pokaz
zgrywać się
błaznować –
oszukiwać fałszować
szachrować
nabierać
mataczyć
kręcić mącić
mystyfikować
łgać cyganić bujać błagować –
wyzywać los
kusić go igrać z nim
wodzić za nos
brać za rogi
targować się prowokować
zaskakiwać
narażać gardło
szarżować
wahać się cofać
balansować
żyć
klamać
klamać

Samantha Kitsch

Julian Kornhauser

W czasie, gdy



Fot. Archiwum

Skończyła się kawa rozpuszczalna, zajrzeli do szafki nad lodówką, znaleźli wśród przypraw i małych, pustych buteleczek po syropach jedno opakowanie kawy zmielonej „Fort”. Kiedy rozcięli nożyczkami srebrną, próżniową wkładkę, uniósł się w kuchni drażniący, mocny zapach. Wsyпали do białych filiżanek po jednej łyżeczce kawy, zalali wodą i odstawili na parę minut.

W tym czasie Georges Perec, którego nazwisko uporczywie wymawiali „peretz”, a nie z francuska „perek”, w otoczeniu przyjaciół z OuLiPo w ogrodzie Francois Le Lionnai we wrześniu 1975 roku, ubrany jako jedyny w tym gronie w białą koszulę, z rozwichrzonymi jak zawsze włosami, wpatrywał się w Paula Brafforta, trzymającego w dwóch rękach miniaturkę chimery. Czemu Pereca zaciekała złota, błyszcząca w słońcu chimera? Czyżby już obmyślał kolejny ruch skoczka szachowego w swojej nowej powieści? Tak, chimera mogłaby w sypialni na pierwszym piętrze zabić wzrokiem panią Trévins. A zniechęciła pani Moreau przy urządzaniu mieszkania sięgnęłaby po figurkę chimery, by położyć ją na parapecie kominka.

Mała Aga siedząca na ławce mniej więcej w tym samym roku na Placu Grunwaldzkim w Gliwicach i weinająca czekoladowego andruta spogląda w obiektyw aparatu fotograficznego z całkowitą obojętnością. Nie wie oczywiście, kim jest Georges Perec, który postanawia napisać grubą książkę, gdzie nie znajdzie się żadne słowo z samogłoską „e”. Aga wprawdzie nie mieszka w Gliwicach, tym Paryżu Górnego Śląska, jest tu przypadkiem u swojej babci, jednak jej sukienka w duże białe grochy ma w sobie coś śląskiego. Co mia-nowicie? Jej suche, wyblakłe kolory nie odbiegają wiele od koloru trawy, która rozpano-szyła się na placu. Ławka, na której siedzi, jest ciepła i swojska jak śląskie podwórko.

Kawa, pita małymi łykami, przyjemnie rozplywa się w przelyku i żołądku, żrenice rozszerzają się, ból głowy, tak nieznosny do tej pory, powoli ustępuje. Niebo za oknem tężeje, fioletowieje i na jego tle niewysokie budynki nad rzeką wydają się prze-raźliwie białe, zupełnie jakby nagle unurzały się w mące. Kwitnący bez za płotem chwie-je się na wszelkie strony, jest w tym coś fascynującego. Siedzą przy stole prawie nie rozmawiając, wpatrzeni w nagą biel zbyt topornych filiżanek, a ich pojedyncze słowa i krótkie, nic nie znaczące zdania odbijają się od kolorowych pól, wiszących na ścia-nie. Kawa zbliża, dając poczucie intymności i spokoju.

Julian Kornhauser, ur. 1946 r. w Gliwicach, poeta, prozaik, esaista. Jeden z czołowych reprezentantów *Nowej Fali*. Wraz z Adamem Zagajewskim opublikował „Świat nie przedstawiony” (1974). Opublikował m.in. tomiki wierszy: „Nastanie święto i dla leniuchów” (1971), „Stan wyjątkowy” (1978), „Kamyk i cień” (1996); powieści „Kilka chwil” (1975) i „Strzępiciel idei” (1980), „Dom, sen i gry dziecięce”. Zajmuje się także twórczością przekładową (m.in. poezji serbskiej). Mieszka w Krakowie. (red.)

Perec już obmyśla następny anagram, żeby zabić pojawiającą się niespodziewanie nudę i żeby nie odpowiadać Boberowi na pytanie o bycie Żydem. Wie oczywiście, że mógłby pleść androny o braku przynależności, o filozofii niejasności i zakłopotania, o niepewności i czymś tam jeszcze. Ale po co? Woli spoglądać na figurkę chimery i obmyślać anagram do przygotowywanego pięcioelementowego zbioru, który poświęcił Raymondowi Queneau. Ach, jak lubi sporządzać listę obowiązków, jak rozkoszuje się listą obowiązków i doprowadzoną do skrajności grą przymusów. Czy to on sam przyrównał ją do puzzli i do najbardziej rozpowszechnionych w tej grze elementów, a więc ludzików, krzyży lotaryńskich i krzyżyków? Prawdę mówiąc już nie pamięta i właściwie nie przywiązuje do tego wagi. Italo Calvino mógłby coś na ten temat powiedzieć, ale teraz właśnie śmieje się z dowcipu, którym ktoś uraczył całe towarzystwo, rozpanoszone w ogrodzie. Perec przypomina sobie dwa zdania, jakie napisał w „Przestrzeniach” o swoim łóżku, mianowicie: „Wiele podróżowałem leżąc w swoim łóżku” oraz „W łóżku spędza się ponad jedną trzecią życia”. Napisał to całkiem niedawno, szumią mu jeszcze te zdania w uszach i trochę jest zły, że użył słowa „ponad”: trzeba było zrezygnować z niego, albo napisać zamiast tego zdania: „Całe niemal życie”. Ale już jest za późno, już to zdanie stało się faktem. Ale właściwie dlaczego wyszedł z tym łóżkiem? Czyż opis pokoju straciłby na wyrazistości, gdy łóżko zastąpił stołem? Wpatrzony w pobłyskującą chimerę tracił powoli spokój, tym bardziej że Calvino, zaciągając się dymem, coraz bardziej wydawał się nadmuchany wielkością, czego nie mógł znieść.

A Aga? Jej krzywo ucięta grzywka, zachodząca śmiało na oczy, nieco nastroszona, ale wesoła, daje znać o zbliżającym się odjeździe. Tak, najwyraźniej chce wyjechać do Krakowa, choć przecież jeszcze nie wie, czym Gliwice różnią się od Krakowa. Na razie jednak jest wpatrzony w stokrotki, niedaleko ławki, na której siedzi, a właściwie już z niej schodzi, aby pobiec w stronę pobliskiego cmentarza. Za chwilę biegnie, zbliża się do obtłuczonego muru na tyle niskiego, że potrafi wspiąć się nań i pomagając sobie rączkami najpierw usiąść, a potem ostrożnie, krok za krokiem, przemaszerować kawalek po jego chropowatej powierzchni. Ojciec kiwa do niej, uśmiechając się, najwyraźniej zachwycony tym obrazkiem. Wiatr porusza gałęziami kasztanów, okalających niewielki cmentarz z zaniedbanymi grobami żołnierzy radzieckich. Upalne lato tego roku nawet nie daje się zanadto we znaki właśnie z powodu ustawicznie wiejącego wiatru. Wiatr przynosi kapryśne zapachy miodnych kwiatów, ale i odurza swądem nieokreślonego pochodzenia. Oba zapachy mieszają się ze sobą, wytracając po drodze właściwy sobie impet i ocierając się o siebie iskrzą niewidzialnymi płomykami kurzu, lipowej słodyczy i gestej, słonecznej masy. Mała Aga poruszając się zgrabnie na murku zdaje się ulegać wpływowi tego gęstego powietrza, poddaje się naporowi wiatru, nicomal unosi się jak kot zeskakujący z parapetu na miękką trawę. Perec pewnie powiedziałby w tym miejscu, że to nie w duchu olimpijczyka, bo nie mieści się w przewidywalnej strukturze, nie jest zagmatwane i nie jest labiryntem. Ale dlaczego postępowanie Agi ma być zaprogramowane? Dlaczego jej opis na murku ma coś przewidywać, na Boga? Jeszcze niczego nie przewiduje i nie jest zaplanowane. Kiedy Perec jakiś czas temu wybrał sobie dwanaście miejsc w Paryżu i postanowił, że każdego miesiąca będzie je odwiedzał po kolei i opisywał jak najdokładniej, a potem jeszcze notował wspomnienia o każdym z nich, to ów rygorystyczny plan, choć udal się nadzwyczajnie i stał się w rzeczy samej opowieścią o czasie i starzeniu się, weale nie stworzył niespodzianki, nie mówiąc o fikcji. Perec powiedział, że to jest trampolina do fikcji. A gdzie tam! Rzeczy, fakty, spisy, rejestry to

nie żadna literatura potencjalna. Nie, Aga nie odpowie na pytanie, co to właściwie jest, bo teraz usiłuje włożyć palec w szczelinę między dwoma wystającymi kawałkami muru. Kiedy ojciec prosi, by zeskoczyła na ziemię, nie zważa na jego prośby i dalej pracownicie wygrzebuje ze szczeliny pył i drobny żwir.

Po wypiciu kawy chwilę jeszcze krzątając się w kuchni, nieco rozleniwieni, ale już za chwilę wchodzi do dużego pokoju, aby obejrzeć telewizję. Ich spokój jest tylko pozorny, chwilowy, ale nie się za nim nie kryje. Wiatr za oknem się wzmacza, pelargonie w skrzynkach balkonowych kręcą się we wszystkie strony, na szklanym ekranie pojawiają się dobrze znane postacie.

Perecowi nie w smak, że Francois, właściciel ogrodu, czyta gazetę, głośno komentuje artykuł redaktora naczelnego i nie daje się skupić na figurce chimery. Już kołaczę mu w głowie nowy pomysł: zapisać wszystko, co się pamięta, tak bez ład i składu, ale tylko z lat najwcześniejszych, z dzieciństwa i młodości, jakieś okruchy codzienności, które wprawdzie nie warte były kiedyś zapamiętania, ale teraz powracają po latach i męczą, i przekształcają się w nostalgię. Może te okruchy poświęci Mathewsowi, który siedzi teraz przy stoliku, duży, ogromny, z wylupiastymi oczami. A właściwie co miałoby wynikać z tych zapisów o jednorękim Angliku grającym w ping-ponga czy kierowcy wyścigowym Sommerze o przydomku dzik Ardenów? Nie, nic nie ma wynikać. To ma być badanie, ile się rzeczy pamięta, od początku do końca, trzeba wyczerpać całą energię pamięci.

Ponieważ Aga ma trzy lata, nie więcej, jej pamięć ogranicza się do rzeczy niedawno poznanych, posmakowanych, odczutyh. Ile tego jest w jej główce? Czy to się przekłada na jakieś znaczenia, a jeśli tak, to na jakie? To jest jeszcze wszystko policzalne i ułożone w jasnym szeregu. Ale i tak nie mamy do niego dostępu. Tylko sama Aga mogłaby nam powiedzieć, z czego składa się ten szereg, ale oczywiście nie powie. Zajęta szperaniem w szczelinie, z daleka wygląda jak mała kuleczka papieru, wyrzucona przez okno. Aga zejdź, ponawia ojciec, ale sam nie wierząc w skuteczność tej prośby wystawia twarz do słońca, mrużąc oczy. Ciepło układa się równomiernie, odrywa od teraźniejszej chwili, przywraca pamięć o podróży do Dubrownika przed kilku laty, podróży jeszcze nie podsumowanej, pełnej dziwnych, niezrozumiałych miejsc. Otwiera szerzej jedno oko, spogląda na polyskującą w słońcu Agę i znowu zanurza się w myślach, krążąc po Stradunie, jego wąziutkich uliczkach, na których wylegiwały się ogromne, wypasione koty, drepcząc po Gruzu, skąd roztacza się niebawym widok na zawisłe w górze, nad zatoką, domy z winnicami. Potem te dziwne rozmowy z Giovannim, z którym mieszkał w hotelu i nocne spacerki, pachnące morze, a w końcu upajająca muzyka, niezapomniane wino i długie wpatrywanie się w fale na Lapadzie. Te fale z tamtego jedyne w swoim rodzaju miejsca przynosiły fatalne w skutkach rozdrażnienie i podniecenie, nie pozwalały skupić się, odrywały od codziennych zajęć, podnosiły temperaturę. Fale jakby odbijały się od niedalekiej wysepki, wracały jeszcze bardziej szalone i wdzierały się w mózg. Otwiera oczy, Agi nie ma już na murze, cień kasztana obmacuje to miejsce, w którym jeszcze przed chwilą się bawiła.

Z otwartych drzwi balkonowych wchodzi do pokoju orzeźwiający podmuch wiatru. Zaczęli wspominać ostatnie mieszkanie, które niedawno opuścili. Mieli okazję otrzymać większe, w spokojniejszej dzielnicy, bliżej terenów zielonych. Tamto, wyznaczone przez administratora do remontu, miało swoje zalety: lokalizacja w śródmieściu, przy jednej z ładniejszych ulic, ogromny pokój, parkiet, piękna, obszerna weranda. Wady były jednak znacz-

niejsze: wspólny z drugą rodziną przedpokój, ciemna, mała kuchnia, piece przysparzające zimą niezłych kłopotów, zwłaszcza, że trzecie piętro, na które trzeba było wnosić węgiel, nie należało do niskich. Oświetlenie było słabe, z dwóch stron okna wychodziły na pozabawione słońca podwórza. Zgadniają się, że teraz mieszkają wygodniej, przyjemniej i choć metraż z grubsza jest podobny, nie ma porównania co do komfortu. Wspomnienia mają jednak to do siebie, że mitologizują przeszłość, bezkarnie tworząc fakty, które albo w ogóle nie miały miejsca, albo którym dodają znaczeń. Poza wszystkim tam próbowali uczyć się życia. Po raz pierwszy wyruszyli w daleką, wspólną drogą, ciesząc się z każdego drobnego sukcesu i zalamując ręce nad każdym blahym niepowodzeniem. Tamten duży, wręcz ogromny, ciemny pokój bywał świadkiem pierwszych rozczarowań i nieporozumień, nad którymi tygodniami debatowali, nigdy nie widząc dla siebie ratunku. Ale rozwiązanie przychodziło zwykle szybko i niespodziewanie, czas tuszował to, co wydawało się nie do pokonania. Często jeszcze śnili tamte oswojone przez kilka lat miejsca, szeroki tapczan i czerwoną wersalkę, zabawny klosz przykrywający żarówkę na zrobionej domowym sposobem lampie stojącej, piękne kafle pieca, niespotykane wejście – hall do przestronnej łazienki bez ogrzewania, a nade wszystko brudną, pełną rupieci dawnego właściciela werandę. Śniąc odkrywali, każde dla siebie, coś w nim własnego, jakiś drobiazg, na stałe już związany z tamtą, nieodwołalnie pokonaną epoką. Zostawili tam kawałek swojego życia: oddechy zapraszanych przyjaciół, poplamione atramentem bibuly, które wyleciały z zeszytów, poprawianych wieczorami, jakieś potluczone talerze, postrzępione reprodukcje, przypominające im wspólnie przeżyte chwile. Były to sny wyzute z czasoprzestrzeni. Ni by przedmioty i miejsca wskazywały na czas, którym były naznaczone, ale muzyka, jaka je otaczała, muzyka i feeria kolorów, odrywała całą tę zakurzoną, owianą pyłem węglowym rzeczywistość od właściwego, realnego podłoża i przenosiła w jakieś nieznane, przeczuwane tylko obszary przeżyć i emocji. W tamtym mieszkaniu został zakonserwowany już na zawsze, jak im się wydawało, świat symboli, związany z młodością, cechujący się niespiesznością i niejednoznaczными zachowaniami. Czy można było pokonać te sny, zapomnieć o tamtym, fantastyczniejacym mieszkaniu? Nie było to takie proste, bo wszystko działo się nagle, poza ich świadomością.

Perec nie jest człowiekiem spokojnym i kiedy mówi o zimnej magii i maszynie narracyjnej, śmieje się nerwowo, dając do zrozumienia, że pytanie go o reguły jest niestosowne, bo do końca nie zna odpowiedzi. Píše i koniec. Píše, notuje, sprawdza, wylicza, a nade wszystko dokładnie opisuje, co się da. A że da się dosłownie wszystko, więc bohaterem jest i kaloryfer, i zwykła ściana i mała półka na książki. Nieprawdaż? Calvino potakuje, biorąc do ręki ostrygę. Wydaje się nieco skonsternowany odzywką Pereca, tym bardziej że zatopił się właśnie w myślach na temat Tomasa Manna, o którym od dawna nie miał najlepszego zdania. Perec szuka czegoś w swojej czarnej torbie, przewieszzonej przez ramię, wyjmując papierošnicę, częstuje najpierw Marcela, który stoi przed nim, a potem sam zapala papierosa, mocno się zaciągając. Jean Lescure cały czas filmuje spotkanie w ogrodzie, niemal oparty całym ciałem o wysoki, trzymetrowy mur, przed którym rosną dorodne akacje. Nagle zauważa małą Agę koło pochylonego Paula Fournela. Aga w swojej niebieskiej sukience w grochy stoi niemal nieruchomo, wpatrzona w rozczochranego Pereca. Ostrożnie podchodzi do niego, zaczyna ciągnąć za rękaw koszuli. Początkowo Perec nie zwraca na to uwagi zajęty oglądaniem chimery, po chwili jednak odwraca głowę i ze zdumieniem spostrzega małą dziewczynkę. Bierze ją za rękaw, uśmiecha się i chce o coś zapytać, ale w tej właśnie chwili Queneau, najstarszy w tym

gronic, siedzący przy stoliku w centralnym miejscu, prosi o ciszę i zaczyna przemawiać. Mówi o szaleństwie oryginalności i radykalizmie działań artystycznych, o potrzebie przeobrażenia aktu pisania. Nie wiadomo dlaczego, ale Perec niespodziewanie przypomina sobie swoich rodziców, przechadzających się po rynku w Lubartowie i tworzy w głowie sentencję: „moje pisanie jest pamięcią ich śmierci”. Dla Agi całe to towarzystwo, rozmawiające w nieznanym jej języku, było tak dużym zaskoczeniem, że odruchowo starała się stamtąd uciec. Jednak przez tłum obcych mężczyzn nielatwo było się przebić. Usiłowała coś powiedzieć Percowi, ale ten wydawał się niemniej zdziwiony od dziewczynki i właściwie nie wiedział, czy to, co widzi jest realnym obrazem, czy też jakimś psikusiem, przygotowanym przez gospodarza spotkania. Aga rozglądała się wokół, usiłując sobie przypomnieć zeskok z murku, ale koło niej stał mur zupełnie inny, z czerwonej cegły, wysoki i nieprzystępny. Nie widziała także ojca, choć przez moment wydawało się jej, że stoi w drugim rzędzie obok pana ze złotą figurką. Ale nie, to nie był ojciec, który przed chwilą przecież wystawiał swoją twarz do słońca.

Spoglądał na murek z niedowierzaniem. Powoli, nie przyśpieszając kroku, jakby ktoś go powstrzymywał przed nerwowymi reakcjami, zaczął zbliżać się do cmentarza. Wszedł między groby, zaczął nawoływać córkę najpierw cicho, naturalnie, bez objawów paniki, potem coraz głośniejszym, coraz bardziej zdenerwowanym, a nawet przestraszonym. Rozgarniał dzikie krzewy pod murkiem, potraçał przy tym białe kamienie leżące na białych ścieżkach, wysypanych czerwonym tłuczniem. Liście kasztanów miło szeleściły, z pobliskich kortów docierał odgłos odbijanej piłki. Kłok, kłok, piłka wybijała rytm, a on stanął oniemiały, z opuszczonymi rękami. Spojrzał w górę i zobaczył balkon na pierwszym piętrze. Machali do niego przyjaciele, zapraszając do środka. Kiedy wszedł do przedpokoju, poczuł silny zapach kawy. Usiądź powiedzieli, napijesz się dobrej kawy. Nie wiem, gdzie się podziała Aga, powiedział. Nie martw się, przecież ci nie uciekła, bagatelizowali sprawę. Popatrzył na znajome okna, które nieraz przecierał przed świętami i ten swojski widok uspił go na moment. Zaczął tracić orientację, oczy zrobiły się ciężkie, położył ręce na stole, oparł się mocno o krzesło, słyszał tylko cykanie świerszczy, dochodzące znad rzeki. Aga, Aga, wołało coś w nim, lecz tak jakoś bezbarwnie, bez przekonania.

Tymczasem Perec w towarzystwie dziewczynki znalazł się po przeciwległej stronie ogrodu, tam, gdzie widać było willę niejakiego Pabla, często goszczącego u oulipijczyków na nieformalnych spotkaniach. Perec wziął Agę na ręce, pokazywał jej dwa ogromne brytany za ogrodzeniem. Percowi wydawało się, że w Lubartowie, o którym prawdę mówiąc niewiele wiedział, wszystkie dziewczynki chodzą w takich sukienkach w groszki. Skąd ten Lubartów?, jeszcze raz zastanowił się, głaszcząc Agę po włosach. Zapadający zmierzch, pachnący maciejką i ogniskami, palącymi się gdzieś w pobliżu, zmieniał twarze i sylwetki przyjaciół w ogrodzie. Perec nie rozpoznawał ich z daleka, z trudem dopatrzył się Marcela, który podnosił kieliszek do ust. Dziewczynka wyrwała się nagle Percowi, pobiegła do uchylonej furtki i zniknęła w ciemnościach. Ojciec otworzył drzwi i wpuścił ją do mieszkania. Aga wzięła ze stołu słone paluszki i usiadła w kącie. Panie Perec, panie Perec, krzyknęli przez okno. Niech pan wejdzie na kielicha, dorzucili po chwili. Georges Perec stanął pod balkonem i wspinając się na palce usiłował zobaczyć, co się dzieje w mieszkaniu. Przy stole siedział Queneau i wertował jakąś książkę

Julian Kornbauer

Mariusz Grzebalski

* * *



Fot. Archiwum

Pusto nad osiedlem wojskowych bloków,
niczego, co mogłoby wypełnić tę przestrzeń.

Od lasu chłód po oczach, śnieg skrzypiał pod butami,
jak ćwiczona o ramię brzytwa.

Wreszcie wyszliśmy na wylizany do czysta płaskowyż.
Wynajęto nas, gówniarzy, do zadawania śmierci.

Wciąż jeszcze pamiętam imię chłopca: Bogumił,
precyzję ruchu, jakim dobił postrzelonego zająca.

Jak smarkaliśmy do menażek przez lzy, jedząc na mrozie,
i wracali, jeszcze tej samej nocy, ciasno przy sobie stłoczeni.

Wiedząc, że się nie odstanie. Choć chcielibyśmy inaczej.
Reflektory lizaly ściany uśpionego miasteczka

i mróz coraz silniejszy wdzierał się pod plandeki
ścinając martwe dziki w bryły mięsa.

* * *

Pomarańczowa luna ześlizguje się w błękit.
Oni, zdaje się, zasnęli. Pijani albo zmęczeni.

Mariusz Grzebalski, ur. 1969 r. w Łodzi. Poeta, były redaktor naczelny „Nowego Nurtu”. Wydał dwa zbiory wierszy: „Negatyw” (Biblioteka „Pracowni”, Ostrołęka 1994), „Ulica gnostycka” („Obserwator”, Biblioteka „Czasu Kultury”, Poznań 1997). Laureat nagrody literackiej im. Kazimierzy Illakowiczówny za najlepszy debiut poetycki roku 1994. (red.)

Znamy to, więc wyrozumiałości mamy trochę
dla wyrzuconych przez okno butelek.

Kościół na wzgórzu oblegany przez mrok
zanurza się coraz głębiej. Zamknięte więzienie
dla kobiet – swego czasu prawdziwa legenda –
zgubiło gdzieś swoje strażnicze wieże.

Tylko emerytowana nauczycielka historii
z jamnikiem przy nodze i przecenioną chemią
w ręce wciąż roznosi ploty. Do czego mógłbyś
porównać jej zacięcie? Nie wiem.

W każdym razie, byłbym niepocieszony,
gdyby spotkała ją coś więcej, niż koniec, jaki czeka
sprzedawcę śledzi, czerwonego na twarzy od wódki –
teraz jakże wdzięczny przedmiot jej doniesień.

Dzień dobry

Krzysztofowi Kochlerowi

Komary tną. Uparte czarne robactwo
przebiega podłogę oświetlonej werandy
niepomnie rosnącej systematycznie liczby ofiar.
Księżyc w odrobinie pomarańczowej pleśni

przypomina preparat nieznanego płodu,
przyciąga wzrok. W zaroślach czają się koty,
które jakimś cudem wydostały się z wilgotnych piwnic.
Cały dzień na przemian jeździłem na rowerze

i uprawiałem ogród wyglądający po przyjeździe
na niezamieszkałą wyspę. Okopałem morelę, forsycjom
przywróciłem światło. Psy gdzieś poniżej wdały się

w zażarty spór, gdy wyszedłem zerwać resztkę jabłek,
o których zapomniał wczorajszy wiatr. To są właśnie
te brudne skarpety, o których tyle ostatnio.

Sen

Dziewczęta w więziennych kombinezonach
jeszcze pachnących krochmalem i pralnią.
Ich niespieszne chodzenie między brzozaami –
szukają czegoś w paprociach, w wilgotnej trawie?

„Czy i ty odniosłeś wrażenie, że spotkaliśmy się wcześniej?” –
pyta szatynka, nie wiadomo skąd znajoma.
Rano przejść miałem granicę, plecak i torby
przygotowane do drogi czekają oparte o pień.

Popołudniowe zabawy

Stary postawił neseser w kaluży.
Młody punktuje jego podbródek.
Ale co za fatalna praca nóg,
jakże nieszczęlna garda!

Brzuch bezradny, jak u dziecka.
A jednak rozbija staremu okulary.
Ludzie na przystanku patrzą, nic ich to.
Gazety, papierosy. Kobieta dziewczynce

odwija batonik. Pod wiaduktem
wino piją. Wartą styropian plynąć
do morza i rozmiękający karton.

Ruszamy powoli, gałęzie uważnie
czeszą dach, papier na chodniku
zrywa się, ale zaraz zawraca.

Mariusz Grzebalski

Stanisław Dłuski

Ucieczki



Fot. Archiwum

dłaczego wciąż uciekasz,
zostawiasz tę ojczyznę śmieci,
śmierci, chorych rozmów o
nocy, która łakomie pożera
dienne sprawy;

poobgryzane kredki,
paznokcie, chusteczki za
tapezaniem, na którym
spłonęły ciała, szczebiot
przy szklance piwa;

spocony nad przepaścią,
wybierasz liść wahający się,
podartą kartkę, odlot
żurawi, które oddają ci
ostatni klucz do nieba;

Adrianie od światła

Cieniu cierpienia, kobieto,
nosząca w sobie dom,
góro rodząca rzekę;
kamieniu, wrzucony
w usta spragnione wody;

Stanisław Dłuski, ur. 1962 r. w Jaśle; poeta, krytyk literacki, pracownik naukowy w rzeszowskiej WSP, redaktor naczelny „Frazy”. Opublikował m.in. „Stary dom” (1995) i „Dom i świat”, „Przedświt” (1998). Mieszka w Rzeszowie. (red.)

wierszu, jesteś cieniem
słowa, które dźwiga kobietę
i mężczyznę, rodzi się dzień,
płonimy bez dymu, tańczymy,
dwa oddechy, usta jak cztery
strony świata, światła spragnione
nocy

Z wierszy chromych

Mała ćmo, siostrzo zakonna
ciemności zrodzonych z dłoni Boga,
zamkniętych ust, otwartych snów;
pełniesz po nici naszego
białego lęku

*

O, długie topole za oknem,
o, długie nogi sięgające nieba,
tylko słońce zna smak tego
spotkania; z deszczem spływają
płonące obrazy

*

Trawo zmartwychwstała,
wybacz, że wciąż żyję,
depczę twoje zielone piersi,
poranne sonety; dni ratują
się z rzezi niewiniątek

Stanisław Dłuski

Krzysztof Derdowski

Robal



Fot. Archiwum „K.A.”

1.

Wiedziałem od dawna, że to zrobię. Właściwie od czasu, kiedy zacząłem bezmyślnie wpatrywać się w te ogłoszenia prasowe. Potem czytałem coraz uważniej, uważniej. Analizowałem każde słowo. Analizowałem każdą liczbę. Siedziałem nocą w gabinecie, kiedy żona i córka spały i zajmowałem się tymi ogłoszeniami. Specjalistki 79 11 90. Ani jednego słowa więcej. Tylko specjalistki i numer telefonu. Wyobrażałem sobie te kobiety. Powoli, cierpliwie sobie je wyobrażałem. Podejrzywałem, że są wulgarne, pyskate. Podejrzywałem, że odwalają swoją robotę pośpiesznie, na odczepnego. Ale potrafiłem też myśleć o nich inaczej. Myślałem, że są mistrzyniami miłości. Że potrafią tak udawać miłość jak inne kobiety nie potrafią kochać w rzeczywistości. Przypuszczałem, że w tej udawanej miłości jest coś więcej niż w miłości prawdziwej. Czy udając nie dochodzimy często do czegoś więcej niż kiedy jesteśmy naturalni i zwykli? Czy udawanie, gra nie odsłaniają nam samym jakichś nieznanych dotąd możliwości? Przypuszczałem, że w jakimś hotelowym pokoju, między taką kobietą, a kupującym ją mężczyzną odbywa się fascynująca magia ciał, pozorów, prawdy. Przechadzałem się po gabinecie z fajką w ustach i rozmyślałem o tym. Pełen zestaw usług 22 22 71. Niektóre ogłoszenia zachęcały do perwersji. Obiecywały, że można z tymi kobietami zrobić to, czego nigdy nie robi się ze swoją żoną, ani kochanką. Są takie rzeczy, których nigdy nie zaproponuje się żonie, ani kochance. Są rzeczy, które można proponować tylko anonimowemu ciału. Właśnie ta anonimowość jest podniecająca. Ta anonimowość jest wolnością. Z prostytutką nie prowadzi się tej całej wymuszonej przez wieki gry romantycznych uniesień, ukradkowych pocałunków, kwiatów. prostytutka jest odarta z tych sztuczności. Żadnych teściowych, żadnych krewnych, żadnej przeszłości, ani żadnej przyszłości. Doskonale anonimowe ciało. Zwięzła, uczciwa formuła połączenia dwóch ciał przez godzinę. W kontakcie z prostytutką wszystko jest wolnością i odrzucaniem wszystkich tych bredni, które nagromadziły się wokół tego co nazywamy miłością. Wchodzisz do pokoju i mówisz jej żeby się rozebrała. Mówisz to co masz ochotę powiedzieć dziesiątkom innych kobiet, które spotykasz w życiu. Ale tylko prostytutce mówisz to spokojnie i masz do tego prawo. Nagle masz prawo powiedzieć to co chcesz powiedzieć. Nie musisz jej mówić, że ją kochasz, nie musisz błyszczeć przed nią inteligencją, nie musisz zapraszać jej do kawiarni, nie musisz lubić jej ojca i psa, nie musisz znać jej poglądów, nie musisz jej słuchać. Tak, jej możesz powiedzieć, to co chcesz powie-

Krzysztof Derdowski, ur. w 1957 r. Opublikował dwa tomy wierszy – „Cienie i Postacie”, „Czasowo nie ma wieczności”, powieść „Znikanie”; na łamach „Dialogu” ukazały się teksty dramatyczne pt. „Pionek” i „Rzecznik”. Sztukę „Zawsze” wystawił Teatr „Współczesny” we Wrocławiu. Mieszka w Bydgoszczy. (red.)

dzieć – Rozbierz się. Ile wolności w tym: Rozbierz się. Jakie to proste i uczciwe. W przeciwieństwie do małżeństwa. Tak, małżeństwo nie jest uczciwe. Aż dziw, że nie zjawiają się reformatorzy społeczni, Lutrowie końcówki dwudziestego wieku, którzy nie zmieniają wielowiekowej tradycji małżeństwa. Zmienia je tylko życie. Ile jednak przy tym bólu i cierpien. Każdy musi sobie tu radzić sam. Każdy, poznaje rok po roku, stadia małżeńskiego życia i trwa w osłupieniu, zadziwieniu sobą i światem. I patrząc potem na swoje małżeństwo, stwierdza, że chodziło tylko o to, by przed wielu laty móc powiedzieć swojej ładnej koleżance z liceum: – Rozbierz się. I nic więcej, tylko tyle. I później, po dziesięciu, dwudziestu latach wspólnego życia, odkrywa się, a właściwie wie się cały czas, że niczego więcej się od niej nie chciało, tylko tyle: – Rozbierz się. Więc skąd ta reszta? Skąd to wszystko? Boże, co ja tu robię? Lodówka na raty, pożyczka, remont, budzik, teściowa, święta, urodziny, samochód, śmierć teścia... Co ja tu robię do diabła? Zdradziłem żonę zaledwie kilka razy. Co to właściwie znaczy zdradziłem? Zrobiłem z innymi kobietami to samo co od czasu do czasu robię jeszcze z nią.

Czasami medytując nad tymi ogłoszeniami w prasie, zasiadałem sobie w fotelu, sączyłem drinka, popalałem fajkę i rozczulałem się trochę nad sobą. Odsłaniałem żaluzje i patrzyłem w głębie nieba nad śródmieściem. W kącie okna wisiał księżyc. Powoli przesunął się i zniknął z prawej strony za futryną. Najpierw z zadowoleniem smakowałem ciszę i samotność. Lubilem myśleć wtedy o słońcu za czasów Peryklesa, o św. Augustynie patrzącym przez stronek okna na piękno nieba nad Hipponą. Jestem nauczycielem historii, więc myślę czasem o takich rzeczach. Właściwie nie myślę, ale i odczuwam je. Odczuwam nasze wspólne przez wieki spojrzenie w niebo, bezmiar ludzkiej samotności, miliony lat gwiazdnych i krótkość ludzkiego życia. Jak powoli zbieramy doświadczenia. Jak niewiele ich naprawdę mamy. I jeszcze ja w tym wszystkim wśród miliardów stuknięć serc, atomów myśli. Kiedyś myślałem, że studiowanie historii uwolni mnie jakoś od indywidualnego losu. Wszyscy, mniej bądź bardziej dążymy do uwolnienia się od swego indywidualnego losu. I bywamy odrobinę szczęśliwsi właśnie wtedy, kiedy nam się to choć na chwilę udaje. Historia zachwycała mnie właśnie tym, że na kartach podręczników przesypywały się miliony nie znaczących biografii. Grecki hoplita, żydowska dziwka, rzymski garncarz, fenicki rybak – nieuchwytnie istnienia. Jakże byli głupi uważając swoje życie za ważne. Jakże mogli traktować swoje życie z jakąkolwiek odrobiną powagi. Tylko głupcy przywiązują się do wagi swego istnienia. Te ich przyścięgi, zazdrości, nadzieje, honory, wiary; czy można wyobrazić sobie coś głupszego? I co z tego, że to wiem? Niczego nie potrafię z tym zrobić. Niczego. Boję się zrobić cokolwiek z tą wiedzą. Boję się wyciągnąć jakiegokolwiek konsekwencje z tej wiedzy. Lepiej udawać, że nie wiem, że żona, córka, że obowiązki, że wszystko to jest serio i naprawdę. I nie wiem co z tym zrobić. Nie wiem. Może też dlatego siedząc w fotelu myślałem tyle o tych ogłoszeniach w prasie. I wiedziałem, że kiedyś to zrobię.

2.

Wiedziałem, że to zrobię, ale wciąż tego nie robiłem. Często tak bywa. Człowiek cały czas coś zamierza, planuje, wciąż o czymś marzy i nic z tego nie wychodzi. Większość życia to rzeczy, których nie potrafimy lub baliśmy się zrobić. Większość rzeczy, które pragniemy zrobić nigdy nie robimy. W tym tkwi kawał dramatu. Jak śmieszne

powody wstrzymują nas przed czynem. Wstyd, skrępowanie, lenistwo. Tak było też wówczas ze mną. Chciałem to zrobić, ale wciąż nie robiłem. Wracalem z pracy. Jadłem obiad. Robilem sobie drzemkę do siódmej. Potem wiadomości. A w nocy lektury i siedzenie z drinkiem i fajką przed oknem. Tak można spędzić całe życie. Myślałem wówczas sporo o św. Augustynie. Pisałem o jego czasach pracę magisterską. Szczególnie męczyła mnie opinia św. Augustyna głosząca, że poczucie nieszczęścia jest głupotą, że człowiek mądry nigdy nie jest nieszczęśliwy. Jego rozumowanie było bardzo precyzyjne. Albo człowiek dokonuje złych wyborów i jest nieszczęśliwy. I wówczas przyczyną jego nieszczęścia jest jego własny błąd, a może nawet głupota. Albo spada na człowieka cierpienie niezależne od niego, na które nie ma wpływu i wówczas głupotą jest przejmowanie się takim nieszczęściem. Hiob jest po prostu głupi i to wszystko. Nie mogłem o tym spokojnie myśleć. Nie potrafiłem oddzielić tego co w moim życiu zależało ode mnie od tego co nie zależało. Czasami wydawało mi się, że coś mną żyło, że żyły mną podwórka dzieciństwa, matka, ojciec, kraj, wiek, przypadkowo spotykani ludzie, to wszystko żyło mną, powodowało, przyczyniało się, kierowało, wypaczało, te wszystkie mody, filmy, książki i ten szereg przodków ciągnący się w przeszłość, to wszystko żyło mną i gdzie tu u diabła mój wybór. Nie mogłem spokojnie o tym myśleć. Mężczyzna w okolicach czterdziestki powinien mieć jakieś poczucie własnej tożsamości. A ja go nie miałem. Moja córka miała szesnaście lat, a ja nie miałem poczucia tożsamości. Miałem raczej poczucie rozejścia się z samym sobą, jego zasadniczego rozbratu między tym czym byłem, a tym czym chciałem być. Chciałem coś z tym zrobić. Musiałem coś z tym zrobić. I dlatego myślałem tak często o tych ogłoszeniach w prasie. Czulem, że za tymi krótkimi anonsami prasowymi kryje się świat odczuć nieznanym, groźnym, mrocznym rzeczy, które mogą mnie poruszyć, wyzwolić. Rozmyślałem wówczas sporo o uczciwości zawodu prostytutki. Czy nie jest ona uczciwsza od tych wszystkich kuszących gwiazd filmowych? Gwiazdy filmowe sugerują nam jedynie to co moglibyśmy z nimi robić. Pokazują skrawek łydki, odrobinę ramienia i wywołują w nas podniecenie, którego nie zamierzają zaspokoić. Żyjemy w epoce sztucznych podnieceń. Te ekranowe pindy biorą za swoje udawanie potworną forszę, lecz nas swych naiwnych adoratorów pozostawiają samotnych i jeszcze bardziej zrozpaczonych. A posłuchajcie ich wywiadów. Jak się odżegnują od tego co rzeczywiście robią na ekranie. Jak się mądrzą. Jakie przyjmują intelektualne pozy. Jakby nie wiedziały, że sprzedaje się na ekranie nasze erotyczne domysły o nich. prostytutka jest w porównaniu z nimi osobą o nieposzlakowanej uczciwości. prostytutka sprzedaje rzeczywistość, a nie marzenia. prostytutka jest skończoną feministką. Wie, że miłość, ochy, achy, to bujda, że jej krągłości, uśmiechy, namiętności, dotknięcia są towarem. I płaci się tu za to, że nie musi się używać tych wszystkich ochów i achów, by później doznać rozkoszy. Tak, feminizm zmierza wprost do wyniesienia pod niebiosa prostitucji. Wolność dla kobiet? Proszę bardzo. Wolność od naszych złudzeń. Proszę bardzo. Ale nie ma obawy, kobiety zorientują się szybko o co w tym wszystkim chodzi i wycofają się z całego tego feminizmu. Dla nich byłaby to przecież katastrofa, gdyby zacząć mierzyć ceną wolnorynkową ich towarzystwo. Ile warta jest kobieta? No, ile?

Żona zaczęła się niepokoić tymi moimi nocnymi dyżurami przy oknie i zapytała któregoś dnia, czy coś złego się nie dzieje.

- Chyba nie - odpowiedziałem.

Postała chwilę przy mnie. Potem zapytała, kiedy naprawię kran. Zawsze kiedy się niepokoi znajduje natychmiast jakieś konieczne do wykonania w domu zajęcie. To jej sposób na życie. Trzymanie się rzeczy, naprawianie rzeczy, chwytanie się obiadków, śniadań.

– Jutro się tym zajmę.

Wyszła.

Chyba ją Kocham. Dobrze nie pamiętam. Człowiek najpierw żyje, a potem dopiero cokolwiek rozumie. Pamiętam, że podobały mi się jej oczy. Duże, niebieskie. Później bardzo chciałem zrobić z nią to, o czym wciąż rozmawialiśmy z kolegami. To wszystko. Niczego więcej od niej nie chciałem. A teraz jesteśmy osiemnaście lat małżeństwem i mamy szesnastoletnią córkę. Jak to było. Powoli. Chciałem przede wszystkim wyrwać się z domu. Mój stary zaczął wówczas wariować na punkcie religii. Był zawsze wierzący. Ale nagle stał się bigotem. Nie mogłem nawet zapalić w domu. Ojciec potrafił wyłączyć telewizor, kiedy uznał, że film jest zbyt erotyczny. A prawie każdy film był dla niego zbyt erotyczny. Do diabła, to nie było życie. Młodość przy kimś tak religijnym jak mój ojciec po prostu cuchnie stęchlizną, czuć ją trupem i kościelną myszą. Więc kiedy mi powiedziała, że rodzice kupili jej mieszkanie, pomyślałem, że byłoby cudownie móc zapalić papierosa w swym mieszkaniu. Dobry powód do zawarcia małżeństwa jak każdy inny. Ale chyba było też trochę inaczej. Ona mówiła mi, że jestem inny niż chłopcy, których zna. Mówiła, że jestem od innych poważniejszy, że czuje się przy mnie bezpieczna, że wcale mi nie chodzi tylko o to co wszystkim. Skąd przyszło jej to do głowy, że nie chodzi mi o to co wszystkim. Domyślałem się. Długo nie miałem odwagi zaciągnąć ją w jakieś ustronne miejsce i zrobić to co wszyscy. To była tylko kwestia odwagi. Nie więcej. Ale ona uznała to za objaw powściągliwości, kultury, rodzącej się dojrzałej miłości. Tak zinterpretowała mój strach przed inicjacją. Pochlebiali mi to. Właśnie uwierzyłem jej, że to prawda. Nie chciałem żeby myślała, że się co do mnie myli. Nie chciałem jej zawieść. Nie chciałem, żeby pomyślała, że jestem jednak taki jak wszyscy. To wystarczający powód do małżeństwa. Dobry jak każdy inny. Naprawdę. A może było jeszcze inaczej. Może przez jakiś czas wydawało mi się, że to wspaniałe móc co noc leżeć z nią w łóżku, przyciągnąć do siebie jej drobne ciało, być z tym ciałem za pan brat, traktować to ciało trochę jak własne. Robić z nią zakupy. Pić wino do obiadu. Może było właśnie tak. Nie pamiętam. Zupełnie nie mogę sobie przypomnieć.

3.

Wiedziałem, że to zrobię. Chodziło tylko o to skąd wziąć na to pieniądze. Nie starczyło nam na życie, a ja potrzebowałem pieniędzy, żeby to zrobić. Kredyt, długi, niezapłacone ubezpieczenie samochodu, a ja muszę mieć te pieniądze.

Zadzwoiłem do kumpla prowadzącego rubrykę kulturalną w miejscowej gazecie. Zapytałem, czy nie potrzebują recenzji z książek literackich i historycznych. Roześmiał się.

– W jakim ty świecie żyjesz, chłopie – krzychał do słuchawki. – Kogo obchodzą recenzje z historycznych knotów. Napisz jakąś recenzję z filmów video, albo coś o muzyce młodzieżowej. Zobaczymy co się da zrobić.

Nie było wyjścia. Napisałem kilka recenzji z filmów video. Strona, półtorej strony maszynopisu. Szło mi chyba nieźle. Kumpel zwrócił mi tylko uwagę, żebym więcej miejsca poświęcał akcji i efektom specjalnym. Wreszcie doszedłem do takiej wprawy, że mogłem napisać kilka recenzji w ciągu wieczoru. Oglądałem początek filmu, potem kawalek

dalej, jeszcze kawalek i końcówka. Zasiadałem do mojej starej maszyny, na której pisałem jeszcze pracę magisterską i wystukiwałem stronę recenzji. W pierwszym miesiącu zarobiłem prawie 150 zł. Odłożyłem je sobie głęboko w biurku. I wtedy po raz pierwszy tam zadzwoniłem. Dłoń mi trochę zwilgotniała na słuchawce. Nie byłem podniecony. Byłem zdenerwowany. Trochę mnie to zdziwiło. Ale to nic. Zaczynała się moja gra. Zaczynała się moja przygoda. No, więc zadzwoniłem. Odebrał jakiś mężczyzna. O mało mu się nie przedstawiłem. Uprzejmie, dwa razy zapytał o co chodzi.

– Widzi pan, nigdy jeszcze nie korzystałem z państwa agencji.

Chciałbym się dowiedzieć ile to kosztuje?

Godzina 170, dwie godziny 270, cała noc 420...

Odłożyłem słuchawkę. To dopiero historia. Miesiąc pisałem te idiotyczne recenzje i nie zarobiłem nawet na godzinę z dziwką. Moje marzenia były drogie, drogie jak diabli. Iluż ludzi dzięki władzy, pieniądзом, szczęśliwemu zbiegowi okoliczności mogłoby spełniać swoje marzenia? Mogli bez ograniczeń zgłębiać własne pragnienia, dochodzić do ich kresu. Jednym ze słów, które robi oszałamiającą karierę w dwudziestym wieku jest – samorealizacja. Jaka tam samorealizacja z pensją wystarczającą na opłaty. Jaka tam samorealizacja z połową życia przetrwanego w pracy. Mydlenie oczu. Zacieranie prawdy o prawdziwej nędzy współczesnych groszoroików. Wiecie, co to jest samorealizacja? To swobodny rozwój własnych instynktów, to możliwość rzucenia się w przepaść i przyglądanie się własnemu lotowi, absolutny dostęp. Do licha, samorealizacja, to nie jest zakup samochodu w przyszłym roku. Kiedy pisałem pracę magisterską o czasach św. Augustyna trafiłem na wzmiankę o bandycie Lydiosie. Ów Lydios opanował miasto Kremę w Liki. Było to miasto właściwie nie do zdobycia. Położone na urwisku, otoczone przepaściami. Lydios wypędził wielu mieszkańców, żeby oszczędzić na żywności i przez kilka miesięcy panował w mieście. Za nic miał sobie oblegających Rzymian. Wyobrażałem sobie, że musiały być to miesiące euforii i właśnie samorealizacji tego człowieka. Miał władzę, kobiety i wszelkie możliwości by się spełniać. Wyobrażałem sobie jak pełną garścią czerpie z tego życia. Wyobrażałem sobie jak poznaje anatomię ludzkiego strachu wokół siebie. To jest spełnienie. To jest samorealizacja. Ja tymczasem nie mogłem zarobić na jedną godzinę z kobietą, której chciałem powiedzieć to co pragnąłem powiedzieć wielu innym kobietom: – Rozbierz się! I właśnie kiedy o tym rozmyślałem, tuż po telewizyjnych wiadomościach, moja córka zapytała, czy nie dołożyłbym się do zakupu płyty Pink Floyd.

– Mama chce w tym miesiącu kupić zlewozmywarkę – odpowiedziałem, z trudem powstrzymując się przed wybuchem.

– Chociaż coś...

– Nie mam.

– A za recenzje?

– Powiedziałem.

Wyszła trochę obrażona. Niech ją diabli.

4.

Wreszcie mogłem to naprawdę zrobić. Po dwóch miesiącach pisania recenzji mogłem pojechać do jakiegoś hotelu i zadzwonić po jedną z tych kobiet. Wreszcie. Cieszyłem się tą myślą kilka dni. Wyobrażałem sobie jak to zrobić. Moje myśli zaczęły krystalizować się w

wać się wokół tej chwili kiedy już będę to robił. Żyłem trochę w euforii. Nie wiedziałem właściwie co ma się spełnić. Nie wiedziałem nawet dlaczego przywiązuję do tego tak dużą wagę. Do diabła, miałem już kilka kobiet w życiu i wiedziałem, że po kilku minutach miłosnych zapasów, tego wzajemnego wcierania się w siebie, wgryzania, oddalania i zbliżania następuje zwykła pustka powszechna jak prawo ciężenia. To miała być jednak zupełnie inna sytuacja, zupełnie inny podział ról. To nie miało się odbyć między kobietą a mężczyzną. To miało być coś znacznie więcej niż miłość, czy romans. Spodziewałem się, że wraz z jej wejściem do pokoju obudzi się we mnie jakaś energia, jakaś zasadnicza wola życia. Tak, moje życie jakby znieruchomiło przed tym co ma nastąpić. Czasami przed burzą wszystko nieruchomieje, stoi oniemiale, na chwilę przed nawałnicą wiatru, deszczu i grzmotów. Coś takiego działo się z moimi myślami i uczuciami – zamaryły. Czulem jak tkwią we mnie nieruchome, zważone podjętą decyzją, że zrobię to na pewno. Stałem się niewiarygodnie spokojny. Byłem skupiony już tylko na tym. I kiedy wreszcie wynająłem pokój w hotelu „Centralnym“ bez wahania wykręciłem numer telefonu jednej z agencji towarzyskich. Facet, który odebrał telefon zapytał, jaka ma być ta dziewczyna. Nie wiedziałem. Blondynka? Brunetka? A piersi? Młoda? Do diabła, nie wiedziałem. Miała być taka o którą mi chodzi. Ale co to znaczyło? Wybelkotałem coś, że ma być ładna i gotowa robić trochę nietypowe rzeczy. Kiedy powiedziałem, nietypowe, poczułem jak lekki rumieniec oblewa mi twarz. Tylko nie to. Tylko nie zacznij się wstydzić durniu. Masz się zbliżyć do swoich pragnień. Bądź teraz odważny. Rób to czego pragniesz. Facet zapytał mnie co mam na myśli, mówiąc nietypowe. Nie wiedziałem. Przerwał moje milczenie i powiedział, że rozumie i wszystko w porządku, tylko mam być rozsądny. Boże, poczułem się tak jakby poklepał mnie po policzku. Zamilkłem oniemialy, poniżony. Chyba to zrozumiał. Powiedział tylko: nie ma sprawy; i umówiliśmy się, że przyprowadzi dziewczynę za piętnaście minut. Byłem zły na siebie. To była zła rozmowa. Powinienem być władczy, zdecydowany, może nawet trochę bezczelny. Tymczasem rumieniłem się przed słuchawką. Nie wiedziałem czego chcę – brunetki, blondynki, młodej, starej. Przez chwilę wpadłem w panikę. Po co ja to właściwie robię? Czy to rzeczywiście takie podniecające kupowanie czyjgoś ciała? Poszedłem do łazienki i obmyłem twarz. Może powinienem się wykapać? Co mnie zresztą obchodzi jaki ona poczuje zapach? Przecież właśnie o to chodzi, że nie chcę się przejmować tym co ona pomyśli. Nie obchodzą mnie jej uczucia. Kupuję właśnie to, że może mnie to nie obchodzić. Rozmyślałem przez chwilę o tym ile energii i sił tracimy na zachowanie jako takiego swego wizerunku w oczach innych. Ile starań by inni jakoś nas znosili. Wyrywało mnie z tych rozmyślań pukanie do drzwi. To mógł być tylko ten facet z dziewczyną. Serce, jak to mówią, skoczyło mi go gardła. Zacerpnałem powietrze. Raz, drugi. Znow pukanie. Podeszedłem do drzwi i otworzyłem je. Facet stał na lekko rozstawionych nogach, a dziewczyna z boku oparta o ścianę.

– Odpowiada panu? – zapytał, uważnie mi się przyglądając, jakby chciał dostrzec objawy pijaństwa albo szaleństwa. Pewnie muszą być bardzo ostrożni w swoim fachu.

Popatrzyłem na dziewczynę. Nie miała więcej niż dwadzieścia lat. Wodziła oczyma ponad moją głowę. Pomyślałem, że jest niewiele starsza od mojej córki. Nie miałem ochoty kochać się z koleżankami mojej córki.

– Może być – odpowiedziałem.

Mężczyzna wskazał dłonią wewnątrz pokoju za moimi plecami i zapytał czy jestem sam.

– Przepraszam, ale chodzi o bezpieczeństwo dziewczyn – wyjaśnił. Wpuściłem ich

do środka. Facet zajrzał do łazienki i wszedł do pokoju. Dziewczyna zatrzymała się w korytarzu.

– Najlepiej uregulować od razu. Ma się to z głowy – zaproponował.

Podalem mu pieniądze, które trzymałem przygotowane w bocznej kieszeni spodni.

– Milej zabawy – mrugnął do mnie i wyszedł.

To mrugnięcie znów poczułem jakby ktoś poklepał mnie po policzku. Chyba trochę się zarumienilem.

Odprowadziłem faceta do drzwi i przekręciłem za nim klucz.

Dziewczyna przeszła w tym czasie do pokoju. Zatrzymała się pośrodku i zapytała czy może zapalić. Pochyliła się już nad paczką moich papierosów, kiedy prawie krzyknąłem: – Nie!

Stała pod ścianą.

– Rozbierz się – szepnąłem.

Ruszyła w stronę łazienki.

– Nie, nie. Rozbierz się przy mnie. Tutaj.

Przez chwilę zawahała się. Potem pokiwała ze zdziwieniem głową i zaczęła się rozbierać. Szkoda, że nie mogłem jej zakazać tego kiwania głową. Wyraziła tym swoje zdziwienie, czy też dezaprobatę. A ja nie chciałem nic wiedzieć o jej zdziwieniach, czy dezaprobatkach. Chciałem, żeby jak najszybciej stała się sprzedanym mi ciałem. Miała nie być niczym więcej tylko ciałem.

Spodziewałem się, że będzie miała pod swetrem i spódniczką jakąś wymyślną bieliznę. Nic z tych rzeczy. Była po prostu bez stanika i majtek. Nie wiem, czy autentycznie się zawstydzila, czy było to jedynie udawanie, ale próbowała się zasłonić dłońmi. Wtedy podalem jej papierosa. To ją zaskoczyło. Pokazałem jej fotel i powiedziałem, żeby usiadła.

– Hmm, chcesz na mnie patrzeć?

Podalem jej ogień.

Palila papierosa rozglądając się po pokoju. Nie byłem chyba typowym klientem. Nie wiem, może mi się wydawało, ale była chyba zakłopotana. Nieprzewidywalne zachowania innych zawsze nas niepokoją. Palila pośpiesznie. A ja zastanawiałem się czy miała dużo klientów i czego oni od niej chcą. Bywają pewnie brutalni, łagodni, nieśmiali. Te rozmyślenia osłabiły moje podniecenie. Zacząłem się rozbierać. Moja męskość była w stanie jakbym prowadził lekcję z dziejów ruchu robotniczego. Zawstydzilem się tego. I wtedy ona wyciągnęła po nią dłoń uzbrogoną w prezerwatywę. Reszta potoczyła się tak szybko jak nigdy dotąd. Władczymi, zdecydowanymi ruchami dłoni doprowadziła mnie do erekcji. Patrzyła przy tym spokojnie mi w oczy jakby przyglądała się drobinom brudu na szybie.

Wróciła na fotel i zapaliła następnego papierosa. Potem zapytała grzecznie, czy może się już ubrać. Przytaknąłem ruchem głowy. Byłem wściekły. Na siebie. Na nią.

Boże, nie o to chodziło.

5.

Przez kilka następnych dni czułem się fatalnie. Ta mała dziwka zrobiła ze mnie idiotę. Odarła wszystko z tajemnicy i magii. Zadrwiła ze mnie. To jasne. I to jeszcze jak. Ja próbowałem coś wykrzesać z tej sytuacji, a ona zakpiła sobie ze mnie. Moje pragnie-

nia potraktowała jak brudną plamę, którą trzeba zetrzeć. Była sprytniejsza niż myślałem. Cały czas panowała nad sytuacją. Może nawet zdarzają się jej takie sytuacje z co drugim klientem i jest znudzona? Wymyślałem sobie od najgorszych głupców! Siadałem pod oknem, z drinkiem w dłoni i wymyślałem sobie od głupców. Czego ty właściwie się spodziewałeś? Czego ty właściwie chcesz od kobiety, którą kupujesz do pokoju hotelowego na godzinę? Co ona ci może naprawdę dać? Boże, chwilami czułem się tak, jakby mi ktoś umarł. Ale narastało też we mnie przekonanie, że to dopiero początek. Pierwszą partię przegrałem. Dobrze. Niech tak będzie. Teraz już wiem jak się to toczy. Następnym razem nie pozwolę się tak traktować. Nie pozwolę. Będę walczył. Nie dam się oszukiwać. Z takim postanowieniem rzuciłem się do pisania recenzji. Pisałem je w każdej wolnej chwili. Właściwie nie oglądałem już filmów, tylko czytałem reklamowy tekst na pudełku kasety i już recenzja była gotowa. Zdaniem mego kumpla osiągnąłem wspaniałą celność sformułowań i nieocenioną zwięzłość. Powoli, recenzja po recenzji zebrałem ponownie potrzebne pieniądze. Tym razem nie było we mnie euforii. Czułem się tak, jakbym szykował się do jakiejś batalii, walki na śmierć i życie. Chciałem zdobyć to, czego nie dostałem od pierwszej z zamówionych dziewcząt. Przemysliwałem nad każdym szczegółem. Wiedziałem, że tej, którą tym razem kupię nie mogę pozwolić na żadną własną opinię, czy chęć. Żadnej improwizacji z jej strony, żadnej dowolności. Trzeba będzie pilnie uważać na jej manewry, na jej sztuczki. Nie dam się tym razem oszukać. Wyobrażałem sobie chwilę po chwili nasze spotkanie. Będę jej rozkazywał. Nie zrobi niczego z własnej woli. Przecież słono płacę za tę godzinę. Ona stanie się rzeczą w moich rękach. Czy chodziło mi o to, żeby stała się rzeczą? Rzeczywiście nie wiedziałem, czego właściwie od niej chcę. Wszystkiego. Wszystkiego. Rąk, ust, nosa, piersi. Wszystkiego. Nie tylko ciała, ale i ducha tego co możliwe między mężczyzną a kobietą. Pragnąłem jakiejś świętości grzechu. Pragnąłem frymarczyć, zdobywać, udawać, poniżać. To mnie niosło do następnej prostytutki.

Wszystko było teraz trochę inne. Kiedy stawałem przed klasą i nauczalem historii, zdarzało mi się zastanawiać jak wielka jest przepaść udawania między nimi a mną. Nie zmieniły się moje obyczaje. Jak dawniej przez całą lekcję chodziłem między rzędami ławek. Jednak byłem już kimś innym. Między mną a nimi była ta godzina spędzona z dziwką niewiele starszą od moich uczennic. Między nimi a mną były moje myśli o następnej kobiecie, którą miałem zamiar kupić. I nie cierpiałem z tego powodu, jak chciałiby może moralisci. Nie. Wręcz przeciwnie. Udawanie przed nimi statecznego nauczyciela sprawiało mi przyjemność. Świadomość udawania daje silne poczucie tożsamości. Aktor o głębokim sercu grający mordercę musi mieć podobne wzmożone poczucie własnego istnienia. Udawanie zmusza nas do traktowania siebie analitycznie, pozwala nam obserwować samego siebie. Moje życie nabrało intensywności. Moje życie stało się skrywanym skandalem. Ale właśnie to skrywanie nadało mu teraz piękno i barwę. Niedzielny obiad z rodziną. Niby nic się nie dzieje. Prawie jak zawsze, w ogóle ze sobą nie rozmawiamy. Lecz ta godzina z tamtą kobietą jest między nami. Panuję nad tym. Przymierzam to do swego życia. Nie należę już trochę do tej rodziny. Trwam w swojej tajemnicy. I to jest podniecające. Bawię się też taką myślą: co by się stało, gdybym przy niedzielnym obiadku opowiedział im o tamtej kobiecie i jeszcze o tych, które będą po niej? Pewnie zdziwienie. Oslupienie. Nie, nigdy nie domyślamy się jak różni są od naszych wyobrażeń ludzie z którymi jemy niedzielny obiadek. Gdyby wy-

jawić tę różnicę, świat by się chyba zdrowo przeraził. Gdyby ujawnić prawdziwe przygody ludzkiej świadomości, to by dopiero była rewolucja. Okazałoby się, że przy niedzielnym obiadku siedzi grupa wariatów, którzy z trudem i resztkami sił udają, że jedzą spokojnie swój obiadek, że są mamusią, tatusiem, wujkiem, nauczycielem, politykiem, że ich myśli niczym świetlne race nie rozjaśniają raz po raz obszarów bezwstydu, strachu, dziwologów, że upoczywie nie tkwią przy jakimś nonsensownym lub okrutnym marzeniu. Ale oczywiście je się te nasze obiadki i nic niezwykłego się nie dzieje.

6.

Miałem już pieniądze na następną kobietę. I cieszyłem się myślą, że je mam. Stać mnie było na kupienie następnej kobiety. To piękne uczucie.

Tym razem wybrałem ogłoszenie, w którym była informacja, że dziewczyna przyjmuje również na miejscu, że nie trzeba jej ściągać do hotelu. To oczywiście potaniało sprawę. I czyniło też bardziej podniecającą. Jak to właściwie jest urządzone? Taka dziewczyna mieszka w bloku? Czy towarzyszy jej stale jakiś facet siedzący w pokoju obok? A może jest kilka dziewcząt i kilka pokoi, a pilnujący bezpieczeństwa dziewcząt siedzi gdzieś dyskretnie ukryty? Kto otworzy mi drzwi? Mężczyzna? Kobieta? Telefon odebrał mężczyzna.

- Dzień dobry. Godzinka z blondyneczką – powiedziałem.

- Trójeczka, czwóreczka?

Chwilę się zawahałem. Nie zrozumiałem po prostu o co pyta. Wreszcie powiedziałem: - Jak największe...

- Jasne. Wyjazd, przyjazd?

- Przyjadę?

Podał mi adres. Było to gdzieś na obrzeżach miasta. Daleko od dzielnicy, w której mieszkalem. Umówiliśmy się, że przyjadę za godzinę.

Wychodząc z kamienicy spotkałem sąsiadkę. Przywitałem się z nią jak zwykle serdecznie. Zapytałem o zdrowie męża, który miał cukrzycę. Odpowiedziała, że coraz gorzej, ale ona się już jakoś przyzwyczaja. Nic nie wiedziała o tym gdzie idę. Nikt z mijanych później ludzi też nie wiedział. To było wspaniale uczucie. Czulem się jak szpieg, który ma wykonać jakąś trudną misję w obcym kraju. Oni byli jawni, ja byłem tajny. Usiadłem w tramwaju i ze zdziwieniem patrzyłem na ludzi. Nie znają mojej misji. Niczego nie podejrzewają. Oni kroczyli w słońcu, a ja przekradałem się zakamarkami rzeczywistości. Ja w zwykły, pospolity dzień przeżywałem ekscytującą przygodę. Podniecała mnie ta różnica między nimi, a mną. Czulem się wspaniale.

Dotarłem pod wskazany przez mężczyznę adres. Była to dwupiętrowa kamienica. Dawno nie remontowana, z odpadającym, tynkiem. Nacisnąłem przycisk, przy domofonie. Odezwał się miły kobiecy głos.

- Byłem umówiony, z ogłoszenia – powiedziałem. Zachichotała. I wpuściła mnie do środka.

Mieszkanie mieściło się na drugim piętrze. Szedłem powoli, nie spiesząc się. Drzwi do mieszkania nie miały dzwonka, więc musiałem zapukać. Otworzyła mi kobieta ubrana w szlafrok. Mogła mieć trzydzieści lat. Miała duże piersi i trochę krótkie nogi.

- Proszę, proszę – zachęcała mnie do wejścia.

Do licha, była typowym przykładem kobiety nie w mim guście. Trzydziestolatka z wyraźnymi tendencjami do tycia.

– No... no... o, jaki nieśmiały. – Wzięła mnie za rękę i wprowadziła do środka. Przeszliśmy wąskim korytarzem obok jakichś drzwi i weszliśmy do dużego pokoju, w którym znajdowało się tylko łóżko i duża, stojąca lampa dające mdlawe, różowe światło. Boże nie chcę jej, pomyślałem.

– Najlepiej zapłacić od razu – powiedziała, gładząc mi piersi otwartą dłonią. – Przesraszony, pierwszy raz...

Położyłem pieniądze pod lampą. Los drwił sobie ze mnie. Placiłem za kochanie się z kobietą, która mi się nie podobała.

Popchnęła mnie w stronę łóżka.

– Odpręż się. Rozbiorę cię.

Siedziałem na łóżku, a ona mnie rozbierała. Nie czułem żadnego podniecenia. Kiedy zobaczyła moją wąpiącą w sens tej przygody męskość znów zachichotała. Tak sobie wszystko układałem i nic z tego. Pragnąłem jej rozkazywać. Pragnąłem w pełni nad nią zapanować. Tymczasem nie miałem nawet ochoty z nią być. Wreszcie usiadła na mnie okrakiem i prawie po męsku mnie zgwałciła. Miałem ochotę ją uderzyć, zedrzeć z siebie jak brudną szmatę. A jednak nie mogłem ukryć też przed sobą, że było coś podniecającego w tym jej mlaskaniu nad moją głową, coś ekscytującego w tym jej władaniu mną. Do licha, może jest też we mnie potrzeba bycia gwałconym? Pomiatanym? Bycia znieważanym jej chichotem? Śmiała się ze mnie? Śmiała się z tego, co działo się między nami?

7.

Czyżbym przy pomocy tych kobiet miał dopiero poznawać swoje pragnienia? Może tak naprawdę mam ochotę kochać się z tyjącą blondynką? Może o tym czego szukam dopiero się dowiem? Może tak właśnie być. Zostanie mi dopiero objawione to czego naprawdę od nich chcę. Przeraziłem się tymi słowami. Zacząłem podejrzewać, że chcę zrobić z nimi coś strasznego. Albo że pragnę, żeby one zrobiły coś strasznego ze mną. Nie ja szukam, lecz to coś miało znaleźć mnie. Któregoś dnia między mną, a jedną z nich musi się stać coś o co tak naprawdę w tym chodzi. Ale co to takiego, nie wiedziałem. Przeczuwałem jedynie coś groźnego, coś przerażającego. Co mnie czeka przy następnych kobietach? Co ja naprawdę chcę zrobić?

Kiedy pozostają już tylko pragnienia nie mające swego przedmiotu, popadamy w popłoch.

Moje siedzenie pod oknem z odsłoniętym żaluzjami zmieniło się teraz w samotne pijaństwo. Wypijałem jeden, dwa drinki i czekałem, aż żona i córka pójda spać. Potem, kiedy już były w łóżkach wypijałem następne dwa, trzy drinki. Często myślałem sobie wówczas o św. Augustynie. Któregoś wieczoru wybuchnąłem śmiechem przypomniawszy sobie cierpienia moralne świętego związane z grzechami niemowlęctwa. Odszukałem jego „Wyznania” i znalazłem tamten fragment: „Kto mi przypomni grzechy jakie popełniłem w niemowlęctwie? Wobec ciebie wolny od grzechu nie jest nikt, nawet dziecko, które zaledwie jeden dzień przeżyło na ziemi. Kto więc mi przypomni? Może każde z tych maleńkich dzieci, w których dostrzegam to, czego o samym sobie nie pamiętam?”

Czy grzeszyłem wówczas? Czy tym, że płacząc wyrwałem się do karmiącej mnie piersi? Gdybym dziś tak łakomie rwał się już nie do piersi, lecz do pokarmu stosownego dla moich lat, wyśmiano by mnie i udzielono mi słusznej nagany". Szczerze się śmiałem z tego niemowlaka posądzonego przez świętego o grzeszenie przy matczynym cycku. Lecz przeczytałem ten fragment jeszcze raz i jeszcze raz i pomyślałem, że może on ma rację, że przez całe życie rwiemy się do jakiegoś wielkiego cycka, wielkiego żarcia, wielkiego spełnienia, brutalni w tym dążeniu, bezwstydni, nienasyчени, godni tylko współczucia. Nie ma się tu z czego doprawdy śmiać.

Żona zaniepokoiła się tymi moimi pijaństwami pod oknem. Zauważyła, że przychodzę do łóżka zupełnie pijany i że jest tak prawie codziennie.

– Przesadzasz kochanie – powiedziała, gdy któregoś dnia wprost zwałilem się do łóżka.

– Wiem.

Wiedziałem. W szkole miałem kaca i z trudem wytrzymywałem kilka godzin wędrując między ławkami.

Po lekcjach robiłem sobie długie spacery. Rozmyślałem. Czasami przysiadłwszy na parkowej ławce doznawałem chwili głębokiego spokoju. Radowałem się myślą, że właśnie nigdzie się nie śpieszę, że do niczego nie dążę, niczego nie pożądam, niczego nikomu nie zazdroszczę. To były naprawdę piękne chwile. Nie chciać niczego. Zupełnie niczego. O to może właśnie chodzi. No i czy tak nie jest lepiej? Mówilem sobie, daj sobie spokój z tamtymi historiami. Wymykają ci się spod kontroli. Teraz już nie wiesz, dlaczego chodzisz do tych kobiet. Chcesz, żeby one objawiły ci o co chodzi? Jeśli będziesz dalej do nich chodził wszystko stanie się irracjonalne. Spadnie na ciebie to co w tobie samym nieprzewidywalne. Chcesz tego co w tobie nieprzewidywalne? Nie chcesz. Boisz się tego. I pewnie dlatego będziesz to robił dalej. Chcesz wiedzieć co będzie dalej. Nawet jeżeli boisz się tego dalej. Nawet jeżeli przeczuwasz, że to dalej jest groźne. Będziesz to robił. Tak już chyba jest, że człowiek musi robić takie rzeczy do końca. Pijesz teraz przed swym oknem, boś się porządnie przestraszył. Ale i tak będziesz to robił dalej. To co się wtedy we mnie działo, to nie był tylko lęk i obawa przed tym co dalej; byłem też dumny, że krocę swoją drogą, że nikt nic nie wie o mojej wielkiej przygodzie. Miałem swoją prywatną rzeczywistość.

8.

Człowiek wierzący powiedziałby, że sprzyjał mi sam szatan. Natomiast ja mogę powiedzieć tylko, że byłem tym bardzo zaskoczony. Umarł mój daleki krewny. Kuzyn od strony matki. Nawet dokładnie nie wiem jaki jest właściwie stopień pokrewieństwa. Nie lubię rodzinnych zjazdów, więc nie pojechałem na pogrzeb. Kilkanaście dni później przyszedł list od ciotki, wdowy po tym odległym wuju. List był obszerny i pełen pretensji wobec wuja. Zdaniem ciotki, wuj był głupcem, naiwniakiem i okropnie ją skrzywdził spisując testament, w którym część majątku zostawił kilku dalszym krewnym. Wśród tych krewnych znalazłem się także ja, który nie pofatygowałem się nawet na pogrzeb. Został mi sporą sumę pieniędzy, zdaniem ciotki, z zupełnie niezrozumiałych przyczyn. Ciotka pisała, że jej zdaniem, podważenie testamentu byłoby zupełnie uzasadnione, ale ona bawić nie chce się w takie rzeczy i prosi mnie o przybycie i odebranie rzeczonyj sumy.

Pojechałem następnego dnia. Mimo że jechałem pociągiem ekspresowym trwało to prawie pięć godzin. Byłem szczęśliwy. Koniec z recenzjami. Wreszcie nie będę czekał na kolejne spotkanie z tymi kobietami cały miesiąc. Wreszcie jestem wolny.

Ciotka czekała na mnie z notariuszem w kancelarii adwokackiej. W liście stwierdziła, że nie ma potrzeby, bym gościł u niej w domu. Była oschła i surowa.

– Ciekawa jestem czy byś go poznał na ulicy? – zapytała, kiedy składaliśmy podpisy pod aktami przekazania mi części spadku.

– Spokojnie, kochanie... spokojnie – powtarzał notariusz, którego zdaje się, że łączyło coś więcej z ciotką, niż tylko obowiązki służbowe.

– Utworzyliśmy panu konto, na które przelaliśmy stosowną sumę – mówił notariusz. – Trudno, żeby takie pieniądze wynosił pan w reklamówce.

Ciotka uśmiechnęła się gorzko. Kiedy już zostały załatwione wszystkie formalności, zaproponowałem żebyśmy poszli na kolację do jakiejś restauracji. Ciotka kategorycznie odmówiła. Powiedziała, że to i tak było dla niej dostatecznie bolesne i absurdalne, bowiem nie zwykła dawać obcym ludziom tak wielkich sum, więc byłoby najlepiej, gdybym pozostawił ich samych.

Wyszedłem.

Natychmiast popędziłem do banku i wypłaciłem kilkaset złotych. Starczyłoby tych pieniędzy na wynajęcie hotelu i zaproszenie, nie jednej ale kilku prostytutek. I to było wspaniałe. Kiedy znalazłem się w pokoju hotelowym, zadzwoniłem do żony.

– Jestem piekielnie zmęczony – powiedziałem. – Ciotka jest gorsza niż myślałem. To chodząca jędza. Ale już po wszystkim... Tak, tak pieniądze są bezpieczne na koncie... dzwonię z hotelu. Jestem naprawdę zmęczony. Postanowiłem wrócić dopiero jutro.

Uznała, że to dobry pomysł. Powiniennem odpocząć. Przypomniała mi tylko, że bym kupił jakiś prezent córce. Przyrzekłem, że będę pamiętał. I to wszystko. Odłożyłem słuchawkę i byłem wolny. Położyłem się na łóżku i zacząłem intensywnie marzyć o tej, którą teraz zaproszę. Nie wiem dlaczego, ale chciałem, żeby było w niej coś specjalnego, jakaś skaza. Ale dlaczego, po co, do diabła? Nagle zrozumiałem? Chciałem, żeby ona wstydziła się tej skazy, żeby ta skaza ją poniżała. Tak, tak miało być. Byłem zdecydowany, że o coś takiego poproszę. Potem się przestraszyłem, że jest już wieczór, a ja nie mam miejscowej gazety z potrzebnymi numerami telefonów. Wpadłem w panikę. Tak pragnąłem teraz tej kobiety, a nie miałem numeru telefonu, którym mógłbym ją przywołać. Chwilę krążyłem po pokoju. Potem spokojnie przejrzałem szuflady. Nie myliłem się. Obok książki telefonicznej znalazłem dwie małe kolorowe karteczki z potrzebnymi numerami telefonów. Zadzwoniłem natychmiast.

– Witam pana, dzwonię z hotelu, cholera jak on się nazywa, Zodiak. Tak Zodiak. Potrzebuję... No, coś trochę specjalnego...

– Tak? – odezwała się kobieta o głębokim, zachrypniętym głosie. To dziwne, ale niektóre rzeczy łatwiej powiedzieć kobiecie, ale niektóre nie. Zauważyłem, że przyznanie się kobiecie, choćby nie wiem jak anonimowej, do pragnień nietypowych jest znacznie trudniejsze niż uczynienie tego samego wobec mężczyzny.

– Dysponujemy pełną gamą usług – zapewniła mnie moja rozmówczyni.

– Wie pani, nie chodzi mi o żadną piękność... Chodzi o grubą babę z...

– Rozumiem.

Ustaliliśmy cenę i odłożyłem słuchawkę. Byłem zaskoczony swoim zamówieniem. Myślałem o jakiejś drobnej skazie. Zajęcej wardze. Zbyt krótkiej szyi. Tymczasem zamówiłem sobie potwora. Potrzebowałem potwora? Potrzebowałem? Dlaczego? Po co?

Kobieta, która przyszła, była niska i otyła. Miała sztuczne rzęsy i wydatne usta wysmarowane jaskrawą czerwienią – cały czas zwilżała je językiem. Boże, podobała mi się bardziej niż jej poprzedniczki. Kiedy wydobywszy ze stanika wielkie piersi rozkochała je w moich dłoniach, poczułem, że jestem gotowy w nią wtargnąć, że właśnie jej teraz chcę. Pieściłem jej piersi. Szarpałem łonowe włosy. I wreszcie tuż przed spełnieniem, w tym samym momencie kiedy przypomniałem sobie tamtą kobietę, sprzątaczkę z mojej szkoły podstawowej, sprzątaczkę sprzed kilkudziesięciu laty, grubą babę, której zawsze wystawała halka spod fartucha i stanik wyraźnie odznaczał się na plecach, kiedy szorowała podłogę, kiedy przypomniałem sobie, kiedy jako kilkuletni chłopak marzyłem o naszej szkolnej sprzątacze, właśnie wtedy uderzyłem prostytutkę w twarz, potem jeszcze raz i jeszcze, aż wreszcie doznałem orgazmu. Położyłem głowę na jej piersiach i czekałem co będzie dalej. Spodziewałem się, że prostytutka zrobi mi teraz awanturę, że będzie skandal na cały hotel.

– Takie porządne weiry kosztują jeszcze pięć dych – powiedziała gładząc mnie po głowie. Uniosłem się na łokciach i przyjrzałem się jej. Była naprawdę podobna do tamtej sprzątaczkę sprzed lat. Miała takie same cięjące oczy i tłuste policzki. Pragnąłem kiedyś tamtej kobiety, pragnąłem w dziecięcych marzeniach.

Zapytała, czy może się już ubrać. Przytaknąłem ruchem głowy. Spełniła moje dziecięce marzenia. Moja tłustawa sprzątaczkę. Ubierała się powoli, zerkając na mnie dyskretnie. Moja sprzątaczkę. Wcisnąłem jej w garść jeszcze sto złotych. Chciałem być dla niej hojny.

– Gdybyś jeszcze czegoś takiego potrzebował, to wiesz gdzie mnie szukać, mój zloty – powiedziała wychodząc.

Byłem wzruszony odnalezieniem tamtego zapomnianego marzenia. To tak jakby spotkać kogoś po latach, jakby przekonać się, że dawna miłość nie minęła, że moja młodość jest jeszcze we mnie, że jest we mnie wieczne pragnienie tamtej, zapomnianej zdawałoby się kobiety.

9.

A więc odnalazłem tamtą kobietę z dzieciństwa. Kobietę, która mówiła: – Dziecioci, wyndźta, co robita... Kobietę, która wycierała nos w rękaw. Przypomniałem sobie jej brudny, niebieski fartuch, przelewające się w zbyt ciasnym staniku piersi. Nie pamiętałem o niej tyle lat, aż tu nagle wychynęła ze wspomnień. Prawdziwsza niż żywa, bo będąca moimi myślami. Odkryłem ją jak dawno zagubioną rzecz w zakamarkach pamięci. Zapomniałem o niej. Wstydzilem się jej. Wstydzilem się, że w ogóle kiedykolwiek istniała. Co tam jeszcze skrywam przed sobą? Po tamtej nocy myślałem o tym często. O wielu rzeczach starałem się nie pamiętać. O wielu też staram się nie myśleć. A może właśnie te rzeczy powodują człowiekiem najsilniej? Powodują nami wspomnienia i myśli niechciane? Jeszcze teraz, kiedy tamta kobieta przypominała mi się w sposób tak oczywisty, wcale nie miałem ochoty uznać jej istnienia. Mówiłem sobie, że to chwilowa iraszka rozdrażnionej wyobraźni. Byłem przecież rzeczywiście zmęczony,

ciotka próbowała traktować mnie jak śmiecia, więc nie dziwnego, że pojawiła się ta szkarada z dzieciństwa. Pamiętam, że fascynowała mnie dlatego, że w obecności nas, dzieci, zupełnie nie brała pod uwagę swojej kobiecości. Wycierała dłonie o wielkie pierś. Rozstawiała szeroko nogi, aż fartuch wysoko unosił się ponad kolana. Mogliśmy na nią patrzeć nie bojąc się żadnego podejrzenia z jej strony. Tak, nie ulega wątpliwości, że z tą prostytutką było mi naprawdę dobrze. Właśnie z nią, podobnej do tamtej z dzieciństwa, było mi wreszcie dobrze. Nie chciałem już teraz długonogich, osiemnastolatek, z klasą, lecz pragnąłem kogoś takiego jak ona. Wiedziałem oczywiście, że oddalam się od normalnych pragnień; oddalam się od normalnych kanonów piękna, miłości, pożądania. Wciążą mnie jakaś moja mała prywatna przepaść. Ale wiedziałem też, że się już nie cofnę. Odkrycie zostało dokonane. Trzeba było iść dalej. Nie było wyboru. Jeżeli człowiek znajduje na swej drodze coś takiego, nie może się cofnąć, nie może udawać, że nic się nie stało. Odkrył w sobie coś, czego istnienia nie podejrzewał – oto co się stało. Jeżeli człowiek znajduje w sobie coś takiego, to świat nie jest już taki jaki był. Świat staje się wtedy obcy. I zostaje się sam na sam ze swoim nowym światem, ze swoim nowym pragnieniem. Towarzyszy temu strach. Towarzyszy temu zdziwienie sobą. Człowiek zapytuje siebie, czy to wszystko dzieje się naprawdę? Niemożliwe, żebym ja robił takie rzeczy. A jednak wszystko jest tu prawdziwe. Prawdziwsze niż to co było dotąd. Teraz dopiero człowiek odkrywa, krok po kroku, nerw po nerwie, myśl po myśli, samego siebie. Widzi jaki dotąd był zakłamany i nieprawdziwy. Ale widzi też jak straszną rzeczą jest bycie choćby odrobinę sobą. Odkrywa, że można przerazić się sobą samym, że sam dla siebie człowiek jest zadziwiająco przerażający. A jednak jest się chyba skazanym na poznawanie siebie. Czego jak czego, ale właśnie siebie jest się najbardziej ciekawym. I jest się wobec siebie jak dziecko, które nadmuchuje przez słomkę żabę.

10.

Zbliżały się letnie wakacje. Siadywałem teraz wieczorami przed otwartym szeroko oknem. Od strony ogrodu botanicznego powietrze przynosiło zapach kwiatów i traw. Ciepłe, czerwcowe podmuchy wdzierały się do pokoju. Piłem mniej. Wystarczał mi drink. Dwa. Wypalałem jedną, pełną fajkę i tak było dobrze. Nie spieszyłem się do następnego spotkania z prostytutką. Chciałem żeby odbyło się to w sposób spokojny, przemyślany. Żona wciąż mówiła o spadku. Było tego wiele, że mogliśmy kupić nowy samochód, zmienić mieszkanie i starczyłoby jeszcze na porządne meble. Odpowiadałem, że powinniśmy się dobrze nad tym zastanowić i nie podejmować pochopnych decyzji. Zgadzała się z tym, ale wciąż wracała do tematu. Zaproponowałem więc, że decyzję podejmiemy po wakacjach.

– Jak chcesz – powiedziała i wreszcie przestaliśmy o tym rozmawiać.

Któregoś wieczoru zaproponowałem, żeby żona i córka wyjechały w tym roku na wspólne wakacje.

– Ja zostanę. Przyda mi się trochę kawalerskiego życia – mówiłem. – Przemyślę co z tym spadkiem.

– Jak chcesz.

Myślałem, że będą się dziwiły, że chcę zostać sam. Nie, przyjęły to normalnie i spo

kojnie. Wyjechały na początku lipca. Żona powiedziała tylko, że bym od czasu do czasu zadzwonił, bo będzie się niepokoiła. Zostałem sam. I przez kilka pierwszych dni nie właściwie się nie działo. Spacerowałem po mieście. Przesiadywałem na parkowych lawkach i przed otwartym oknem. Wiedziałem, że pora zrobić następny krok i wiedziałem co to będzie za krok. Nie mogłem oczywiście przewidzieć wszystkiego – tyle już rozumiałem. Wiedziałem jednak czego teraz pragnę. Wstydziłem się przed samym sobą, ale nie mogłem tego zmienić. Taka była logika wydarzeń. Taka była logika mojej osobowości. Pojechałem do hotelu w sąsiednim mieście i złożyłem swoje zamówienie. W pierwszej agencji, do której zadzwoniłem, wyśmiano mnie i wyzowano od zboczeńców. W drugiej powiedzieli, że zobaczą co się da zrobić. Czekalem dwa dni i wreszcie kiedy ponownie zadzwoniłem, powiedzieli, że niestety nie mogą zrealizować mojego zamówienia. Nie byłem zły. Rozumiałem ich. Czulem się nawet dumny, że nie tak łatwo mnie zaspokoić. Nie byłem byle klientem, czterdziestolatkiem rzucającym się na nastoletnie dziewczęta. Byłem kimś wyjątkowym. Pojechałem dalej. Do następnego miasta. Zamieszkałem w wielkim hotelu. Poczekalem dwa upalne, nieznośne dni i potem, kiedy upał zelzał złożyłem znów swoje zamówienie w towarzyskiej agencji. Wyjaśniłem wszystko spokojnie, dokładnie. Opowiedziałem jak ma rzecz przebiegać, minuta po minucie. Mężczyzna, który mnie słuchał, zapytał: – Nie żartuje pan? Zaprzeczyłem. Chwilę się wahał. Potem zaproponował inne rozwiązanie.

– Będzie pan też zadowolony – zapewniał, spokojnym męskim głosem.

– Nie!

Chciałem mu nawet opowiedzieć o swoich doświadczeniach i o tym jak dokładnie teraz wiem o co mi chodzi, ale zrezygnowałem. Wymienił sumę, na którą jego dziewczyny pracują przynajmniej miesiąc. Zgodziłem się bez zbędnych dyskusji.

– Niech pana diabli... Ale, cholera to niebezpieczne. – Mówił jeszcze chwilę o tym, że trudno namówić jego dziewczyny na takie rzeczy.

– To nie mój problem. Za dwa dni wyjeżdżam.

– Jezu...

– Zadzwonię jutro wieczorem. Jeżeli będzie pan coś miał to dobrze, jeżeli nie to trudno.

– Czy mógłbym z panem chwilę przedtem porozmawiać?

– Rozmawiamy.

– Chciałbym pana zobaczyć. To co pan chce jest trochę...

Nie zgodziłem się. Powtórzyłem tylko, że pojutrze wyjeżdżam i to wszystko.

Leżąc na łóżku popalałem fajkę. Pomyślałem, że może będę musiał wędrować z tym moim marzeniem, pragnieniem, potrzebą z miasta do miasta, że zestarzeję się nim ono się spełni, albo nigdy w ogóle nie spełni, a jeżeli nawet, to zaraz potem pojawi się nowe pragnienie, serdeczna potrzeba, która znów rzuci mnie od miasta do miasta i będę palił fajkę w jakichś obskurnych hotelach, będę wsiadał pospiesznie do pociągu, będę czekał, czekał, a moja wyobraźnia będzie produkowała coraz to nowe chęci, nowe obrazy i tak będę gnał w mojej małej, doczesnej wieczności, śmieszny, karykaturalny, aż do obrzydzenia. Nasze pragnienia zawsze nas poniżają. Zawsze. Jesteśmy zazwyczaj jak kamień, który chce być ptakiem. Jesteśmy jak drzewo, które chce być rybą. Poczulem się bardzo nieszczęśliwy, oszukany przez samego siebie (to nadzwyczaj powszechne oszustwo). Ze zdziwieniem wspominałem teraz jakies zdarzenia

z przeszłości. Któregoś sierpnia, przed kilkunastu laty pływałem w morzu do utraty sił. Rozkołysany, zgwałcony, zmaltretowany wodą położyłem się wreszcie na rozgrzanym piasku i mówilem sobie, szeptałem, nie zapomnij tej chwili, bądź szczęśliwy jak teraz, nie uszczknij ani odrobiny z tego umęczenia wodą, słońcem, z muzyki fal i światła na twojej skórze nie uszczknij nic z tętniącej w skroniach krwi. I pomyślałem sobie wówczas, że jeżeli tylko trochę się postaram, potrafię być szczęśliwy. A teraz siedzę tu gnany pragnieniami, których już sam nie rozumiem. Zejść sobie samemu z oczu. Tego właściwie tylko chciałem w tamtej chwili.

Zasnąłem nie rozbierając się, z dopalającą się fajką w dłoni. Rano wpadłem w jeszcze większą rozpacz. Co ja tu robię? Czego właściwie chcę? Przypomniałem sobie opowieść Arystotelesa, że człowiek powinien być najlepszym przyjacielem samego siebie. Nie pamiętam, gdzie to przeczytałem. Coraz częściej nie potrafię sobie przypomnieć skąd pochodzi czyjaś myśl. Nie potrafię sobie przypomnieć skąd pochodzą moje własne myśli. Tak już jest. A więc człowiek powinien być największym przyjacielem samego siebie? Pewnie. Jasne. Tylko, że nie jest. Jest raczej największym swoim wrogiem. Wrogiem śmiertelnym, wszechobecnym. Stróżem samego siebie. Macochą dla samego siebie.

Zamówiłam śniadanie i butelkę żytniej do pokoju. Zjadłem pospiesznie niedosoloną jajecnicę, wypilem kawę i popijałem wódką prosto z butelki. Byłem rozżalony, zły, wściekły. Telefon milczał. Kiedy zbliżało się popołudnie butelka była opróżniona do połowy. Postanowiłem zrobić spacer po mieście.

Kobieta siedząca w recepcji przyglądała mi się z uśmiechem. Pewnie wiedziała, co zamówiłem na śniadanie i stąd ten uśmiech.

Ulice były wilgotne od deszczu. Siedząc w hotelu nie zauważyłem, że na dworzu deszcz. Teraz tylko pojedyncze krople wilgoci kołysały się na powietrzu. Chodniki i ściany domów parowały. Szedłem główną ulicą i jak dziecko rozmyślnie wchodziłem w kałuże. Czterdziestoletnie dziecko. Czulem się świetnie i potwornie – jednocześnie. Byłem jednocześnie, stary i młody, głupi i przebiegły, samotny i szczęśliwy. Byłem trochę taki, jakim może powinien być w ogóle człowiek – wszystkim jednocześnie.

Wszedłem do jakiegoś baru i zamówiłem piwo. Miałem ochotę się zwierzać, opowiadać o sobie. Ale siedziałem sam i gapilem się w słońce powoli wychylające się zza deszczowych chmur. Pijąc drugie piwo, pomyślałem, że może tamten facet dzwoni do hotelu i ma dla mnie to co zamówiłem. Niech dzwoni. Mamy czas. Nigdzie się nie spieszy. Będę się sycił oczekiwaniem. Oczekiwanie nadaje życiu intensywności. Oczekiwanie krystalizuje świat. Wszystko staje się wyraźne i prawdziwe.

W następnym barze zjadłem spóźniony obiad i wypilem kolejne piwo. Znowu kropił drobny deszcz. A potem powoli zmierzch zaczął wypełniać ulice. Ciemność rosła jak czarna trawa na brzegach chodnika, jak ciemna woda wypełniała bramy.

Wróciłem do hotelu. Tamten człowiek wciąż nie dzwonił. Byłem zmęczony sobą i swoimi pragnieniami. Położyłem się na łóżku i zasnąłem. Nie usłyszałem pukania. Może ktoś pukał, może nie. Drzwi się lekko uchylily i już domyślałem się, że to właśnie to o czym marzyłem cały czas, moje pragnienie, zjawi się tu zaraz w całej okazałości, żywe, namacalne, prawdziwe; i drzwi się uchylily, i stało się; petzl ku mnie robak, obly, lśniący, dokładnie taki jakiego mogłem się spodziewać.

Krzysztof Derdowski

Marcin Kurek

Tracheotomia



Fot. Archiwum „K.A.”

Pośrodku słów obłych, w jałowej sprzeczności
cytatów – szukałem, nie było mi dane

nie ponad sen, obietnicę jasności,
odległe łożyska galaktyk. Jak białe

smugi na rozpędzonym niebie dzielił
nas kształt, bezpowrotna forma, co studzi

zdumione okruchy uniesień, nadziei,
że *mon Dieu m'a dit*. Gdy on milczy, nie mówi.

Oratio obliqua

*Odwróć oczy ode mnie, abym zaznał wytchnienia,
zanim odejdę i nie będzie mnie.*

Ps. 39, 14.

I. Anthropos

Tam, gdzie wszystkie ścieżki porastają trawą,
osy i pająki, gwiazdy i księżyce,

lewy ślad odciskam dla zmylenia tropu,
kładę się, a wskazujący palec błądzi.

Marcin Kurek, ur. w 1970 r. Wykładowca literatury hispanoamerykańskiej na Uniwersytecie Wrocławskim.
Autor arkusza poetyckiego „Monolog wieczorny” (1997). Wiersze publikował m.in. w „Dykcji” i „Studium”.
Mieszka we Wrocławiu. (red.)

II. Daimon

Wśród ciszy, co przetrwa nad ogrodem w sierpniu,
gdzieś w obłokach piany, różowej zamieci,

ciębie wypatrując wnet dostrzegam postać
tego, co trzynastcie lat stać przy mnie będzie.

III. Rewers

Którego spojrzenie nie daje wytchnienia
– nim czas już nie będzie tym samym co chwila

i nagle jak światło zimowego ranka
śmierć we mnie uwierzy – nie odwracaj oczu.

Marcin Kurek

PLASTYKA

Prezentacje

Elżbieta Lempp



*** *Elżbieta Lempp*

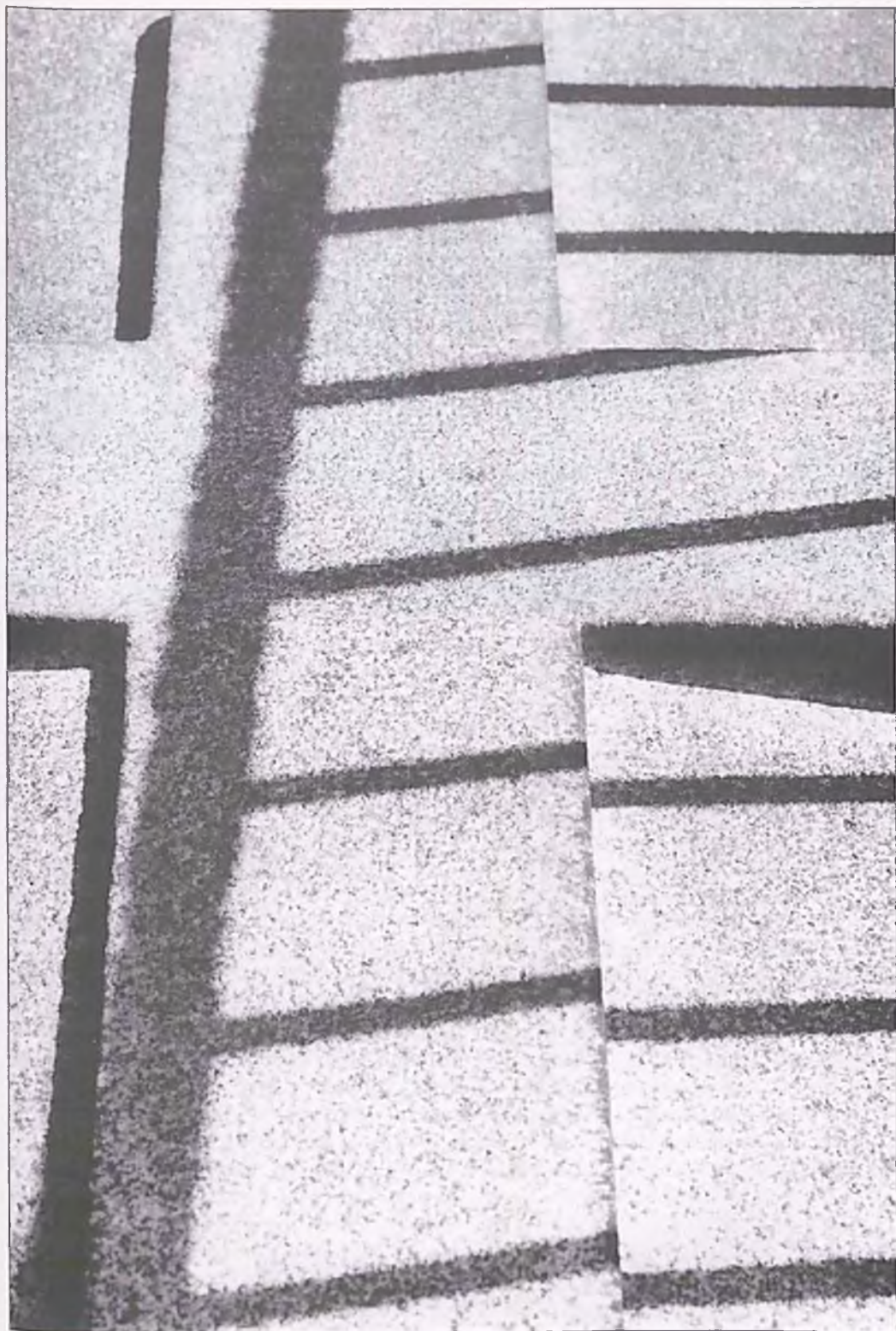
Elżbieta Lempp, ur. 1957 r. absolwentka Sławistyki UJ w Krakowie (1981); lektor języków słowiańskich w Północnej Karolinie, USA (1984-1986); pracownik Deutsches Polen-Institut w Darmstadt, Niemcy (1990-1993). Niezależny fotografik – obecnie mieszka w Darmstadt. Prace swoje drukuje w „Tygodniku Powszechnym”, „Rzeczpospolitej”, „Dekadzie literackiej”, „Res Publice Nowej”.

Na początku był język. Wiele języków. Mogłam przekładać z języka na język. Obraz na obraz. Ale obrazy te nie były wystarczająco ostre. Czynność ta, choć wkładałam w nią cały swój zapal, nie dawała upragnionej ostrości, słowa w moim słowniku wydawały się zbyt ubogie. Dopiero, kiedy odkryłam dla siebie aparat fotograficzny poczułam, że znalazłam sposób na przekładanie obrazów.

Patrząc wstecz tak widzę moje zainteresowanie się fotografią. A było to prawie piętnaście lat temu, kiedy po studiach slawistycznych w Krakowie wyładowałam z moim mężem w małym miasteczku uniwersyteckim w Północnej Karolinie. Campus University of North Carolina posiadał wspaniałą bibliotekę z mnóstwem albumów malarskich i fotograficznych. Prawie wszystkie były poważnie zaczytane, miały wyraźne ślady dogłębnego studiowania. Na wygodnej kanapie w czytelni urządziłam sobie prywatną galerię obrazów Dürera, Modiglianiego, Saurata, Renoira. Godzinami przeglądałam prace Stieglitza i Steichena, White'a, Kertesza i Cartier-Bressona. Odwiedzałam wystawy fotograficzne w bliższej i dalszej okolicy. I sama pracowałam do późnych godzin nocnych w kampusowej ciemni, gdzie wywoływałam i robiłam odbitki tego, co podczas licznych podróży po Stanach fotografowałam. Z biegiem lat nauczyłam się eliminować z fotografowanych obrazów rzeczy nieistotne. Van Gogh w liście do brata Thea napisał kiedyś zdanie, które wydaje mi się kluczowe w procesie poszukiwania własnej drogi: „Stopniowo uczyłem się eliminować rzeczy zbędne, wzrok mój coraz bardziej wyrabiał się w rozpoznawaniu malowanych tematów”.

Fotografia jest dla mnie formą narracji. Lubię opowiadać historie zawierające elementy tajemnicy. Lubię, kiedy światło i cień dopowiadają się nawzajem, kiedy współtworzą fabułę. Lubię opowiadać obrazami. To są „Opowiadania”.

Elżbieta Lempp



*** Elzbieta Lempp



*** *Elżbieta Lempp*

Udział w wystawach

- 1986 – The Uptown Gallery, Chapel Hill, N.C.
- 1986 – „Images 1986” Durham Art Guild, N.C.
- 1988 – „Homo Sapiens”, Naturhistorisches Museum CH-Fribourg
- 1991 – „Polska fotografia w świecie”, Wystawa ZPAF w Szczecinie i innych miastach Polski
- 1997 – „Decentrisme Dialogue avec l'invisible”, Paryż

Wystawy indywidualne

- 1986 – Cafe Collage, Ottersberg
- 1987 – Ratusz Graniti, Sycylia
- 1988 – Schloßgarten Cafe, Darmstadt
- 1989 – Berlitz, Frankfurt nad Menem
- 1991 – Galeria Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu
- 1992 – Palais Jalta, Frankfurt nad Menem
- 1992 – Instytut Kultury Polskiej, Wiedeń
- 1992 – Biblioteka Miejska, Würzburg
- 1992 – Volksbank, Pforzheim
- 1992 – Goethe-Institut, Freiburg
- 1992 – Instytut Kultury Polskiej, Berlin
- 1993 – Instytut Kultury Polskiej, Lipsk
- 1993 – Śródmiejski Ośrodek Kultury, Kraków
- 1996 – Kino „Kijów”, Kraków

Michał Głowiński

Szkice podróżne (II)

4. Rozmowy o pani Walewskiej

W tym roku akademickim jeździłem co dwa tygodnie do Krakowa, bo podjąłem się kursowego wykładu z teorii literatury. Wyruszałem w poniedziałki wczesnym ranem, wracałem we wtorki wieczorem, a w owym czasie podróż między dwoma miastami trwała znacznie dłużej niż obecnie i była bardziej uciążliwa. Nie istniała jeszcze tak zwana magistrała, pociąg jechał inną trasą, zatrzymywał się na wielu stacjach, a cała podróż ciągnęła się ponad cztery godziny.

Owe rozwlekle, przeciągające się w nieskończoność podróże starałem się, wykorzystać na lektury. W poniedziałki zwykle czytałem prasę tygodniową, we wtorki – taką czy inną książkę, a czasem zdarzało mi się przedzierać jakąś, zwykle niewielką, część drogi. Gdy w przedziale wywiązywała się rozmowa, a wydaje mi się, że w tamtych czasach, już bez mała przed trzema dziesięcioleciami, podróżni byli bardziej chętni do gadania niż obecnie, z reguły do niej się nie włączałem, wybierałem milczenie i związaną z nim izolację. Nie byłem też chętnym słuchaczem tego, co mówili towarzysze podróży, rzadko bowiem zdarzało się usłyszeć jakąś ciekawą opowieść bądź opinię, która mogłaby przyciągać uwagę. Były to w większości puste gadania, mające nie tyle ułatwić wymianę myśli, co zapelnąć czas, bo trudno było go zagospodarować w jakiś inny sposób. Historia, którą tutaj zrelacjonuję, też nie odznacza się niczym szczególnym, zapamiętałem ją tylko dlatego, że wydała mi się śmieszna.

Przedział – jak zwykle – zapelniony był po brzegi, znajdowało się w nim przepisowych osiem osób. Kiedy było to tylko możliwe, starałem się zająć miejsce przy drzwiach, gdyż dawało mi ono przynajmniej względnie poczucie luzu, tak też stało się tym razem. Pozwalało mi to na choćby częściowe wyłączenie się z tego, co się w przedziale dzieje, a więc na ową minimalną dawkę niezależności, niewątpliwie liczącą się, gdy wokół ścisk. Tym razem jednak wyłączyć się było trudno, bo dwoje podróżnych rozmawiało głośno, chciałyby się powiedzieć – intensywnie, obydwójce wypuszczali kilkadziesiąt słów na sekundę. Nie znali się przedtem, ale siedząc naprzeciw siebie od razu po ruszeniu pociągu rozpoczęli wymianę zdań. Zaczęło się, jak często w takich przypadkach, od uwag o pogodzie, jest to bowiem doskonała introdukcja, swojego rodzaju poszukiwanie tematu czy zakreślanie terenu, na którym można się poruszać. Inicjatywa należała niewątpliwie do starszego pana, dobrze jeszcze się prezentującego i od pierwszych zdań ostentacyjnie szarmanckiego wobec pani, która stać się miała jego interlokutorką. Zachowywał się tak, bo może lubił sobie pogadać, zakładając, że rozmowy to najlepszy sposób spędzania czasu w pociągu, zwłaszcza

gdy już ciemno, bo w ogóle światło jest słabe i nie warto męczyć oczu lekturami, a może nie miał w zwyczaju sięgać po słowo drukowane. Domyślałam się wszakże, iż chodziło o co innego. Siedząca vis à vis młoda kobieta była przystojna, odznaczała się dużą urodą, choć może w niezbyt wyrafinowanym stylu, niewątpliwie spodobała się starszemu panu od pierwszego wejrzenia. Rozmawiał z nią jak doświadczony uwodziciel, chciał nie tylko jej i sobie uprzyjemnić czas podróży, najwyraźniej pragnął ją oczarować.

Nie wszystko z ich rozmowy do mnie dochodziło, próbowałam coś czytać, a że byłem zmęczony, co jakiś czas zapadałem w drzemkę. Mogłem się jednak zorientować, że państwo dość długo szukali tematu, który mógłby zainteresować obydwójce – i że w końcu go znaleźli. Dogadali się wspólnej znajomej, a że nosiła ona nazwisko historyczne, zapamiętałem je: moi sąsiedzi w podróży z Krakowa do Warszawy rozmawiali o pani Walewskiej. Nie interesowało mnie to gadanie, z początku wszakże wydawało mi się, że chodzi o historyczną postać, a było to całkiem prawdopodobne, bo przed niejakim czasem ukazała się chętnie czytana przez szeroką publiczność biografia Mariana Brandysa. Ale to tylko ja miałem w głowie książki, tych dwoje z pewnością o tej biografii nawet nie słyszało, być może zresztą w ogóle nie dane im było słyszeć o Marii Walewskiej z czasów napoleońskich. Interesowała ich wspólna znajoma – to o niej właśnie deliberowali. Starszemu panu zależało, by z trudem znaleziony wspólny temat się nie wyczerpał, a więc rozszerzał go do granic możliwości, zabiegał, by nie wygasł. Młoda dama także zresztą była mu chętna.

Najpierw obydwójce wynosili pod niebiosa różnorakie walory i zalety pani Walewskiej. Rozpływali się z zachwytu nad tym, jak jest dobra, ludziom życzliwa, inteligentna. Mówili o jej walorach towarzyskich, gdziekolwiek bowiem się znajdzie, wokół niej koncentruje się życie, to ona właśnie jest duszą każdego przyjęcia. Nikt nie może jej niczego zarzucić, jest wzorową matką i żoną, a w pracy wszyscy ją lubią i cenią. Do mojej świadomości dotarł więc wizerunek osoby doskonałej, pod każdym względem wzorowej, będącej wcieleniem cnót wszelakich. Nie śledziłem dramaturgii rozmowy, po pewnym czasie jednak zorientowałem się, że ten portret idealny nieco się zacienia. Tak, pani Walewska jest wspaniałą osobą, ale... I nagle zaczęły się pojawiać różnorakie rysy na jej konterfekcie, otóż nie jest ona tak doskonałą i troskliwą matką, jak sądzić by można na podstawie pierwszego wejrzenia, wcale też nie jest aż tak inteligentna, jakby mógł utrzymywać ten, kto ją zna słabo i powierzchniowo. Dostrzegłem, że im więcej mówi się o wadach pani Walewskiej, tym pogawędka coraz bardziej się ożywia, nie trudno było dostrzec, że rytm oskarżeń i surowych ocen dużo bardziej rozmówcom odpowiada niż wychwalanie cnót i że to on sprawia im prawdziwą przyjemność, a niekwestionowaną satysfakcję osiągnęli wówczas, gdy nie zostawili już na niej suchej nitki. A słuchacz nawet taki jak ja, przypadkowy i niechętny, musiał dojść do przekonania, że owa osoba nosząca historyczne nazwisko jest żolzą najgorszego gatunku i w ogóle straszną babą.

Ale na tym się skończyło. I w części pozytywnej i w części negatywnej obydwójce państwo byli zgodni, nie psuło humoru między nimi, gdy zmieniali ton swojej wspólnej opowieści i tak radykalnie poruszali się po skali ocen. Ale nagle pojawił się dysonans, coś zaczęło się nie zgadzać. Realia dziwnie do siebie nie przystawały, w pewnym momencie okazało się, że pani Walewska, będąca znajomą kobiety, mieszka w Krakowie, jest osobą młodą i ma całkiem inne wykształcenie i inny zawód niż ta, którą zalicza w poczet swych znajomych starszy pan; wyszło na jaw, iż mieszka ona w Warszawie i lata młodości dawno ma już za sobą, przypadły one bowiem na okres międzywojenny. Ponadto stwierdzono niezbicie w pewnym momencie, że jedna z pań, o których mówiono najpierw z aprobatą, by nie powiedzieć – z czcią, jest Walewska z domu, druga zaś z męża. Kiedy dojeżdżaliśmy do War-

szawy państwo nie mieli wątpliwości i musieli przyznać, że rozmawiali o różnych osobach.

Ale to nie ostudziło entuzjazmu starszego pana, wpatrywał się w swą urodziwą rozmówczynię z coraz większym uporem i zapalem, nie speszył go przypadek z panią Walewską, na niej mu zresztą z pewnością najmniej zależało, z równym powodzeniem mógł przecież gawędzić o pani Kowalskiej lub pani Nowakowej. A kiedy już zbliżyliśmy się do stolicy, zaproponował młodej damie kontynuowanie tak świetnie rozpoczętej znajomości. Jakże przyjemnie byłoby spotkać się w kawiarni!... Usłyszał jednak kategorięcznym tonem wypowiedziane słowa odmowy. Nie pomogły nawet dwie panie Walewskie.

5. Repatrianci

W tamtych czasach pociągi międzynarodowe zatrzymywały się na Dworcu Gdańskim, dziwnym, niemal pozbawionym zabudowy; ktoś nieświadomy rzeczy mógł odnieść wrażenie, że znajdował się on w polu, nie – w stołecznym mieście. To na ten dworzec właśnie zajeżdżały pociągi udające się z Moskwy do europejskich miast, a więc z niego właśnie wyruszało się w ten upragniony i trudno dostępny rejon świata, który zwykle się nazywać krótko i węzłowato Zachodem. Kiedy wyjeżdżałem do Holandii, przypadło mi miejsce w jednym z wagonów, jadących z Moskwy, być może nie było w ogóle takich, które rozpoczynały kurs w Warszawie.

Jak zwykle w tego rodzaju momentach byłem zdenerwowany i podniecony, ostatecznie rzadko mi się zdarzało wyrwać się w szeroki świat, a teraz jechałem na dłużej – i nie miałem pewności, czy dam sobie radę jako pracownik Universiteit van Amsterdam i czy jakoś się zadomowię w tym mieście, o którym sporo przeczytałem, bo uznałem, że to, co nieznanne, od samego początku powinno być mi jednak znane choć trochę. Skoncentrowany byłem na sobie, szukałem swojego miejsca, ustawiałem spore bagaże na półkach, mimo to wszakże od razu dostrzegłem pewną dziwność, czy wręcz niezwykłość: osoby, które podróż rozpoczęły były w państwie zwycięskiego socjalizmu, zdecydowanie się różniły od publiczności, wypełniającej międzynarodowe pociągi. Przypominały raczej tych, którzy tłoczą się w podmiejskich ciuchciach i to w najbiedniejszych dzielnicach kraju. Tych, którzy wyruszyli w swe codzienne trasy – do pracy czy na targ – i nie musieli się do nich specjalnie przygotowywać, bo nie tylko nie były wydarzeniami ekstraordinaryjnymi, ale składały się na codzienną rutynę.

Byłem zdumiony, zaskoczyło mnie, że w tego rodzaju miejscu zobaczyłem nędzę krzyżącą, tak intensywną i jednolitą, że nawet nie sposób jej zamaskować, nie sposób ukryć, perfumując lub zakrywając choćby trochę porządniej wyglądającymi szmatkami. Była to nędza nie tajona, narzucająca się, choć z pewnością nie dumna z siebie, widoczna w samym wyglądzie tych ludzi, w ich sposobie chodzenia po korytarzu, w całym zachowaniu, we wszystkim. Także w strojach, nie tylko odległych od jakiegokolwiek współczesnej mody, ale starych, wyblakłych i wytartych, do granic możliwości zniszczonych. By się przekonać o biedzie, w jakiej żyli ci ludzie, o których nie jeszcze nie wiedziałem, nawet się nie domyślałem, kim są, wystarczyło spojrzeć na ich buty, wykoślawione, a w wielu przypadkach – po prostu dziurawe; nie ulegało wątpliwości, że służyły swym właścicielom od wielu lat, a może od pierwszego momentu, w którym weszły w ich posiadanie, były używane. Podobnie przedstawiały się bagaże; znajdowały się wśród nich zwykle worki, a nawet węzelki, zrobione chyba ze starych prześcieradeł. Nie mieli zresztą tych bagaży wiele, myślę, że zawierały one przede wszystkim rzeczy niezbędne w długiej podróży. Nadal nie wiedziałem, kim są ci dziwni pasażerowie. Nasuwały mi się pewne analogie, wynikające z daw-

nych lektur. Przypomniałem sobie relacje o chłopskich włóczęgach po świecie w drugiej połowie XIX wieku, stanowiły one wędrówki nędzy, ci, którzy na nie się zdecydowali, chcieli się wyzwolić z biedy i upokorzenia. Ale postacie, które mnie otaczają, w znikomym stopniu przypominają emigrację zarobkową, nie ma wśród nich mężczyzn w sile wieku, takich, którzy mogliby zabrać się do intensywnej pracy. Dominowały osoby starsze, przede wszystkim kobiety, wyniszczone i spracowane, nie dostrzegłem bodaj nikogo młodego czy nawet w wieku średnim. Było też sporo dzieci, miałem wrażenie przez moment, że to dziadkowie, a przede wszystkim babcie udały się w podróż z wnukami. Młodzi byli tylko dwaj mężczyźni, ale oni wyróżniali się na tle współpasażerów, ich ubiór mógł się wydawać w porównaniu z tym, co się widziało w wagonie, wręcz elegancki, choć niewątpliwie była to nader swoista elegancja socjalistyczna. Wychodzili ze swojego przedziału na korytarz we dwóch lub w pojedynkę i spokojnie się po nim przechadzali; wydawać się mogło, że pragną zażyć ruchu, spacerowali jednak w takim stylu, iż trudno było wątpić, że czują się ważni i wiedzą, jak wiele od nich zależy. Od razu jednak się zorientowałem, że stanowią część innego niż ci biedacy towarzystwa. Moja intuicja nie okazała się nietrafna.

Nadal jednak nie wiedziałem, kim są ci ludzie, niektórzy mówili dość dziwną ruszczyzną (rosyjskim posługiwały się zwłaszcza dzieci), inni – raczej osobliwą niemiecką, co było słyszane również dla mnie, choć tego języka nie znam. Coraz bardziej mnie zajmowało, coraz bardziej mnie interesowało, kim są ci nędzarze wypuszczeni na szerokie europejskie szlaki, nie chciałem jednak się dopytywać, wyczuwałem, że sytuacja jest delikatna, jedno tylko wydawało mi się pewne – na dziwnej, niezrozumiałej dla mnie zasadzie, władza wypuszcza ich z sowieckiej klatki. Moja ciekawość zaspokojona została dopiero w trzeciej lub czwartej godzinie podróży. Człowiek, który znalazł się ze mną w przedziale i wydawał mi się starcem, choć – jak potem powiedział – nie przekroczył jeszcze pięćdziesiątki, okazał się rozmowny. Nie nagabywałem go, o nic nie pytałem, sam poczułem potrzebę opowiadania, a może zauważył moje zdziwienie, a także ciekawość, której w słowach nie wyrażałem, ale która z pewnością dostrzegalna była dla bystrego obserwatora.

Dowiedziałem się od niego, że wszyscy pasażerowie – poza dwoma eleganckimi panami – to Niemcy, którym po wieloletnich staraniach pozwolono opuścić Związek Radziecki i udać się na stałe do Republiki Federalnej; bezpośrednim uzasadnieniem było – jeśli się nie mylę – łączenie rodzin. Mieszkali w różnych rejonach i w różnych okolicznościach na terenach radzieckich się znaleźli, w każdym razie nikt z tych ludzi nie reprezentował zasiedziały na rosyjskiej ziemi od dwóch stuleci Niemców nadwołżańskich, to byli wszystko świeżsi przybysze, których w te strony świata skierowały różne losy przypadki, przede wszystkim zaś wydarzenia ostatniej wojny. Taki właśnie był casus mojego rozmówcy. Zmobilizowano go w jej końcowej fazie. Dostał się do radzieckiej niewoli, wywieziono go na Syberię. Nie udało mu się wyjechać, gdy niemieckich jeńców zwalniano, pozostał, pracował jako robotnik w dużej fabryce, ożenił się z Rosjanką. I gdy tylko mógł, przeniósł się na Łotwę, bo to jednak Europa, no i bliżej ojczystego kraju. Stosunkowo szybko owdowiał i od tego momentu zaczął starania o wyjazd, trwały one kilka lat, wymagały wielkich wysiłków, a także – dużych pieniędzy, przekraczających możliwości skromnego robotnika. Opowiadał spokojnie i rzeczowo, unikał ocen i mocniejszych słów, był wciąż świadomy, że znajduje się na terenach, które jeśli nawet nie są w bezpośrednim posiadaniu władz radzieckich, mogą one na nich robić, co im się podoba. Nie miałem wątpliwości, jak on ocenia kraj i co o nim myśli, opuszczając go po tylu staraniach na zawsze.

Powiadomił mnie również, kim są dwaj mężczyźni, wyróżniający się z nędznego tła, zrobił to jednak w sposób specyficzny, tak jakby wciąż bał się mówić, jakby ogarniał go strach

na myśl, że może wypowiedzieć nazwę instytucji najgroźniejszej z groźnych. Napisał palcem na szkle drzwi najpierw w alfabecie rosyjskim, a potem – czyżby obawiał się, że nie zrozumie? – łacińskim, straszny skrót: KGB. Pokiwalem głową na znak, że pojmuję sytuację, nie zdziwiłem się zresztą, to, że czuli się ważni, widoczne było w samym sposobie przemierzania korytarza, charakterystycznym dla tych, którzy wiedzą, że wszyscy inni, zgromadzeni w danym miejscu, są od nich zależni. Tak chodzą tylko ci, co są świadomi, że należą do kasty panów. Mieli osobny przedział, a ich tak częste wychodzenie na korytarz nie służyło rozprostowaniu kości, stanowiło obowiązek służbowy. Musieli mieć baczenie na to, co się w wagonie dzieje, czujność była w ich przypadku zawodowym nakazem.

O postawach, odczuciach, obawach współtowarzyszy podróży więcej, niż powściągliwe opowieści mojego bezpośredniego sąsiada, powiedziały mi ich zachowania. Aż do Berlina Wschodniego byli przygnębieni i spięci, niepewni i przepelnieni lękami, nosili się tak, jakby wciąż się obawiali, że zostaną cofnięci, że imperium nie wypuści ich ze swoich szponów. Byli cisi i speszeni, pomyślałem, że ani na moment nie porzuca ich świadomość, iż wciąż są obserwowani, a dwaj faceci z KGB nie spuszczają z nich oczu, władza radziecka zaś znajduje się w stanie permanentnej gotowości i wciąż ma ich w swoim posiadaniu; nawet dzieci były przytłumione i oswiałe. Nastroje radykalnie się poprawiły, gdy pociąg wjechał do Berlina Zachodniego, nagle zrobiło się głośno i wesoło, ci ludzie ożyli, wstąpił w nich nowy duch. Może właśnie w tym momencie się upewnili, że naprawdę opuszczają świat, z którego za wszelką cenę pragnęli się wyrwać, a więc że materializuje się i nabiera konkretności ów mityczny Zachód, który był przedmiotem ich westchnień i marzeń. Może też wówczas im się wydawało, że dwaj strażnicy czy konwojenci z KGB chodzą po korytarzu z mniejszą butą, że nie patrzą już na nich oczyma feudalnych panów.

I jedno zrobiło na nich wielkie wrażenie: na zachodnio-berlińskim dworcu młode kobiety z jakiejś charytatywnej organizacji przyniosły dzieciom paczki z czekoladą, pomarańczami i innymi smakołykami, pięknie opakowane w kolorowy papier, w jaki owijają się prezenty. Moi towarzysze podróży po raz pierwszy chyba zobaczyli coś takiego, te efektowne zawiniątka kontrastowały z wszystkim, co z sobą wieźli, a ich zawartość nie dawała się porównać z tym, co jedli. Ale tu chodziło o coś więcej niż o wymiar materialny – tych kilkanaście paczuszek, podarowanych dzieciom, najwyraźniej nabrało znaczenia symbolicznego, zinterpretowali je jako znak: oto w ten sposób wita ich świat, do którego jadą, w którym już na stałe osiadają. Odniosłem wrażenie, że ten drobny gest przynajmniej część podróżnych odebrała tak, jakby to było pierwsze dobre i pomyślne wydarzenie, jakie ich w życiu spotkało. – Niech pan spojrzy, jak tu o nas dbają – powiedział do mnie swą twardą ruszczyzną mężczyzna, z którym dzieliłem przedział. Nie ukrywał satysfakcji, a także – nadziei. Skoro obdarowywani są na dworcu, to na pewno nie zginą w swym Vaterlandzie, którego nie widzieli od dziesięcioleci, a niektórzy – nie tylko zresztą dzieci – ujrzą go po raz pierwszy.

Moi towarzysze podróży, jak się szybko okazało, znali mapę polityczną ówczesnej Europy, byli świadomi, że pociąg opuszczając Berlin Zachodni po raz drugi wjeżdża na teren Niemieckiej Republiki Demokratycznej, ponownie zatem znajdują się w zasięgu imperium, a ci dwaj funkcjonariusze z KGB, mający na wszystko baczenie, znów posiadli nad nimi władzę. Nastroje radykalnie opadły, z zachodnio-berlińskiej euforii nie pozostało ani śladu. I stało się tak, mimo że wiedzieli, iż zbliżają się do celu podróży. Wszyscy mieli wysiąść w Hannoverze.

Zrobiło się późno. Zapadłem w głęboki sen, nie wiem, kiedy pociąg przejechał granicę Republiki Federacyjnej, nie wiem więc także, jak na to zareagowali ci ludzie. Stało się coś

więcej, umknął mi moment, w którym zatrzymał się na stacji w Hannoverze. Był środek nocy, domyślałem się, że wysiadali w ciszy i spokoju, przejęci tym, co się stało, zapewne świadomi, że przeżywają jedną z najdonioślejszych chwil w swoim życiu. Z postarzałem przedwcześnie mężczyzną, z którym trochę czasu przegadałem, nawet się nie pożegnałem. A kiedy nad ranem się obudziłem, wagon był prawie pusty. Zniknęli też dwaj KGB-ści. Ich misja prawdopodobnie się skończyła, także wysiedli w Hannoverze, zapewne po to, by zmienić kierunek – i wrócić do pierwszej ojczyzny robotników i chłopów, nazywanej już wówczas krajem realnego socjalizmu. W wagonie pozostało kilka osób, które – tak jak ja – wsiadły na warszawskim Dworcu Gdańskim.

6. Frontierra belga

O tym marzyłem od niepamiętnych czasów: zobaczyć Hiszpanię! I udało mi się przynajmniej po części pragnienie to zrealizować – w czasie, gdy pracowałem na uniwersytecie w Amsterdamie. Na tę wyśnioną podróż wykorzystałem wakacje i przez ponad trzy tygodnie zwiedzałem ten kraj, w sposób zresztą raczej nietypowy, bo w samotności i pociągami. Działo się to w czasie ostatniego roku panowania generała Franco, zwanego Caudillem, ale w kraju nie czuło się już dyktatury, choć pod pewnymi względami przypominał on PRL – być może z tej racji, że kraje rządzone metodami autorytarnymi niejako z natury bywają do siebie podobne. Nie zamierzam jednak po latach spisywać wrażeń z podróży, choć całkiem dobrze je zapamiętałem, pragnę powiedzieć kilka słów o jej ostatniej fazie – z Burgos do granicy hiszpańsko-francuskiej.

Niektóre pociągi przebywały tę trasę w całkiem przyzwoitym czasie, wymagały jednak miejscówek, a te od dawna były wyprzedane. Wybrałem pociąg odchodzący po południu, wydał mi się najlepszy; zorientowałem się, że jedzie długo, ale przybywa o takiej porze, iż bez trudu i nudnych oczekiwań będę mógł się przesiąść na kolej francuską – i wczesnym ranem dojechać do Paryża. Nie wziąłem pod uwagę jednego: pociąg ów przybywa z Algeciras, a więc przecina całą Hiszpanię z południa na północ. Moje zdziwienie naprawdę było ogromne, gdy na dworcu w Burgos ujrzałem, jak bardzo był przepelniony. O zdobyciu miejsca w przedziale nawet mowy nie było, liczyłem na przyjemną podróż, a smutna rzeczywistość od razu mi powiedziała: jesteś skazany na wielogodzinne stanie na zatłoczonym korytarzu.

W pociągu nie tylko było ludnie i ciasno, bo pasażerowie jechali z ogromnymi bagażami, wielkimi walizami, a także – kuframi, było także hałaśliwie. Dominowali Hiszpanie, mimo pełni sezonu turystów było niewielu, ci niewątpliwie zadbali, by zarezerwować sobie miejsca w lepszych pociągach. Dopiero po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że są to w znacznej większości gasterbeiterzy wracający z urlopów, bądź jadący na północ po raz pierwszy w poszukiwaniu zajęcia. Na ogół nie byli sami, towarzyszyły im żony i dzieci (było ich w wagonie sporo), a niekiedy – choć rzadko – także rodzice. Zwróciła moją uwagę pewna starsza kobieta, co jakiś czas wychodząca z przedziału, przy którego drzwiach stałem. Chyba po raz pierwszy udawała się w tak długą podróż i najwyraźniej nie mogła usiedzieć na miejscu, chciała sobie po korytarzu pospacerować. A że było to nieosiągalne, otwierała drzwi, stawiała przy nich i komentowała wydarzenia. Robiła to głośno i wyraźnie, a więc mimo że nie znam hiszpańskiego, niektóre wypowiedziane przez nią kwestie rozumiałem. Jedną zwłaszcza, choć ograniczyła się do izolowanego słowa, wydała mi się szczególnie trafna.

Obok mnie stała bardzo młoda, chyba jeszcze uczniowie, zakochana para. Obydwoje byli śliczni – i o tym niewątpliwie wiedzieli, zachowywali się tak, jakby cieszyli się swoją urodą, byli z niej dumni. Bil od nich czar młodości, a ponadto obydwójce jaśni tak bardzo, że

już trudno sobie wyobrazić intensywniejszych blondynów, wyróżniali się na tle hiszpańskich brunetów, nie mogli zatem nie przyciągać uwagi, niejako sam wzrok na nich się zatrzymywał. Od razu spostrzegłem, że pochodzą z któregoś z krajów skandynawskich, nie mówili jednak ani po szwedzku, ani po duńsku, założyłem zatem, że są Norwegami. Z pozoru postępowali w ten sposób; jakby wzięli cały świat w nawias i nim się nie interesowali, bo wystarczają sami sobie i są dla siebie rzeczywistościami tak ciekawymi i tak fascynującymi, że wszystko inne mogłoby po prostu nie istnieć. Już po chwili jednak, wkrótce po wejściu do pociągu w Burgos (oni jechali z jakiegoś bardziej odległego miejsca), zaczęły mi się nasuwać pewne w tej materii wątpliwości. Nie kwestionowałbym, że ci piękni młodzi – jak to dawniej się mówiło – mają się ku sobie, ale też od razu zacząłem podejrzewać, że grają oni, czy wręcz „odstawiają” coś w rodzaju wielkiego duetu miłosnego z romantycznej opery. Krótko, im więcej na nich skupiało się oczu, tym bardziej byli zakochani. Ów wzrok obcych ludzi, przypadkowych kompanów podróży, nieznajomych, jakby jeszcze bardziej pchał ich ku sobie, jeszcze bardziej skłaniał do ujawniania miłości. Ale bez żadnych cielesnych oznak, bez lepienia się do siebie, wszystko wyrażało się – chciałoby się powiedzieć – symbolicznie, w gestach, w stylu spojrzenia, w uśmiechu, a zapewne i w intonacji, jaką do siebie mówili, choć tego mogę się jedynie domyślać, bo z ich mowy nie rozumiałem niczego. W każdym razie ta erotyka była wytworna, głęboko przefiltrowana, poetycka.

Kiedy na nich patrzyłem, a nie patrzeć nie mogłem, bo stali tuż obok mnie, zresztą nie było w tym niedyskrecji, bo oni przecież chcieli być oglądani, przypominało mi się opowiadanie Iwana Bunina z wydanego przed wojną w polskim przekładzie zbioru, który nazywał się „Pan z San Francisco”. Na transatlantyku, jadącym z Ameryki do Europy, zwraca uwagę eleganckiej publiczności piękna i młoda para ostentacyjnie w sobie zakochana, z naciskiem, na oczach wszystkich, pokazująca, jak wielkie uczucie ich łączy. Dopiero w zakończeniu opowiadania dowiadujemy się, że firma, do której statek należał, wynajęła dwoje przystojnych młodych ludzi i zleciła im odgrywanie takiej roli, by podróżnym uprzyjemnić czas, by mieli na co popatrzeć i o czym poplotkować. Oczywiście, w tym pociągu, jadącym z Algeciras do Irunu, wypełnionym w ogromnej części robotnikami sezonowymi, nikt nikogo nie angażował, ale analogia nasuwała się z niejaką siłą.

A mnie narzucało się jeszcze jedno skojarzenie literackie. Przecież ci piękni młodzi Nordycy niezwykle wyczuleni na spojrzenie innych, zachowywali się tak, jak w Gombrowiczowskiej „Pornografii” powinni się zachowywać Henia i Karol, gdyby realizowali zamierzenia i pragnienia organizującego wielką intrygę Fryderyka. Starsza pani z pewnością żadnych literackich podobieństw nie była świadoma, o Buninie i Gombrowiczu nigdy nie słyszała, ale to ona właśnie niezwykle trafnie i zarazem lapidarnie spointowała sytuację. Kiedy kolejny raz wyszła z przedziału, popatrzyła na młodą parę wzrokiem, w którym dominowało chyba politowanie zespolone ze zdziwieniem, ale też z poczuciem wyższości – i powiedziała jedno tylko słowo: il teatro. I w ten sposób załatwiła sprawę, bezbłędnie ją sklasyfikowała. Wymówiła to jedno słowo, tak dobrze przylegające do sytuacji, dobitnie i głośno, młodzi nie mogli go nie usłyszeć, ale ono ich nie speszyciło, nadal śpiewali swój prawie bezgłośny operowy duet. I tak się działo aż do końca podróży.

A mnie to „il teatro” podobało się szczególnie. Stojąc przez kilka godzin w zatłoczonym, jadącym powoli pociągu, nie miałem nic lepszego do roboty, jak przemienić się w widza. Oczywiście, wyglądałem przez okno, by ujrzeć jak najwięcej z pięknych iberyjskich pejzaży, ale też obserwowałem moich towarzyszy podróży, nie tylko tę młodą parę, stojącą nieopodal mnie, także tych, którzy po prostu byli sobą i nie wykonywali choćby jednego gestu, przeznaczonego wyłącznie na pokaz. A w pewnych, całkiem licznych momentach

mogłem patrzeć na to jedynie, co w wagonie, bo trasa naszego pociągu wiodła przez tunele, wciąż zagłębiał się on w przestrzeń wąską i ciemną, a kiedy jadąc pod górę zwalniał i ciężko sapał, tak jakby za chwilę miał się zatrzymać w tym miejscu tak ograniczonym i obmurowanym, ogarniał mnie trudny do przewyciężenia klaustrofobiczny strach. Ratowałem się na tych, raz dłuższych, raz krótszych odcinkach podróży rozmaicie, głównie jednak przypatrując się ludziom, którzy tak jak ja, by pokonać górskie tereny Hiszpanii, rzuceni zostali w przestrzeń podziemną, a więc znaleźli się w swojego rodzaju hadesie. Wstąpiliśmy do niego, bo – dosłownie – po drodze nam było.

Kiedy dojeżdżaliśmy do celu, cieszyłem się, że ta podróż, będąca nie najfortunniejszym etapem ostatnim moich wędrówek od Gerony do Barcelony i Saragossy, od Madrytu do Salamanki i Valladolid, wreszcie się kończy, że przejdę do pociągu francuskiego, a to będzie już całkiem inny świat. Cieszyła się też niewątpliwie dość już leciwa Hiszpanka, która jechała ze swoją liczną rodziną, synem, synową, kilkoma wnukami i nie mogła usiedzieć w przedziale. Wyszła na korytarz w euforii, tak jakby za moment miała skakać ze szczęścia; w akcie radości i dziękczynienia podniosła ręce do góry i zaczęła wykrzykiwać: *frontierra belga, frontierra belga!*... Nie wiedziała, co ją jeszcze czeka, zapomniała o pewnym europejskim kraju, całkiem dużym, oddzielającym Hiszpanię od Belgii.

Michał Głowiński

Julian Kornhauser

Post scriptum (8)

Podczas promocji dwóch książek krakowskich krytyków: Mariana Stali i Jerzego Jarzębskiego, która zgodnie z zamiarem wydawcy miała zamienić się w dyskusję o najnowszej literaturze, jako jeden z zaproszonych dyskutantów, niespodziewanie dla samego siebie, zachowałem się mało dostojnie, wręcz agresywnie. Zdeprymowany sytuacją panelu, którego świadkami byli w przeważającej części młodzi poeci, a także uniwersyteccy luminaarze nauki oraz pisarze zaproszeni w związku z wręczeniem kolejnej nagrody im. Kościelskich, postanowiłem, choć nie do końca świadomie, wyjść z przyjętej przez organizatora, jak mi się przynajmniej wydaje, konwencji. Konwencji, która zresztą narzucała się sama i której pozostali wierni inni dyskutanci, a to znaczy nie byle kto, bo Przemysław Czapliński, Piotr Śliwiński i Dariusz Nowacki, a także sami autorzy obu ciekawych i ważnych książek. Być może jednak mój sposób wypowiedzi, która ani nie była mocno osadzona w kontekście promowanej literatury krytycznej, ani też zbyt uporządkowana i przejrzysta, za bardzo się wyróżniał i to niekorzystnie, bo już kilka godzin po spotkaniu odczułem wyraźny niesmak, który przerodziłby się w niepokój, że oto ja, niby „jedyny sprawiedliwy”, bez przeprowadzenia żadnych dowodów, całkiem arbitralnie rozdzielałam razy, naprawiam błędy, wyty-

kam palcami. Zaczęłam gorączkowo myśleć, czy przypadkiem nie obraziłam wszystkich po kolei i to w dodatku bez takiego zamiaru: obecnych na spotkaniu uczestników i gości, pisarzy i krytyków, których wymienialem z nazwiska? I dlaczego tak się zachowałam, z jakiego powodu? Wszak unikam tego rodzaju starć w podobnych sytuacjach.

Fakt, powtórzyłam tylko to, co nie tak dawno opisałam, także na łamach „Kwartalnika”, wobec czego nie miałem obowiązku tłumaczenia się ze wszystkich tez, wyjaśniania swojego punktu widzenia. Mogłem zresztą założyć, że zgromadzone audytorium dobrze wie, o co mi chodzi. Ale mimo wszystko, czy nie za ostro potraktowałem niektórych, głównie młodych poetów, opisanych z podziwu godną żarliwością przez Mariana Stalę? Czy moje oceny nie zawisły w próżni, bo nie wzbogaciłem ich żadnym komentarzem? Przecież nie można wszystkiego tłumaczyć dyktatem czasu, jaki mieli do dyspozycji uczestnicy panelu. W gruncie rzeczy nie à propos obu książek podważyłem sensowność zajmowania się nową literaturą, zwłaszcza poezją – bo o prozie mam zdanie znacznie lepsze – skoro prawie w ogóle nie ma w niej naprawdę znaczących dzieł, a to, co się wylania z olbrzymiej masy wszelkiego rodzaju wydawnictw, wynika się podstawowym kryteriom oceny. Zamiast analizować tomik po tomiku, należałoby raczej opisać stan świadomości młodego pokolenia, zakodowany w jego mało zajmujących wynurzeniach, zastanowić się nad przyczynami dominujących mód literackich, zacierających i to tak szybko, niemal tuż po debiutach (rok 1992!) indywidualne rysy poszczególnych autorów. Nie są to narzekania stetryczalego krytyka, jakby się wydawało, ani zazdrosnego poety, któremu nie w smak popularność piszącej młodzieży. Chodzi przecież o coś innego, o model krytyki literackiej.

Mówiąc na spotkaniu o pomyłkach krytycznych, ocenach pozbawionych sensu, pośpiesznych, arbitralnych sądach, często wynikających z towarzyskich układów, lub w najlepszym razie subiektywnych kryteriów, powołałem się na „Zmianę warty” Jana Błońskiego, książkę dość typową, aczkolwiek nie do końca, dla tzw. krytyki towarzyszącej. Po odwilży 1956 roku krytycy rzucili się jak sępy na pojawiających się w zastraszającym tempie debiutantów, aby opisać jak najszybciej zachodzącą przemianę, ba! żeby uzasadnić znaczenie odwilży i wartość literatury w stosunku do najbliższej, negatywnej tradycji, tj. socrealizmu. Błoński postąpił jak inni: uwierzył w nowatorstwo październikowej prozy choć z wieloma zastrzeżeniami, za co mu chwala, omówił bardzo dokładnie dwadzieścia książek różnych „hłaskoidów”, o których już za kilka lat stanie się głucho. Nie była to apologia. Krytyk ośmieszał nieporadności, nie krył swojego rozczarowania. Chciał być arbitrem, świadkiem dialogu, tym, który uporządkuje ciągle narastający materiał. Szkoda, że miał do dyspozycji literaturę miłą, niedojrzałą i tradycyjną. Chociaż z tamtej perspektywy nie widziało tego tak dobrze. Po latach dopiero Błoński nazwie dużą część tej prozy wtórną i podrzędną literaturą, a swoje nią zainteresowanie wypowiedzią skolataną jednostki. Bardzo sobie cenię postawę Jana Błońskiego i jego niebywałą umiejętność odkrywania esencji dzieła czy całego procesu historyczno – literackiego.

Kiedy wymienialem „Zmianę warty”, miałem na myśli potrzebę dystansu do powstającej literatury. Zbytnią ufność w moc rodzącej się na naszych oczach twórczości, nie zawsze prowadzi do właściwych wniosków i właściwej hierarchii wartości. Oczywiście, opis bieżącej produkcji jest powinnością krytyka. Z takiego opisu wyłonić się może interesujący obraz współczesności, zwłaszcza jeśli nie jest on wolny od krytycznego spojrzenia. Taki model krytyki odpowiada mi najbardziej, bo jest nośnikiem dyskusji i ingeruje w życie literackie. Błoński należy do takich krytyków, choć nie zawsze wybiera właściwe obiekty do badań. Ale mój Boże, kto się nie myli? Sam kilkakrotnie pisałem o różnych debiutantach pełen zachwytu, a już po paru latach okazywało się to fałstartem, bo niezgodnie już ci hołubieni poeci interesu-

jącego nie stworzyli. No tak, zabrawszy głos w czasie panelu osiągnąłem być może cel, bo przez wsadzenie kija w mrowisko, jak to skomentowała jedna z osób, ożywiłem natychmiast dyskusję, ale czy do końca miałem rację? Otóż tu naszły mnie wątpliwości. Bo jakie mam prawo osądzania innych, dlaczego odmawiam krytykom pisania o tych autorach, których sami uznają za wartościowych? Przecież tu panuje całkowita wolność wyboru.

Jeśli ja nie uznaję Leo Lipskiego za dobrego pisarza, nie mogę odmówić innym zupełnie odrębnego sądu na jego temat. Co z tego, że mam pretensje do krytyka za umieszczenie w swojej książce interpretacji jakiegoś X-a, skoro mogę gdzie indziej napisać o nim rzecz zgoła odmienną. Czyżbym rościł sobie pretensje do ustalania jednej listy rankingowej? Na jakiej podstawie? I dlaczego twierdzę, że najnowsza proza jest dużo ciekawsza od poezji ostatnich lat? Czy nie wymyśliłem sobie tej hierarchii i z jakiego powodu tak zależy mi na tym przeciwstawieniu? Zadawałem sobie jeszcze raz te same pytania, aby zrozumieć do końca ich sens, ale z trudem do niego dochodziłem. Być może zaplątałem się we własne sidła. Kilka lat temu, na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy – jak ładnie to określił Jarzębski – pojawił się apetyt na przemianę, gdy w istocie przemiana nie następowała, dość entuzjastycznie zareagowałem na start „barbarzyńców”, kiedy nie było jeszcze nowej prozy. Potem się okazało, że język poezji, który wydawał mi się świeży, zaskakujący, antytradycyjny, zmienił się w modę literacką, uległ szybkiemu skonwencjonalizowaniu i został wkrótce wyparty przez różnorodne języki prozy. Poezja stała się nużąca, jednowymiarowa, proza zaś proponowała nowe problemy, poruszała inne wątki, choć nie wiem tak naprawdę, co z niej zostanie.

Jeśli Stała i Jarzębski zwracają uwagę na poszczególne dokonania w poezji i prozie, a ich głównym zamiarem jest naturalne włączenie nowych nazwisk do całej historii literatury, czytanie dzieł bez względu na moment ich powstania, to ja staram się raczej wniknąć w mechanizm, kierujący procesem historycznoliterackim, interesując się nie tyle nowymi utworami, ile tym, co one oznaczają dla współczesności i jakie jest ich miejsce w całości kultury; nie unikam przy tym porównywania i odkrywania zależności (to już cecha czy przywilej pisarza – krytyka: moje spojrzenie będzie zawsze nieco inne). Ten paradoks, zrodzony z dwudzielnej postawy pisarza – krytyka, często prowadzi do „programowania” literatury, ale z drugiej strony ułatwia zajrzenie za „kulisy”, czego krytykom – historykom literatury zwykle nie dostaje. Stąd nieporozumienia, o których piszę, bo przecież mnie samego żywo interesuje giełda literacka. Nic dziwnego, że rodzi się we mnie bunt, kiedy ustalana hierarchia nie zgadza się z moją wizją literatury na poziomie – żeby tak rzec – zawodowym. Budzi mój stanowczy sprzeciw nadawanie znaczenia nierozpoznanym jeszcze zjawiskom literackim w sytuacji, gdy wielu pisarzy starszych, mimo wydawania ewidentnie wartościowych książek, nie spotyka się prawie z żadnym zainteresowaniem krytyki. Przyczyny takiego stanu rzeczy są różne. Głównym powodem jest niecodzienny status naszego literackiego człopsiemiennictwa (ta sytuacja zmieniła się radykalnie w stosunku do lat ubiegłych). Otóż zdecydowana większość nowych pism powstała z inicjatywy młodych twórców, jest przez nich redagowana, a ich jedynymi sprzymierzeńcami, współpracownikami są rówieśnicy, popierający się wzajemnie i nie mający najczęściej pojęcia o tym, co napisano w ostatnich dziesięcioleciach. Nieliczne pisma z nieco dłuższym stażem, od niedawna bastiony tradycji, w ostatnich czasie odmłodziły wyraźnie swoje redakcje, tym samym udostępniły lamy autorom nowym i modnym.

Być może taka jest kolej rzeczy i nie należy z tego powodu rozdzierać szat. Z drugiej strony trudno się dziwić pisarzom już nie młodym, już nie awangardowym, że sami rezygnują, z wyżej wymienionych powodów, z żywego uczestnictwa w życiu literackim, nie dru-

kują w pismach, niemo obserwują rozwój wypadków. Niektórzy mówią: niech to się wszystko przeleje, niech ta nagromadzona przez lata energia wybuchnie, a potem zobaczymy...

Widzę więc „niesprawiedliwość” krytyki, polegającą na przypadkowości czy arbitralności wyboru czy zbytnej wierze we własne siły sprawcze. Sam jako krytyk wolę wynajdywać sprzeczności, niż iść na gotowe. Z takiej pracy krytycznej coś może wynikać. Podniecenie się tym, co powiedzieli już inni, bez próby przenicowania tych opinii, jest zgubne i prowadzi do dominacji stereotypowego myślenia, myślenia stadnego. A nic gorszego pod słońcem, jak powtarzanie po kimś sądów o czyjejs wybitności czy też marności, bez zweryfikowania, na własny użytek, tych opinii.

Julian Kornhauser

Grzegorz Musiał

Dziennik z Iowa (XIII)

* * *

Wiosna! Koty w futrach wyległy na przedproża.

* * *

Koty z wizytówkami, tłuste koty, koty w słońcu dzwonią leniwie dzwoneczkami na kosztownych obrożach. Szyja kocia nie istnieje. Kocia szyja jest futrzaną mufką między korpusem i głową. Kocia szyja upodabnia kota do amerykańskiej milionerki.

* * *

Z cyklu: Moje życie jaskiniowe. Woda kapłała z kurka w ogrodzie przez całą zimę. Teraz mam przy ścieżce przed domem stalaktyt zwisający z kurka i stalagmit sterczący z ziemi. Albo odwrotnie. Powiniennem przyczepić napis: dotykanie wzbronione.

* * *

Nic tu prostszego, niż zaprzyjaźnić się ze sklepową. W Polsce takie mariaże zawsze były podszyte INTERESEM. Komunizm wykształcił całą monstrialną elitę kierowniczek sklepowych, które z byle kim się nie zadawały. Ginekolog jeszcze obleci, ale okulista? Po co? co to takiego? Kiedyś słyszałem, jak taka sztorcowała bukiet, zostawiony jej przez panią doktorową: „co mi ta, w fałszywych karakułach, tu znosi. Czy ja królik, żeby mi zielsko jadła?”

Tu uśmiech jest czysty i od „dzień dobry” do „dobranoc” nic nie traci ze swej rzetelnej nijakości. Nic on nie znaczy, ma się rozumieć, ale jakoś tak przyjemniej grzebać w półkach pełnych wszelkiego dobra, grymasić, że te kotlety przerośnięte, a tamte dynie małe („co? to specjalne, na kompoty”) a tamte grejpfruty jakies takie olbrzymie („to nie grejp-

fruty, to dynie!”) i cały czas uśmiechać się, uśmiechać. W niedużym sklepiku Seaton już po tygodniu mają mnie za swojego. Pamiętają, że palę marlboro lights i szefowa – chuda katoliczka w złotych okularkach i z wystającymi zębami – bez słowa dołącza rygiel do pakunku. Jeden, z tego-krzepkiego zestawu młodych rzeźników, na jej znak niesie mi dwunastopuszkowy pakiet kanadyjskiego Black Label, bo co trzeci dzień biorę i dziś akurat wypada. „Bye!” – wołam popychając drzwi kolanem – i burza śnieżna przecina śniadą twarz. Krzepki graniastoslup rzeźnika: krew, topór – i małe brylantki w uchu, pod smolistymi kędziurami.

Sobota

Moje życie jaskiniowe. Wstaję o dziewiątej trzydzięci, bo pracuję również nocą. Dawniej oglądałem nocne horrory do trzeciej, teraz już nie, więc mogę wstawać wcześniej. Czasem zbudzi mnie telefon, na przykład Patrycja dzwoni „pogadać”, bo u nich jest już jedenasta i ona nudzi się w swoim złotym gniazdku na Manhattanie, gdzie jako rzetelny, nowojorski nierób, przewala się po kanapach od rana z telefonem przy uchu. Śniadanie skromne: pół grejpfruta, jajecznicą, trochę twarożku, który za każdym razem wzbudza stęsknione westchnienie za halą targową w B. (...gdzie tamta suita szyj gęsich, zwieszonych bezwładnie z długich błaszanych stołów, gomulki sera koziego, owczego, półtłustego, tłustego, smakowane na nożu, „paniusiu”, i flaszki po wódce pełne krwi kaczej, śmietany słodkiej, kwaśniej, półkwaśniej, zakręcone korkiem z gazety...). Potem muzyka – ranny program do dwunastej z Vivaldim, Mozartem; często puszczają zamiast tego okropną amerykańską symfonię dwudziestego wieku. Czy to Strawiński powiedział, że amerykańscy kompozytorzy nie znają nut? Praca przy komputerze, godzina – dwie tłumaczeń, zakupy lub biblioteka i powrót przez skwer koło New Pioneer Coop., gdzie najpiękniejsza z możliwych luźna kompozycja sosen, świerków i klonów odcina się najmniejszymi gałązkami na tle szarzejącego po południu nieba. Dźwigam torbę naładowaną delikatesami z „John’s Grocery” – to drugie Miejsce Zakupowe. Narożny sklepik ze schodkami, czynny całą dobę, pewnie takie bywały przed wojną kolonialną w B. czy we Lwowie. Wszystko domowe, wszystko w balaganie, stertami, w niezliczonych zakrętach labiryntu, który i w Polsce pewnego dnia byłby możliwy, gdyby nie mała różnica: tu, w tym labiryncie, którego nie pilnuje żaden Minotaur, student leci do kasy z najgłupszą tubką pasty do zębów lub pojedynczym kiwi. Jestem pozostawiony sam sobie w ciasnych i głębokich wąwozach, które wydrążono wśród puszek z pomarańczami, puszek z groszkiem dziesięciu rozmiarów, puszek z kawą turecką, brazylijską, kenijską, etiopską, arabską, kolumbijską, rołek papieru toaletowego dla każdej subtelności zwieracza, szamponów na włosie tłuste, suche, po farbie, psie, kocie i dla koni wyścigowych, mydła na skórę, która luszczy się lub swędzi, spaghetti z niespodzianką, bułek wiedeńskich, litewskiego pumpernika, polskich truskawek w syropie, w których piasek trzeszczy i holenderskich, w których – nie, dwudziestu odmian sera szwajcarskiego, poledwicy w stekach, paskach, wstążkach, parówek robionych w okolicznych farmach ze świń wielkich jak krowy i krów wielkich jak słonie, kapusty kiszzonej w kadziach, puszkach lub słojach, jaj czter-nastu wielkości, mleka w puszkach lub galonach, jak benzyna, cebuli w koszach, ziemniaków w worach, pomarańczy w siatkach, winogron kwaśnych, wiosennych, kiwi, bananów, avocado, kielków selera, otrębów, piwa niemieckiego, meksykańskiego, czeskiego i polskiego „Krakusa”, wódek, likierów, nalewek, whisky szkockiej, kanadyjskiej i morderczego „Jack Daniels” z etykietą zieloną (tańszy) i czarną, którego ulubił sobie polityczny skoczek z Moskwy, Borys Jelcyń... Wszystko tu jest, nawet pocałunki, do których zapraszają ciemne za-

ulki pieprzu i uliczki soli, albo skwerek białego wina, tam za rogiem whisky, bardzo bez-
ludny, zachęca w spokojne południa, gdy mało kto tu się kręci i dwie dziewczyny za ma-
leńką ladą, hen, za trzecią przecznicą soi, plotkują i psikają sobie na przeguby nowe spraje.
Najludniej jest od piątku wieczorem, pojawia się wtedy prawdziwa klientela „John’s Gro-
cery” – sklepu bez pretensji, bez porządku i bez sprawdzania dowodów tożsamości przy
płaceniu czekami. Studenci w dresach lub szortach zimą, w czapczkach do baseballa, w te-
nisówkach na duże boscie albo z głową okręconą wzorzystą chustką i zasuplaną w wę-
zel, spod którego wymykają się kosmyki tłustych włosów, koleczyki lub kitki ściągnięte
gumką na kark; także dziewczyny w czarnych męskich płaszczach na czarne podkoszulki,
w wąskich czarnych spodniach, melonikach i szpiczastych bucikach krasnala na podwyższo-
nym obcasie; ze srebrnym koleczykiem w jednym uchu, z włosami na sztorc na spraju albo
à la Farah Fawcett, rozpuszczonymi w falach – ulubionej fryzurze, skądinąd, amerykańskich
piękności w guście Richarda. Wiadomo, dokąd zmierzają parami, pokrzykując i przepycha-
jąc się przed oszklonymi chłodniami pełnymi win i piwa: przyjęcia, przyjęcia! Wkrótce
znów będzie cicho, bo wypadną stąd watahą, każdy z papierową torbą, w której jeszcze przez
chwilę oddalać się będą brzęcząc butelki zinfadela, cabernet i chablis.

* * *

Tylko raz czy dwa zrobiłem zakupy w New Pioneer Coop. – spółdzielni yuppies, któ-
rzy mają z tego tytułu zniżkę przy kasie. Obfitość nie mniejsza niż w „John’s Grocery”,
za to wyaranżowana z niedbałą pieczołowitością sklepów w Dzielnicy Łacińskiej. Wszyst-
ko naturalne, naturalne, drewno, surowe płótna, składniki kuchni peruwiańskiej, pakistań-
skiej, francuskiej, rosyjskiej, włoskiej, w dębowych kadziach, w koszach wiklinowych,
w uchylonych traperskich kufrach lub na drewnianych regałach z sękami, z których zwi-
sają także pęki suszonego chili i chianti w oplecionych butelkach. Kobiety snują się jak te
wina: oplecione golfami, mizerne od diety sojowej, chude od joggingu, żyłaste od mari-
huany i wolnej miłości, którą uprawiają z cudzymi mężczyznami, nie wyglądającymi lepiej od
nich. Wszystko rude, oliwkowe, spłowiałe, szpinakowe lub „w kolorze pustyni”, włosy nie-
dbale, bródki nieprzystrzyżone, oczy jeszcze błędne od Artauda i Chomsky’ego, dzinsy
znoszone, konta kilkunastozerowe. Kielki, kielki, również tacos, margaryna bez choleste-
rolu, soki z jarzyn, galony wody z alpiejskich źródeł, niegazowanej, broń Boże żadnej co-
ca-coli, żadnego, broń Boże, piwa. Tylko wina, wina – białe, wyłącznie francuskie lub niemieckie,
oglądane długo i dyskutowane ścisłymi głosami znawców. A potem – chlast! „Czy jest
pan członkiem spółdzielni?”. Nie. „To dziesięć procent od rachunku” – szepuły kasjer,
Michael, jak głosi wizytówka na piersi z imieniem wypalonym w drewnie, do której po-
wędrował oczami za mym spojrzeniem, potem podniósł wzrok i przez jego twarz, obję-
tą dwudniowym zarostem, przemknęła krótka amerykańska błyskawica – po której nie będzie
burzy. Ni wierszy. Ni lez.

* * *

Wiosna, wiosna. Gil skacze po splachetku śniegu, otaczającym basen w ogrodzie. Stop-
niał śnieg w misie zielonego brezentu osłaniającego basen przez zimę i kryjącego pod so-
bą tajemnicę schodków prowadzących w dół, między lazurowe kafelki, wśród których latem,
w błękitnej wodzie, będzie się pluskać Mecenasa i jego goście. Mnie już tu nie będzie. W ma-
ju – w Chicago? Bóg raczy wiedzieć. Może – Polska? Lezie to za mną. Śniła mi się wczoraj
wyraźnie, tak wyraźnie, że powiedziałem: „no, tym razem to nie jest sen”. I obudziłem
się na kanapie, pod trójką oknem Granta Wooda. Tutaj, znowu tutaj – co robię?

Przeparówczam, przepiawam, przesoczam,
przejajczam, przebefsztyczam, przepomarańczam,
przebananam, przepalam
– money.

Wiosna, wiosna. Stopniała czapa śniegu na skryzynie wysokiego napięcia przed domem. Napis: Caution! High Voltage! zasłonięty przez oko beretem śniegu, nagle przewidział. Cud! Koty, koty wylażą z dziur, z kubraków, z botów, z rękawic, z piwnic, z ramion pani. Niosą się za nimi przez ogród zaniepokojone okrzyki: Henrietta! Babette! Missie! – gdy idą – koty, wpierv łapką lewą przednią, którą lekko otrząsają nastąpiwszy na mokre, potem tylną prawą, z nosem przy korzonku, przy chrabąszczu, przy mrówce, wiecznie ciekawe, niesyte, podejrzliwe chamki salonowe, okłamujące ludzi, że ich tak bardzo kochają.

4. III. 90

Z cyklu: Moje życie jaskiniowe. Dałem się wyciągnąć na przyjęcie. To znaczy: wpierv straciłem rachubę czasu, co mi się przydarza z czwartku na piątek. Piątek wylatuje. Gubi się, jak pieniądz z dziurawej kieszeni. Nie wiem, ani dlaczego piątek, ani jak to jest, że się gubi. Wracam do zmysłów w sobotę. Jak wczoraj: wieczorem otwieram telewizor, mówiąc: „piątek”. Miły wieczór z horrorem na zakończenie tygodnia. A tu – sobota. Program na sobotę, mówią. Więc ja mówię: nie, na piątek! A oni znów, że sobota. Na to dzwoni Lia i mówi: sobota. Dzisiaj. Party.

Więc dobrze, lubię spacer pod gwiazdami. W Polsce po takie niebo jechało się do Zakopanego. Z Krzysiem P. śpiewało „Czy pamiętasz tę noc...” na Kozińcu czy Antałówce. A tu – blisko. Nad głową. Wielkie niebo, jak półmich z brylantami. Co noc, do znudzenia, wala ci się na łeb swą urodą, której w końcu masz dosyć. Brzydoto przyjdź, wołasz! Niebo zachmurz się, luń deszczu, pospadajcie wreszcie gwiazdy z nieba, nie tak, po jednej!

Bądź mniej przepastny, kanionie Rio Grande! Bądźcie mniej dzikie, jak konie, przelomy Fraser River! Nie czerwicie się tak na horyzoncie, góry Nowego Meksyku! Kojoty Arizony, cichszym echem odbijajcie swe wycie wśród grobów Pustyni z Początku Świata! Przystań grzechotać węzu zielony wśród kamieni i ostrych traw pustyni pod Palm Springs, u stóp ośnieżonych i zastygłych w upale gór Nowej Palestyny! Tu mówi się po angielsku lub w jidysz: te panie w białych golfach i złotych okularach ze skośnymi białymi aplikacjami, nadającymi ich ciemnym, pomarszczonym twarzom w leżakach wyraz nieprzyjemnego zdziwienia i panowie w kremowych spodniach, kraciastych pulowerach i czapeczkach do golfa, poganiający chłopca na elektrycznym wózku, który jak lania długimi skokami przemierza łagodne wzgórza i doliny Ziemi Obiecanej.

Co ja tu robię? Na przyjęciu u młodych, młodych, którzy chcą być starzy, starzy? Pisza książki, mądrzą się, delektują winami. A ja? Cóż ja piszę? Co mądrego powiem? Na jakich winach się znam? Siedzę na składanym krzeselku nieswój, bo w sobie odnaleziony, a to jest wielkie nieszczęście. Już ich nie będziesz słuchał, ani oni ciebie. Ledwo wejdziesz do ich pokoju, poczują: obcy. Te rasowe psy z delikatnymi nozdrzami i małżowinami uszny, przez które prześwieca różowe słońce, w golfach miękko układających się na ich ciałach wytrenowanych gimnastyką i joggingiem, lśniącoczębi i uprzejmi, bez zająknięcia plotący najbardziej wyszukane brednie... A ty – brzydki, zepsuty, winny, jak tłumok wciśnięty w kąt kanapy... Choćbyś przed przyjęciem szorował się najlepszymi mydlami, nie zmyjesz tego, co cię oblepia, ciężaru, który niesiesz na plecach jak Aladyn skarby Sezamu.

do których podążał przez całe życie. Skarby? Perły? Brylanty? Przed kogo, przecież nie przed wieprze. Oni są czyści, piękni, muskularni, kojarzyć się mogą wyłącznie z higieniczną lalką do miłości, którą można kupić w „Pleasure Paradise” za pięćdziesiąt dolarów. Powiedz im: Artaud – uśmiechną się, ożywni. A powiesz – Pascal, już mniej radośnie włączą się do rozmowy. Powiesz: święty Tomasz z Akwinu, już tylko jeden-dwóch pozostanie przy tobie. Powiesz: Chrystus, już tylko sobie samemu.

Oczywiście, nie zamierzałem rozbijać im przyjęcia. Posłusznie pili piwo Molson, dobre, kanadyjskie, jadłem kolorowe vermicelli z surówką, jakąś pizzę po libańsku i tort, który Lia zrobiła z truskawek i kiwi. Zwłaszcza że oni – ci studenci i asystenci Writer’s Workshop, gdzie uczą ich tacy jak Marvin Bell czy Tate, poeci o ustalonej w Ameryce pozycji – są ofiarami wyjątkowo podstępnego, bo skonstruowanego z dwóch elementów kłamstwa. Jednego: że pisarstwa można nauczyć (w ten sposób zatrudnienie zyskuje masa humanistów, z którymi w przeciwnym razie nie wiadomo byłoby co zrobić) i drugiego: że pisarstwa można SIĘ nauczyć (co na parę lat uzależnia tych, którzy w przeciwnym razie powiększyliby szeregi frustratów, czego nie życzy sobie amerykańskie społeczeństwo). W interesie obu stron: oszukujących i oszukiwanych, ten mit jest utrzymywany. Może dlatego z każdym studentem Uniwersytetu pogadasz lekko, łatwo i przyjemnie, tylko nie z tymi adeptami pióra, marnującymi swój młody wiek na bzdury w rodzaju „analiza estetyczna obrazu Rembrandta *Mężczyzna w złotym hełmie* w porównaniu z wczesnymi kreskówkami Disney’a”. Oni wręcz unikają pisarzy zjeżdżających tu ze świata, bo ktoś mógłby im wyśmiać ten sercu drogi, onanistyczny szkaplerzyk. Ale i tak wszystko diabli wezmą, gdy skończy się kurs (pardon: seans narkotykowy), porzucą te „artystyczne” popijawki w „Fox Head” (tutejsze „Deux Magots”) czy w „Deadwood” i rozjadą się z powrotem do swoich Ohio i Georgii. Bogatsi? O jeszcze jedno rozżalenie w tym olbrzymim kraju, gdzie strzelać (pardon: pisać) trzeba szybciej, ostrzej i prościej do celu, niż cel o tobie zapomni.

O, być poetą w Polsce! Jakie to było łatwe, miłe. Być poetą w Ameryce? O to należy pytać TYLKO Jarrella, Berrymana, Schwartz, Syla Plath... Rozumiem ich, jak ja ich rozumiem – tych młodych, pięknych (niektórych nawet prze-). Po co wam było Obiecywać! – czytają w moich oczach – więc unikają rozmowy ze mną, gdy stoję z butelką piwa obok psa Waltera, który wylizuje talerz z oliwkami, pośrodku tej dziwnej Republiki Poetów – wymiennych, co dwa sezony, gdy skończy się kurs i wyjadą wnet, przepadną wśród swoich farm, wzgórz, w płataninie ulic i autostrad, gdzie jedno ludzkie istnienie – gdyby nie konstytucja Jeffersona – znaczyłoby jeszcze mniej... mniej jeszcze... niż w jakimkolwiek koszmarze się wyśniło.

Poniedziałek

Wiewiórki myk myk, pod kołami, przez autostradę, zaiste, matki-bohaterki, z orzeszkiem, na drugą stronę. Do dzieci.

* * *

Wiosna, wiosna! Wracając z Newman Center poczułem zapach siana i poniosło! Pod klonami, dębami, przez mój skwer, śpiewającego lwowskie piosenki!

* * *

Klaty, plechy, mięcha w białych koszulkach, ludy, trampy, adidachy, włochy na lydach, zady... A wyżej? dziecinny uśmiech, niebieskie oczy, puch na głowie.

* * *

Wiosna! Trzymałem wczoraj konar w dłoni, powoli ściągając z niego zmarszczoną starą korę. I wyjarzał delikatny, mokry nablonek, którego dotknąłem wargami przypominając sobie, jak nudząc się na przystanku do szkoły dotykałem zimą oblodzonego słupa znaku drogowego, drżąc z lęku, czy rzeczywiście język przymarza wtedy i trzeba go odcinać. Dotykałem koniuszkiem języka zielonej, młodej skórki czując, jak pod mym dotknięciem drży i wilgotnieje.

* * *

Mam wrażenie... Jakie mam wrażenie? Że coś... że co... się wydarzy? Gdy spojrzal... tak z ukosa... chodnik pęczniał mi pod stopami i on uchwycił... spod daszka myk, oczy oczy schwytały na niewidzialną wędkę w pół drogi między trampkami na bosych stopach a gumą, ściągającą pod krawędzią kurtki luźny dres z napisem HAWKEYE wzdłuż lampasu. Uśmiechnął się krzywo, takim zakrętem przejechał po mej twarzy jego uśmiech, że się zatoczyłem. My, paryscy, na cienkich nóżkach, finezyjni, dupcie jak orzeszek, problemy, wobec – tej skały. Tej pustyni, obsypanej skręconym płowym mchem. Wobec gór, dolin, kanionów, mokrych rozpadlin, w których śpią węże skręcone w wilgotnej gęstwinie... my, palcem jeżdżący po mapie wyobraźni, po półkulach błyszczących białe w świetle księżycza zza niedociągniętej zasłony, po nagłych zjazdach, wirażach, lawinach przygniatających ciebie miękkim, chłodnym ciałem. Co rzec? gdy usta zakneblowane językiem, oczy przymknięte i nozdrza łapią ten dziwny ostry zapach potu, kasztanów, ogniska i ziemi.

Czwartek

Piękna msza Wielkopostna w Newman Center, ksiądz Fitzpatrick skupiony, rozważny w krótkim, inteligentnym kazaniu o słodczych pokus. Diabeł mówi do Chrystusa: rzucić się w dół, jeśli jesteś Bogiem. Ile razy tu słyszysz to niedowiarstwo: dlaczego Chrystus nie interweniował, kiedy mordowano ludzi w Europie? Dlaczego pozwala, by dzieci głodowały? Dlaczego nie przysyła aniołów, którzy by ten świat naprawili? Jakby Bóg był szefem ekipy remontowo-budowlanej: o, tu przepchać rurę, tam wymienić sedes. Niech pokaże, co umie. Niech naprawia to, cośmy napaskudzili, napsuli, namordowali.

Z lekkim sercem, idąc, a potem biegnąc i znów idąc przez mój ukochany skwerek, wpatrzony w nagie gałązki przecinające olbrzymią tarczę Księżycza modliłem się? śpiewałem?... Boże, dzięki Ci za wszystko, czego doświadcza moje oko, moja skóra, za dotyk koca, którym owinię się do snu, za słońce, które rano wleje się przez szyby wielkiego okna nad tapczanem, ze szum elektrycznego motoru, podnoszącego w dole drzwi garażu, gdy Mecenas wyruszy do pracy jednym ze swych dwóch samochodów. Za błoto na krawędziach półbutów, za rysunek gałęzi na niebie, za miąższ grejpfruta, który łyżeczką wybieram z żółtej, miękkiej lupiny, za aromat kawy maxwell, która z cichym sykiem rozpuszcza się we wrzątku, za bicz gorącego prysznica, za ból zęba, którego nie zaplombowałem w Polsce, za moje okulary wiecznie od środka zakurzone, za włos na klawiaturze komputera, za kłęby zmechaczonego dywanu, które zapychają odkurzacz, za telefon Richarda i „haj, Dziegoć”, za Lię i jej chłodny, świeży policzek w niedzielne południe, gdy przychodzi pracować ze mną nad przekładami, za miłość, która mnie osacza, zatyka dech, olbrzymia, tętniąca miłość świata zbudowanego przez Ciebie, na Twój Obraz, na Podobieństwo tej Miłości, której muśnięcie znów poczuje rano, gdy w spodniach od dresu wyjdę do ogrodu i dotknę mych policzków Twój

Promień, a Twoja Ziemia, grząska od roztopów, ogarnie podeszwy moich tenisówek. Trwaj w soplu, w gilu, nie zamykaj cudownych drzwi Bycia, które uchyliłeś przede mną przed laty, w więzieniu, w tamte najszcześniejsze dni Twego Wejścia przez zakratowane okno, gdy podniosłeś mnie z błota, otarłeś z lez, nakarmiłeś, okryłeś nadzieją.

Sobota

Profil Richarda nad komputerem. Chciałem dotknąć jego włosów, gdy – mówiąc z ożywieniem – wsparł łokieć o moje kolano. Chciałem – gdy cofnął twarz – jeszcze przez chwilę rysować w powietrzu jego nos, wargi, czoło, opuszczone powieki.

* * *

Łąka. Zielona, na stoku. Tak czysta, że chciałbym jej dotykać nutami.

Niedziela

Lunch z Engle'ami. Jak zwykle w „Power Station”: dość eleganckiej luncho – (czy raczej brunchu – mówiąc językiem yuppies) restauracji, przerobionej z dawnej elektrowni na zaporze Iowa River. Pod halowym sufitem psychodeliczne instalacje, a za wysokimi oknami – szara woda, kaczki w cichej zatoczce pod tamą. Można zapatrzyć się siedząc na końcu stołu, bo Paul tak usadza gości, żeby widzieli wodę. Możesz nie słuchać szczebiotu Hualing, która – co do tego nie mam wątpliwości – zabawia gości z takim samym uśmiechem, z jakim wysypałaby truciznę do wina temu, kto by się jej naraził. Paul jakby od początku mnie nie zauważał, ledwie się przywitał, ale ostrzegał mnie już Bryce, że starszy pan czasem miewa kłopoty z rozpoznaniem właściwej osoby. W końcu przez ostatnie ćwierćwiecze nasprowadzał do Iowa parę setek lepszych i gorszych pisarzy z całego świata. Rzeczywiście, pod koniec lunchu dąsy zmieniły się niespodziewanie w wylewne potrząsania, poklepywania, pohukiwania siwowłosego olbrzyma, który w miarę jak, powiedzmy, obwisa celeśnie, wydłuża się do sufitu. Temat spotkania: wieczny. Jak Fred Woodard mógł tak Paula odstawić od Programu. W oczach Hualing – prawdziwa nienawiść. W oczach Paula – to samo. Choć i oni nie byli święci – intryga gonila intrygę po obu stronach, w końcu dostało się głupiej Minicie, która dała się wciągnąć między mocarzy. Tyle się biedna naintrygowała dla swych mocodawców, wierząc, że „w razie czego” ją obronią, gdzie tam, kopnęli ją w cztery litery i nikt już o niej nie mówi. Wszędzie to samo: male Peruggie, Florencje, Ferrary... jestem pewien, że gdyby nie stawka jednak trochę mała, poszłyby w ruch zatrute pierścienie i sztylety. Istotnie, Fred mógł, choćby dla ZACHOWANIA POZORÓW, czasem zasięgnąć opinii Paula, domagała się tego ich ambicja – wieloletnich dyrektorów najsłynniejszego programu dla pisarzy na świecie. Ale on demonstracyjnie przejął cugle we własne ręce. Zadziałał tu chyba jego kompleks czarnej skóry... ale o tym ani mru mru. Nawet przy Engle'ach nie wolno. Zaraz rozejrzą się trwożliwie, czy ktoś przy sąsiednim stole nie usłyszał. Nie wolno w tym kraju o czymś kolorze skóry ani bąknąć, więc cuda się dzieją z oczami Amerykanów: czarne bieleje! Wszyscy widzą, że czarne, a mówią: białe. Król jest nagi, a oni go oczami ubierają. Tej hipokryzji nie jestem w stanie zrozumieć, ale po to być może trzebaby się tu urodzić i choć raz widzieć tych czarnych biedaków, wieszanych przez białą tłuszcę na drzewach w jakiejś Georgii czy Alabamie. Tak czy owak – możnaby tę hipokryzję, zbyt świeżej daty, aby zdążyła wyszlachetnieć w jakieś głębokie

przekonanie, porównać – toutes proportions gardées – do sposobu, w jaki o Żydach mówi się w niektórych polskich domach. Z pieczołowitością, aby „ich nie zranić”, wynikającą raczej z obyczajowych czy wręcz towarzyskich strategii, niż z prawdziwych przekonań. Ta uprzejma „naturalność”, którą w Polsce słodzi się słowo „Żyd”, tym słabiej przykrywa niechęć i nieczyste sumienie.

Z Nowego Jorku przyjechała Teresa Kim na jakieś warsztaty dramaturgiczne, na które zaproszono ją z Hanscher Auditorium. Mała, skośnooka, ładnie obcięta na Zulę, miała jak zwykle w swoich czarnych lśniących włosach coś niezwykłego: tym razem kwiat różowy, chorobliwy, zwierzęcy, spod którego płatków przeświecały żyłki jak spod skóry anemicznego dziecka. Czarny wełniany płaszcz niedbale na ramiona rzucony, pod nim – ostro karminowa sukienka, zbyt strojna jak na południe, ale to przecież jej i moje pierwsze spotkanie po miesiącach. Rzewność jej nie służy – robi się wtedy ciapowata, babowata, a z całą pewnością należy do kobiet, które stale powinny być wściekle, lub przynajmniej podenerwowane. O Kasi mówiła „kruchy, dobry praszek”, a potem zaczęła te swoje buddyjskie, o duszy. Pietia W. wytrzeszczał swe ormiańskie oczy, mało co rozumiejąc; jego córeczka Katia już prawie płynnie mówi po angielsku i tym niegrzeczniejsza jest do pań, które ją zagadują. Ma charakterek to dziecięcy: skrzyżowanie jakiejś niebogi, Anfisy czy Praskowii z Gogola, z pyską sprzedawczynią z Uniwiernagu. Pogłębiają to wrażenie dwa turkusiki na złotych kółkach, które jej wpięli w uszy jeszcze w Rosji. Pietrusza już chyba nigdy nie pozbędzie się swego marksistowsko-zebraniowego tonu. Zrywa się z krzesła, kiedy kelner odzywa się do niego i wlepia weń pełne usłużoności oczy. Dziwna jest ta mieszanka kamerdynerstwa, zastępującego dobre wychowanie, z knajackim sprytem, który maskuje uśmiechem od ucha do ucha i przesadną wylewnością, kryjącą wyrachowanie. Nigdy mnie to w Rosjanach nie uwodziło, dlatego zawsze byłem dla nich „obcy”. Natychmiast czuli, że oczy mam otwarte i nagan w kieszeni. Pietia tłumaczy z Igorem Biblię z angielskiego (!) na rosyjski. Przed dwoma tygodniami zaczęli, a już są przy „Pieśni nad Pieśniami”. Po pierwszych dwóch pytaniach zorientowałem się, że nie mają pojęcia o tym, co czynią. Nie jestem biblistą, ale wiem, co trzeba. A tu oczy szeroko otwarte na: „Pięcioksiąg”, „Wulgatę”, „wersje greckie”, „wersje aramejskie”... Z trudem Igor wyluskał z pamięci jakieś, podobno, tłumaczenie z łaciny na rosyjski, przed z górą wiekiem. Potwierdzałoby to słowa Brodskiego, że Biblia w Rosji była rarytasem, przynajmniej w czasach, gdy dorastał (lata czterdzieste, pięćdziesiąte). Dlatego zabrał się za Upaniszady, których w Sowietach nie zakazywano. I to obciążenie – połączone z niechęcią, bo niezrozumieniem Pisma – już mu pozostało. Tak, to przynajmniej pokolenie, może jeszcze jedno po nim, komuniści mogą nazwać swoim „osiągnięciem”. Zabrali im to, bez czego wielu Polaków nie wyobraża sobie istnienia. Ale jakoś z tym uszkodzeniem duchowości trzeba sobie radzić – czy więc dlatego Brodski przekonywał mnie, że jedynym Kluczem Świata jest nie etyka, a estetyka?

Ale i tu – niedouczenie (nie o Brodskim mówię, ma się rozumieć). Pietia zakończył swą edukację w poezji światowej na Ferlinghettim: bez przerwy Ferlinghetti i Ferlinghetti. Jakby nie było Berrymana, Bishop, Dylana Thomasa czy Audena. A z polskiej poezji – Gałczyński! Białoszewskiego nie znają, Herberta nie czytali, ledwo coś im świta o Różewiczu i Szymborskiej. Igor, wyraźnie stropiony (w końcu mi żal ich było) zaczął w rewanżu o Borysie Popławskim: „największym z wielkich”, „rosyjskim Rimbaudzie”, jak go podobno w Paryżu nazywali. Zabawne – wciąż trafiać na odcisk Paryża w kulturach świata, na tych Rimbaudów Singapuru, Wiktorów Hugo Zimbabwe, Apollinaire’ów Litw, Zagrzebiów, Kanad... Na szczęście kaczki rozciągnęły się w tyralierę, co z uwagą obserwowałem. A potem zaprzyjaźniłem się z połową zielonego melona. Którą zjadłem.

Niedziela, wieczorem

W telewizji „festiwalu niemieckiego” ciąg dalszy. Pokazują ogórka na targu w Bonn i mówią: „nieznana dotąd w Niemczech wschodnich egzotyczna roślina z zachodniej Europy”.

* * *

Amerykański wrestling. Charkoczące góry mięcha przewracają siebie w prostokącie między wyjąłymi nastolatkami – bez szkody dla mózgu, bo go nie ma.

* * *

Żegluga po amerykańskich głębiach. Zamiast rozmowy – dowcipy i rechot. Zamiast argumentu – szklanka whisky i pistolet.

* * *

Amerykańskie kino. Sztuczne problemy wiecznej zapobiegliwości. Ruch, czajenie się, ucieczka w pochyleniu, cudowny uskok przed strzałem z naprzeciwka, skomplikowane przebieżki, podstępny, doskonale obmyślone plany, trusty mózgow zatrudnione do rabunku i zbrodni, aktorzy najmujący się do ról fałszywych, umięśnionych idoli mówiących półsłówkami i wiecznie trzymających zapalkę między zębami, whisky, kobiety, burdele, hotele. I ani razu od wielu miesięcy – Schuberta, ani razu – z wyjątkiem półgłówkowej „filozofii” horrorów – zlego zakończenia. Nie krytykuję dobrych zakończeń, cieszę się razem z nimi – tą radością niedużą. Tą maskotką dziecka, odwiedzanego przez głupkowate wróżki.

* * *

Człowiek z niebieskim i brązowym okiem. Niebieskie wydaje się większe.

* * *

Kaluże rozrywki. Taplają się w tym jak woły. Rozpraszają skupienie, usypiają wolę, zaostają zmysły wyszukany daniami, z których nic nie zostanie, smrodliwe bajoro. Wszystko mają w rękach: organizację, propagandę, prasę, posiadli wszelkie środki nacisku i manipulacji ci światli wydawcy, producenci, idole, którzy zawsze znali „kogo trzeba” i ten, „kto trzeba” dorabiał im genre, tworzył ich karierę, bo sam „kim trzeba” był otoczony i od nich pobierał szkoły. Ta cywilizacja mass-kultury przyciąga, hipnotyzuje jak jaskrawe światło, jej dusza to wrzask: „dwa dodać dwa jest cztery!” Inaczej nie wolno, żadnych półtonów, półcieni. Logiczna matematyka bez Boga. Uczynili z tego motto, wypisali je na murach i na niebie. Jak ja się mam tu czuć, jeżeli mój rachunek jest zawsze „dwa plus dwa plus Bóg?”. Jak to może równać się cztery?!

* * *

Dlatego tyle tu samotności, tylu ludzi mówi do siebie, tylu siada w kącie knajpy skubiąc niedojedzone frytki na cudzym talerzu i rozglądając się wokół oczami, których tyle widywałem w Polsce. Chcą się ogrzać ciepłem obojętności, wulkaniczną magmą tłumy, która przepływa obok i ich nie dotyka, nie zagarnia. Nie zauważy ich, nawet gdyby splonęli. Na Manhattanie mógłbyś stanąć pośrodku ulicy, jak Święty Paweł w Koryncie, grożąc, jak Sawnarola, prosząc, jak Chrystus – przejdą obok nie przerywając pochłaniania popcornów, najwyżej stukną się w głowę. Tylu tu freaks, ubocznego produktu sprawnie na ogół działającej maszyny sukcesu. Ludzkie obierzyny, ścinki, odpadki. Są na samym dnie, im się nie

udalo, tam pozostana na wieki. Mógłby ich wyciągnąć tylko sam Bóg, ale Boga już dawno stąd wyproszono. Co gorsza, przegrani już sami nie widzą swego upadku – wygląda na to, że dobrze im z tym, co z bogatego stołu spadnie.

Po dwóch tygodniach na Manhattanie, gdzie każdy róg ulicy jest ich pełen – z uśmiechem potrząsających puszkami, proszących o datek, a gdy niecierpliwie coś odburkniesz, też z uśmiechem mówiących thank you, jakbyś im dal nie wiadomo ile – w końcu zacząłem ich unikać, przechodzić na drugą stronę ulicy, gdzie też byli, więc wreszcie nauczyłem się schylać głowę i iść prędko wśród tego brzęku miedziaków na dnie puszek po coca-coli. Aż spotkałem Feriego z Budapesztu (wreszcie zadzwonił) i on każdemu dawał przynajmniej pół dolara, mówiąc: nie dziękuj, bracie, to ja ci dziękuję. Przedtem byłem sam jeden – i nie mogłem. A teraz – bracie. Jak łatwo.

* * *

W USA miara masowego sukcesu przeważała nad miarą smaku. Smak sobie przywieźli z Europy, ale go zatrzasnęli w najwspanialszych na świecie muzeach i na (niektórych) uniwersytetach. Dlatego tyle tu gówna wypływa na powierzchnię, w którym tapla się motloch. Tak dzieje się chyba wszędzie, gdzie obowiązuje tzw. gospodarka rynkowa. Naprodukować ile się da i to sprzedać, sprzedać za wszelką cenę. Każdy sposób dobry, by wpiąć tłuszczę do reszty ogłupić, każdy chwyt dozwolony, by ich potem kijem wygnać na zakupy. Tym większa odpowiedzialność tych, którzy widzą. I milczą. Boją się o swą „pozycję”, o popularność, bo motloch rzeczywiście chce żreć i bawić się, problemy pozostawmy (w muzeach).

Na spustoszone miejsca ducha wchodzą wrzaskliwi uzurpatorzy – niedzielni kaznodzieje, którzy resztkę „potrzeb duchowych” tłumu karmią psim lajmem pseudo-transcendencji. Cwane dziady z „aniołem” u boku – blondynką w powłóczyстых szatach, uśmiechniętą à la Doris Day, która wśród rozszalałych z emocji bab i sklerotycznych dziadków na wózkach inwalidzkich obnosi kapelusz „na datki”. Taki pic dla mas, bo prawdziwa kasa pracuje za kulisami. To są niekiedy fortuny, jakie im zapisują z głębi otłuszczonych serc rozmaite milionerki, do tego stopnia w brzuch odmienione, że już nie wiedzą komu (choć nie – ile) dają.

Wszystko sztuczne, sztuczne. Prawdziwe – tylko brylanty w Palm Beach, na przyjęciu stojącym w Sheratonie.

Grzegorz Musiał

Leszek Szaruga

Tym czasem (11)

85.

Postanowił w czasie egzaminowania studentów specjalizujących się w dziennikarstwie nawiązać do tego, co się aktualnie dzieje. Wydobyl zatem etyczna kartę mediów i podyktował temat: Cóż ma wspólne powinność łączenia wolności słowa i odpowiedzialności z tym, co się dzieje w Polsce w ciągu ostatnich dwóch dni? Studenci, niezłe zresztą przygotowani do egzaminu, opowiadali o wszystkim, tylko nie o kongresie eucharystycznym

poświęconym wolności i przemówieniu papieża dotyczącym tego samego tematu.

Przemówienia tego wysłuchał poprzedniego dnia ze szczególną uwagą. W kraju, w którym wszystkim niemal się zdawało, że wyjście ze stanu zniewolenia oznacza wejście w stan wolności, słowa mówiące o tym, iż wolność nie tylko jest nam dana, lecz również zadana, winny stać się przedmiotem refleksji nie tylko filozofów, ale też ludzi z owej wolności mających korzystać. Przejrzał całą prasę komentującą, wydarzenia dnia poprzedniego. Owszem – słowa Jana Pawła II cytowano wszędzie, lecz nikomu do głowy nie przyszło ich solidne komentowanie. Ale też jest to oczywiste – dziennikarze w Polsce wciąż jeszcze utożsamiają wolność z samowolą, a nie z zadaniem, które muszą codziennie rozwiązywać.

I tak już zostanie, skonstatował ze smutkiem.

Smucę się byle czym, zreflektował się po chwili.

86.

Przyjrzał się modlicielkom i modlicielom, siostronom i braciom w Słowic i zadumał się nad sensem owej modlitwy, która oczyszczała ich twarze ze zmęczenia, znużenia, znoju życia. Przybyli tu z daleka, wiedział o tym, gdyż sam był pielgrzymem i poznał podobnych sobie, choć przecież tak od niego różnych. Wsłuchiwał się chwilę w ich szepty, w ich krzyki nieme, dał się ogarnąć tej fali, nurtowi temu, który ich wszystkich, jego także, przemieniał. Patrzył na nich jakby spoglądał w swe własne wnętrze. Rozumiał ich słowa nie rozumiejąc mowy, co je kształtowała, nie znając języków, w których były wypowiedane.

I zrozumiał wreszcie, po latach, po dziesięcioleciach, to, co modlitwa znaczy. Pojął nagle, że modlić się trzeba w nieznanym języku, w języku obcym.

Modlić się należy, rzekł do swych uczniów, w języku wroga.

A oni zamilkli wtedy, a wielu odwróciło się od niego.

87.

W hiszpańskich górach Atapuerca, wynotowuje z gazety, odkryto szczątki wspólnego przodka neandertalczyka i *homo sapiens*, które obdarzono mianem *homo antecessor*: „Odkrycie – przeczytał – potwierdza tezę tych, którzy głoszą, że ewolucja nie przebiegała w sposób liniarny, że drzewo rodziny człowieczej ma więcej odgałęzień, że inne gatunki wyginęły”.

Jest jeszcze jeden gatunek, pomyślał: nazywa się „człowiek ukryty” i nie wyginął dlatego tylko, że tymczasowo przybrał naszą postać.

88.

Gdy po latach oderwania od spraw naukowych pojawił się na uniwersytecie – przedtem nie mógł tego uczynić, gdyż zły komunista zabraniał takim jak on pracy z młodzieżą akademicką – stanął wówczas wobec niespodziewanego wyzwania. Oto koleżanki i koledzy przemawiali do niego językiem niezrozumiałym, posługiwali się tajemniczymi hasłami w rodzaju postmodernizm, dekonstrukcjonizm – hasła te nie były mu znane w czasach, gdy sam studiował, co miało miejsce dwadzieścia lat wcześniej: teraz zdominowały naukowy dyskurs, nadały mu jakąś nową, nie przeczuwaną dynamikę. Poczul się nieswojo, obco, momentami głupio. Bo jakże to tak? Przecież przez te wszystkie lata, gdy zajmował się publicystyką i krytyką literacką, nie stracił zupełnie kontaktu ze środowiskiem – owszem, rozmawiał z koleżankami i kolegami, czytał nowości ze swojej dziedziny, choć, rzecz jasna, najmniej z sa-

mego jej centrum, z teorii. I wtem znalazł się w sytuacji niewygodnej, na granicy śmieszności. Bał się publicznie odzywać – czuł, że porusza się po gruncie niepewnym.

Jedynym wyjściem stało się nadrobienie zaległości. Zaczął więc wyszukiwać w pismach specjalistycznych eseje tych nowych autorów, o których istnieniu nie miał dotąd pojęcia, później zaś poświęcił się lekturze przekładów ich książek, także książek na temat ich książek. Dowiedział się zatem, że „wszystko jest tekstem”, że istnieje „różnica”, że nie ma centrum, że nie ma jednego systemu wartości, że w języku nie wyróżnia się poszczególnych poziomów. Poznał pojęcie intertekstualizmu i reguły rządzące „tekstowym światem” bez reguł. Przebijał się przez tę górę papieru w poczuciu rosnącego zagubienia, znalazł się w przestrzeni narastającego chaosu, o którym mówiono, że też jest porządkiem.

Zastanowił się nad tym wszystkim. Przyzwyczajony do wprowadzania jakiegoś jednak porządku w świecie własnych myśli skonstatował, że zdanie mówiące o tym, iż „wszystko jest tekstem” sformułowane jest w metajęzyku, co zaświadcza wielki kwantyfikator je otwierający. Uznał, że wprowadza go to w „teorię wszystkiego”. Ta teoria w systemie (?) postmodernistycznym konfrontowana jest nieustannie z „teorią chaosu”. Mamy tu więc, pomyślał, zderzenie dwóch projektów: totalitarnego i anarchistycznego. Towarzyszy temu terroryzm terminologiczny i postawa kapłańska.

To, iż nie istnieje centrum – lub, iż centrum jest wszędzie – nie stanowi większego odkrycia dla nikogo, kto zna nazwę Państwo Środka. Teoria chaosu z kolei to nie innego, niż unaukowanie indywidualizmu. Brak reguł w teorii literatury jest zredukowaniem jej do literatury właśnie, co mogłoby być nawet zabawne, gdyby nie fakt, iż tym samym stanowi odrzucenie wszelkiej teorii. Wszystko to zamaskowane zostało sloganami o powszechnej tolerancji i wkroczeniu w przestrzeń wolności (skąd ja to znam? pomyślał).

Kupa banalów nazwanych po nowemu nie przestaje być kupą banalów, skonstatował, lecz zaraz dodał: z podobną kupą banalów już byłem konfrontowany w praktyce mego życia. Pisał Kołakowski w epilogu do „Głównych nurtów marksizmu”: „Nikt rozsądny nie zaprzecza temu, że tak zwany marksizm historyczny był istotnym przyczynkiem do naszej historii intelektualnej i wzbogacił znacznie nasze myślenie o historii minionej. Była mowa o tym, że teoria ta, ujęta w wersji rygorystycznej, jest nonsensem, ujęta zaś w wersji rozluźnionej – jest banałem, że jednak stała się banałem głównie dzięki Marksowi”. Podobnie, dodał, dzieje się z teoretycznymi dywagacjami Derridy: owszem, jest to przedsięwzięcie pozwalające na wypracowanie nowych narzędzi intelektualnych – często przydatnych, lecz przecież będących „tylko narzędziami. Narzędzia jednak nie służą do wyjaśniania niczego, zaś pomysł – obecny nie tylko w derridiańskim projekcie – by ich do tego używać, jest absurdalny. Lecz także groźny. Jeśli bowiem prowadzi do uznania, że świat jest niewyjaśniany, to nie posuwa naszej wiedzy nawet na krok. Jeśli jednak uznać, że wyjaśnia „wszystko” – choćby przez ochrzczenie owego „wszystkiego” mianem „tekstu” – wtedy należy się pożegnać z rozumem w każdej jego postaci. A to już zabawa niebezpieczna: nie w teorii, lecz w praktyce naszego życia.

89.

Ogląda filmowe sprawozdania z powodzi we Wrocławiu: nigdy nie byłby pomyślał, że to miasto może kojarzyć się z Wenecją – zalane ulice i dzielnice, woda podchodząca pod dworzec i ogród zoologiczny, horror zwiększany totalną nieudolnością władz i łagodzony odródną nagle solidarnością ludzi z całego kraju. Może, myśli, rzeczywiście jest tak, że nasze społeczeństwo potrafi się konsolidować jedynie w biedzie, w nieszczęściu, w zagrożeniu.

W sprawozdaniach pojawiają się nowe słowa – kierujący akcją ratowniczą w jednym z nadodrzańskich miasteczek mówi o tym, że ludzie całą noc workowali. Workowanie to napełnianie worków piaskiem i budowanie z nich zapór przeciw napływającej wodzie. Obok tego trwa normalne życie, które jednak zagłuszone jest przez wieści o katastrofie. Ludzie, obawia się, w tym wszystkim nie zwrócą uwagi na to, co się w tych dniach zdarzyło w powolnym odmienianiu sytuacji Polski. Nie tylko, że zaproszono kraj do NATO, czego znakiem stała się wizyta prezydenta USA w Warszawie, lecz nadto odbyło się – chyba pierwsze o takim znaczeniu od spotkania Ottona III z Bolesławem Chrobrym spotkanie przywódców Niemiec i Polski, nadto coś się ruszyło w kwestii przyłączenia nas do Unii Europejskiej. Wreszcie, co zapewne niebawem znów obudzi emocje, Sad Najwyższy uznał referendum konstytucyjne. Jakieś przyspieszenie, którego treści dosłownie rozmywane są przez wezbrane wody Odry.

90.

Czyta „Notatkę o hierarchii” Mariana Stali wydrukowaną na łamach „Tygodnika Powszechnego”: „Podstawowym (najczęściej używanym?) językiem, jakim posługują się współcześni przeciwnicy hierarchii jest mowa wolności. Wewnątrz tej mowy wszelki związek z hierarchicznym widzeniem świata traktowany jest jako rodzaj zniewolenia, ograniczenia, a więc ostatecznie: odebrania człowiekowi czegoś, co mu się z samej jego istoty należy”. Zwolennicy hierarchii inaczej: „współcześni zwolennicy myślenia według hierarchii najpierw zakładają, iż lepszy jest raczej ład niż chaos, potem zaś starają się usilnie w świecie, wyraźnie chaotycznym i przypadkowym, odnaleźć ukryte znaki ładu”.

Oczywiście, pomyślał, że ład jest lepszy – nie odnajdzie się jednak owego ładu w świecie, jeśli nie odnajdzie się go w sobie. Zauważył, że „notatka” Stali napisana jest w tonacji defensywnej, że ma w sobie jakieś poczucie niepewności, że – w dobie owej manifestacji wolności, jaką, stały się wszelkie postmodernistyczne manifesty – przebija w stylu tego tekstu obawa przed śmiesznością. Podobne nastawienie obserwuje u innych, którzy, przytłoczeni samozadowoleniem i pewnością siebie wyznawców chaosu burzących z impetem wszelkie dotychczasowe porządki i ustanawiających świat bez środka lub czyniących ów środek z własnego „ja”, nie odnajdują w sobie tej bezczelnej arogancji i, zagubieni w owej „opowieści idiotów pełnej wrzasku i furii”, obawiają się powiedzieć wprost: „Ta wasza wolność nie jest wolnością, lecz samowolą. Wolność to właśnie dyscyplina samoograniczeń, jakie człowiek – chcąc stać się otwartą na innych osobą, nie redukując tej osoby do zapadającego w nicosć „ja” – potrafi sobie, właśnie w imię współbywania z innymi, narzucić. Z tego wyrasta także hierarchia bytowania człowieczego, a zatem i hierarchia świata – niezbywalna, jeśli pojęcie człowieczeństwa ma w ogóle mieć jakiś sens”.

Ale, uświadomił sobie, może im chodzi o to, że to pojęcie, podobnie jak wszystko inne, nie ma sensu, a ich egzystencja polega wyłącznie na snuciu owej pełnej wrzasku i furii opowieści aż po jej kres. Cóż – niech sobie snują... Dlaczego jednak ja miałbym się poddawać tej modzie?

Przypomniał sobie sentencję patrona swego gimnazjum, Andrzeja Frycza Modrzewskiego: „Człowiek nie urodził się sobie”. Tak, pomyślał, jeśli się o tym pamięta, jeśli się to wie, nie ma potrzeby bronięcia hierarchii.

Na drugiej, eksponowanej stronie „Gazety Wyborczej” przeczytał obszerną informację o trzeciej wpadce narkotykowej jakiegoś piłkarza. To zdumiewające, pomyślał, jak dalece media, nawet te uznawane za „poważne”, przystosowują się do obrazu świata zredukowanego do sportu – w tym przede wszystkim piłki nożnej – i muzyki rockowej. Gwiazdy sportu i gwiazdy rocka wyparły niemal bez reszty dawne gwiazdy literatury i filmu. Przestrzeń kultury – sport ją też wypełnia, na ogół zresztą urzędy lokalne mają osobne wydziały „sportu i kultury” – wypełnia coraz szczelniej papka emocji i prostych formulek piosenkarskich. Gdy to obserwuję, nie dziwi się zbytnio – wie, że zły pieniądz wypiera gorszy.

W Polsce, dodaje, dzieje się to w sposób wyjątkowo brzydki. Wybuchła niedawno afęra związana z wykupieniem przez telewizyjny „Canal +” wszystkich meczów ligowych na najbliższe pięć lat. Chodzi o grube pieniądze, ale też o swego rodzaju manipulację: zakup został, wedle prasowych doniesień, tak zorganizowany, iż telewizja publiczna nie miała szansy stanięcia do przetargu. Zastanawia się: nie miała szansy czy jej mieć nie chciała? Nie stawiałby takiego pytania, gdyby nie fakt, że był abonamentem kodowanego programu „Canal +”, który w stosunkowo krótkim okresie stał się mało interesujący. Z dalszego oglądania więc zrezygnował, prawdopodobnie uczyniło tak wielu ludzi. Jak najłatwiej powiększyć „ogłędalność”? Oczywiście – proponując program masowy, w tym wypadku dla olbrzymiej społeczności kibiców piłki nożnej, zapewniając sobie przy tym wyłączność. Za to warto zapłacić, gdyż wtedy owi kibice, choć impreza jest droga, wykupią abonament.

Media są rozliczane wyłącznie z zakresu czytelnictwa czy też „ogłędalności” czy „słuchalności”. Nic w tym nienormalnego, tak było zawsze. W przestrzeni skomercjonalizowanej tak już pozostanie, trudno bowiem żądać od właścicieli, by do interesu dokładali. Gorzej, że podobny typ rozliczeń zaczyna dominować także w przestrzeni mediów publicznych. Przeczytał właśnie w „Rzeczpospolitej” artykuł jakiegoś urzędnika uzasadniający konieczność zawieszenia nadawania dwóch programów radiowych, by „zrobić miejsce” dla Programu I, co związane jest z remontem masztu. Artykuł, niby przyznający, iż zarówno Program II i Radio Bis, te zawieszono, realizują przedsięwzięcia ambitne, podszty jest w istocie lekceważeniem i pogard. Program II, mający ponad 4% „słuchalności” – a więc jak na tego typu rozgłośnie w warunkach europejskich wyjątkowo popularny (to jednak ponad milion słuchaczy w 40-milionowym społeczeństwie) – i nie nadający reklam (ich agresywność, nawiasem mówiąc, staje się tak nieznośna, iż pojawiać się zaczęły reklamy reklam perswadujące chyba jednak zniccierpliwionej nieco publice, iż to dla jej dobra: „reklama to twoja wolność wyboru”), koncentruje się wokół problemów „kultury wysokiej”. Czuje się, że władze radiowe z chęcią w ogóle by z niego zrezygnowały. Być może, myśli, to taki czas. I w Niemczech przecież, po połączeniu (przedtem programy ambitne spełniały w pewnej mierze funkcję broni ideologicznej i słuchane były po drugiej stronie muru) przeprowadzono „reformę” radiofonii, w wyniku której zredukowano w eterze do absolutnego minimum obecność programów literackich.

Widać to i gdzie indziej. Niedawno czytał przecież w jakiejś gazecie lokalnej, że „Kwartalnik Artystyczny”, wydawany za publiczne pieniądze, jest – o zgrozo – pismem „dla Różewicza i Miłosza”, a zatem, jak się można domyślać, zbędnym. Lepiej wydawać kolorowy magazyn skoncentrowany na problemach piłki nożnej i muzyki rozrywkowej wtedy to się sprzeda i może nawet na siebie zarobi.

Ten typ argumentacji przeraża. Jeśli tak dalej pójdzie, myśli, wówczas za ćwierć wieku obudzimy się w kraju wymóżdżonym. Czy te wszystkie „wysokie gremia”, głównie poli-

tyczne, nie są w stanie zrozumieć, że inwestycje w kulturze, a więc, to prawda, dla elit, z pozoru jedynie są niedochodowe? Tyle, dodaje, że efekty tych inwestycji nie są widoczne natychmiast – trzeba na nie czekać dziesięcioleciami. A przecież nie ulega wątpliwości, że myśląc choćby tylko w kategoriach interesu państwowego, owo ocalanie i kształtowanie elit jest niezbędne. Pisze zresztą o tym Teresa Bogucka w artykule „Głośna większość” na łamach „Gazety Wyborczej”: „Otóż nawet gdyby założyć, że istotnie większość świetnie się czuje w dudniącym hałasie, to jest to akurat ta dziedzina, w której demokracja ma bronić praw mniejszości. To znaczy stać na straży wolności jednostki przed przymusem, także jeśli jest to przymus miazdzącej liczby zwolenników takich czy innych rytmów. Przestrzeganie tych reguł, równie dobrze jak kiedyś odpowiednie maniery, może chronić prawo jednostki do ciszy lub wypełniania jej tym, co lubi”. Nie chodzi zresztą tylko o „bronienie praw mniejszości”, lecz o coś więcej: o gwarantowanie tych praw i ich egzekwowanie. W sferze kultury – pozwala sobie na sąd uogólniający – otóż w sferze kultury owo gwarantowanie praw mniejszości po latach przynosi zyski, wymierne choćby we wzroście wskaźników rozwojowych, całemu społeczeństwu.

Zastanawia się, jak zakończyć ten fragment swych uwag. Najlepiej, myśli, stosownym cytatem. Znalazł ten cytat – to wypowiedź ministra kultury podsumowującą jego sukcesy: „Gdy obejmowałem tę funkcję, postanowiłem odbudować mecenat państwowy nad kulturą ludową. Z wysmiewanych orkiestr dętych, których do 1989 r. było ok. tysiąca, połowa już nie grała. Dzisiaj nie tylko wszystkie grają, ale powstają nowe. Nie zdziwicie się, gdy niedługo wyjdzie dwutysięczna orkiestra i zagra”.

Chyba marsza pogrzebowego dla narodowej kultury.

92.

Postanowił rzecz uzupełnić komentarzem poetyckim. Wybrał początek wiersza Krzysztofa Karaska „Krytyka poezji”:

*Naród, który niczego już po sobie nie oczekuje
słucha tylko piosenki.
Piosenka – okład na serce,
piosenka – okładka w dowodzie,
piosenka do tupania, piosenka do marszu,
piosenka – czarna nieć, co się przedzie.
Po której wejdziemy do królestwa niebieskiego.
Obojętny na źródło pozwala
by język się zaprzepaszczal,
i sam się zaprzepaszczal w języku
pijanym, kręci jak obrączka na palcu,
gdy tymczasem
mijają krajobrazy, krążą słońca
i czapla krwi wychyla dziób z krwiobiegu.*

Przypomina sobie wcześniejszy wiersz Staszka Stabry mówiący o tym, że „kraj, który potrzebuje fabryk, nie potrzebuje poetów”:

*A kiedy późnym popołudniem
usłyszycie gorączkowe kroki
narodu bredzącego w malignie
nie dziwcie się
nie dziwcie.*

Przypomina sobie też wiersz Julka Kornhausera o tym, że „państwo jest najwybitniejszym poetą polskim” i wstrząsający wiersz Kornela Filipowicza o republice bez poetów, w którym rozpada się język i międzyludzkie więzi. Tak, myśli, tam właśnie chcą, nas dziś zaprowadzić ci piewcy ponowoczesnego zniesienia elit, hierarchii i centrów, nieświadomi swego braku oglądy i poczucia smaku: parweniusze, prostytutki i nuworysze.

Leszek Szaruga

Krzysztof Myszkowski

Literatura, dom starców i grób

Grób na cmentarzu na Montparnasse. Kolorowa, nieduża fotografia, którą przywiozła mi J. z Paryża. Ustawilem ją na biurku i często na nią patrzę. Zwykły grób, wciśnięty pomiędzy inne groby. Jasna marmurowa płyta. U góry napis: Suzanne Beckett, pod spodem: née Déchevaux Dumesnil, i niżej: 1900-1989. Pod spodem krótka pozioma kreska i napis uczyniony zdaje się literami nieco większymi niż poprzednie: SAMUEL BECKETT, i niżej: 1906-1989. Na obrzeżach grobowej płyty – cienie. Z dołu plastikowa czarna, a właściwie grafitowa skrzynka z kwiatami – trzy albo cztery tuziny stokrotek pięknie rozkwitniętych i jedna róża obok zielonej gałązki. Dwa niskie stopnie. Więcej nic. To wszystko. A więc tak to się kończy? Tylko tyle zostaje? W dole. Na wznak, w rojowisku robaków, w drewnianej skrzyni, „samotnie w mieszkaniu z sześciu desek”.

Beckett urodził się w Wielki Piątek, a zmarł prawie w przeddzień Wigilii Bożego Narodzenia, czego ponoć pragnął. Na pogrzebie żony, która zmarła w lipcu, powiedział stojąc nad jej grobem: niebawem i ja w nim się znajdę. Jak zawsze dobrze wiedział, co mówi. Przeniósł się do domu starców i tam czekał na swoją śmierć tak jak całe życie – w samotności. Na Boże Narodzenie leżał już w grobie. Zgodnie z testamentem świat dowiedział się o jego śmierci w godzinę po zakończeniu ceremonii żałobnych, w których uczestniczyło kilka osób z rodziny. Gdy agencje podawały wiadomość, wieko trumny było już zabite, a marmurowa płyta zasunięta. Dokonało się i wypełniło. Koniec.

Dom starców, w którym Beckett oddał ducha, mieści się na rue Rémy Dumoncel w dzielnicy Montparnasse, około pięćset metrów od domu pisarza i nosi dźwięczną nazwę Tiers Temps. Dom starców, co w języku francuskim oddaje zbitka słów Maison de

Retraite, czyli dom, albo zakład oddalania się, odejścia, ustąpienia, wycofania się; a także schronienie się, ubocze, ustronie, zacisze. Te wszystkie słowa i związki słów dobrze pasują do Becketta.

Jest taki wiersz Tadeusza Różewicza pod tytułem „Maison de Retraite”, napisany po śmierci Becketta, opublikowany w 5/87 numerze „Twórczości”. Różewicz już wcześniej napisał wiersz o Beckettzie – „Miłość do popiołów”, zamieszczony w tomiku „Na powierzchni poematu i w środku”. „Maison de Retraite” powstał po rozmowie Różewicza z jego niemieckim wydawcą, który był także wydawcą Becketta. Tenże niemiecki wydawca opowiedział Różewiczowi o swojej wizycie w paryskim domu starców u Becketta i ta opowieść stała się kanwą dla wiersza, który jest jedynym polskim wierszem na śmierć Samuela Becketta.

W wierszu tym Samuel Irlandczyk jest już pensjonariuszem domu starców i żyje tak „jakby go nie było”. Nikt tam o nim nie słyszał i jedynie interesuje się nim personel w ramach opłaconych obowiązków. Jest jak rzecz – wielka, wspaniała, niema. *Jakaś osoba bezosobowa, przedmiot bez wszelkiej indywidualności.* „Nie odzywa się do nikogo / nie nie mówi”. Zamknięty w sobie, czeka. Kroś z zewnątrz widzi, jak „kiedy go sprzątają / to znaczy u niego / siedzi przed drzwiami / swojego pokoju / na krześle / jak na trapezie / czasem podryguje / jakby chciał wzlecieć / do sufitu”. Widzę go dobrze. Widzę go, jak siedzi na krześle, z rękoma złożonymi jak do modlitwy, ze spuszczoną, a właściwie pochyloną głową, na rozwieszonym za moimi plecami plakacie „Beckett w Teatrze Studio”. W czarnobiałych kolorach, z lekkim retuszem czerwieni. „...to chyba ten Sam”.

Nie wadzi nikomu. Jak zwykle, popija irish whiskey. Coś pisze. Coś czyta. Ale najczęściej jest widziany, jak „na końcu korytarza / w tunelu bez światła / siedzi i patrzy godzinami / w zgaszony telewizor”. Widzę go jednak w tej scenie inaczej: telewizor nie jest zgaszony – jest włączony, ale na jasnym świetlistym ekranie jest tylko kasza, jakieś permanentne zakłócenie, albo brak odbioru. Awaria, albo koniec, czas bez programu. A on godzinami siedzi tak i patrzy. Na końcu korytarza. Sam.

Literatura. Ostatnie utwory Becketta: „Nacht und Träume” i „Co gdzie”; „Worstward Ho” i „Stirrings Still”; i na zakończenie – „what is the word”. W „Nacht und Träume” jest ciemny pusty pokój oświetlony jedynie wieczornym światłem, a w nim jakiś człowiek, śniący (A) i ten sam śniony przez siebie (B), i muzyka – siedem ostatnich taktów pieśni Schuberta „Nacht und Träume”. Wybrzmiewa. W ciemności a właściwie w mroku. Na końcu zostaje wyciemniony najpierw sen, a potem A. Zostaje już tylko – ale gdzie? i jak? – B. W „Co gdzie” pole gry stanowi mały, słabo oświetlony prostokąt. Rozbrzmiewają w nim monotonnie cztery głosy jak najbardziej podobnych do siebie postaci. Ostatnie kwestie brzmią: „Dobrze. / Jestem sam. / Jakbym dalej tam był w czasie terazniejszym. / Jest zima. / Bez podróży. / Czas mija. / To wszystko. / Niech zrozumie kto może. / Gaszę.” (przekład Antoni Libera). I tu wszystko kończy się wyciemnieniem: najpierw pola gry, a potem Głosu.

No i na koniec, labędzi śpiew Becketta: 53-wersowy wiersz-nie wiersz z siedmiokrotnie powtórzonym pytaniem-frazą: „comment dire / what is the word”, co Antoni Libera tłumaczy jako: „Jak to powiedzieć”, „co to za słowo”, „jakiego by użyć tu słowa”, a wreszcie w swojej lekcji przekładu jako: „no właśnie co”. Wiersz-nie wiersz, zamknięcie. I otwarcie. Otwarcie na świat słów Samuela Becketta. I na świat słów. Na świat.

Krzysztof Myszkowski

RECENZJE

Urszula M. Benka

O grozie wtajemniczenia

Janusz Styczeń pokazuje wtajemniczenie bez podszytej paniką kokieterii (pragnącej wzbudzić fascynację). Można rzec, że w „Grozie wtajemniczenia” ukazują się nie tyle bogactwa wtajemniczeń, co sama przygnębiająca i wręcz otepiająca mozolność tego procesu „przetapiania się”, do jakiej odnosiła się baśniowo – mityczna formuła zapadnięcia w kamienny sen. Styczeń mówi więc nie o kataraktycznym olśnieniu, ale o dręczącej uldze, co do której tak skwapliwie zapewniamy, że przyprawia o rozkosz; przeżyć rozkosz czujemy się w obowiązku. To zrozumiałe, że w swojej prawdomówności sztuka obnaża częściej aspiracje poetów niż ich doświadczenia – częściej aspirujemy niż doświadczamy. Bo czegoż tak, na Boga, doświadczamy? Przecież – śmierci, której nieusuwalność podsuwa nam myśl, że to ona, śmierć, jest syntezą wszelkiego doświadczenia. W tym sensie wszystko, cokolwiek się wydarza, składa się na śmierć, przybliża ją z sekundy na sekundę, modeluje coraz wyraziściej, aż istotnie rozpoznajemy już jej twarz.

W tych prastarych ujęciach mitu i baśni **ulga dręcząca** oddawała to, że proces wewnętrznego dojrzewania wciąż trwa, że właśnie „ziarno (aby mogło obrodzić) gnije”. Ulga? Ulga płynie z samego powstrzymywania się od arbitralności. Teraz ziarno, czujemy, nie jest więcej poganiane, by gnilo ekstatyczniej, estetyczniej czy użyteczniej. Arbitralności trudno się zrzec, trudno poddać się **mocom duszy**, o ileż bardziej chce się przyspieszyć albo unie możliwić to coś, co w końcu ma się ukazać na horyzoncie. Otóż Styczeń w tym najdojrzalszym swoim tomie doznaje zamarcia, a jest to znacznie więcej niż gdyby o nim mówił; zamiera (**gnije**) również tej poezji literackość pozwalając, aby wiersze przemówiły właśnie swoją chropawością, aby psychiczny dramat rozgrywał się ponadweralnie. Wykokoniony z porządku słów, daje o sobie znać mistycznym roztargnieniem. Styczeń, przynależący do pokolenia miażdżonego (w dzieciństwie) wojną i (całe życie) codziennością totalizmu, nie usiłuje swych okaleczonych mistycznych uwrażliwień przedstawić arbitralnie – wyraża je przygniatającą ulgą kamiennego snu, zniecierpliwieniem profanacji, niejasną świadomością, że swojej duszy nienawidzi. Chce ją złamać. Stycznia obsesja mordowania kobiety wydobywa też w końcu na jaw szczegóły psychicznego samobójstwa, będącego już teraz świętym chaosem.

W jego tomie pierwszą sceną wtajemniczenia jest przedzieranie się „przez krzewy, przez gałęzie drzew, przez zamknięte liście, przez rozchylające się coraz głębiej do wewnątrz kwiaty”, na których „biała suknia się rozdziera, jakby się rozdzierała dusza”. To właśnie baśniowy czarny las, przez jaki biegnie Śnieżka, do jakiego wstępują śmialkowie. I Robert Bly w „Żelaznym Janie”, i Bruno Bettelheim w „Przyjemnym i pożytecznym” z lasem tym wiążą się nieodzowność przeżywania chaosu, a w istocie zezwolenie, by nasz nieadekwatny („świecki” i tym samym zabójczy) porządek stał się świętą harmonią. Z baśni pamiętamy, że jednak nikt nie wchodzi tam dobrowolnie, że wypędza lub wywabia nas do lasu zła macocha, rozwścieczony ojciec, jednym słowem „wróg”, a co więcej – ktoś miotany skrajnymi emocjami, jak gdyby tylko huraganowe energie mogły nas zmusić, aby tam wejść. W jeszcze innych opowieściach to właśnie „najmłodszy, zwany głupcem” jest niepodatny

na pokusy racjonalności. Bowiem ukazany nam zostaje konflikt świata arbitralnego i świętego, niezgoda świata arbitralnego na świat święty, niezgoda przerażająca nas swoją furią (skrzywczona wściekłością twarz ojca tkwi we wczesnych doświadczeniach większości z nas: to właśnie ona naprawdę jednak powstrzymuje nas w dojrzałym życiu i przed świeckim sukcesem, i przed wychyleniem się w świętość). A ów las to jeszcze doznawana głucha samotność. „Mać ją z płaczem wykleła, ojciec precz wyrzucił, siostra łokciem skarciła, a brat się odwrócił, a kochanek na progu z pierścieni ograbił”, by ująć to słowami Leśmiana. Gdyż przemoc, a nie zdrowy rozsądek wyprowadza nas w las. Przemoc to po prostu przemożność, boska przemożność Psychopomposa, Przewodnika duszy, tego właśnie aspektu duszy, który – nieusłuchany – w samej rzeczy już na zawsze pozostawia nas w „domu macochy”. W świecie Stycznia ten Hermes – Psychopompos nie ma jednak kojącego świetlistością kaduceusza w ręku, jest pełnym morderczej chuci mężczyzną, wzbudza strach, ściga duszę – dziewczynę („jeszcze ją goni”, „rozwija łąso, złapie ją”), a więc w istocie czyni coś przeciwnego niż Hermes grecki.

Stykamy się z poezją, która wie, jak zakłócanie bywa w życiu poddawanie się świętym impulsom, jak intuicja bywa źródłem rozterki, jak przygnębia swą barbarzyńskością (ale prastary, mityczny Hermes, zarzynający Apollinowe woły czyż nim nie był? barbarzyńcą głodnym surowego mięsa?), jak duchowy przewodnik sprawia, że kulimy się cali przed jego bezlitosnym arkanem. Dwa jakże bliskie, zdaloby się, słowa: duszpasterz i duszpastuch. Ten mężczyzna u Stycznia dopadający duszy „rozwija łąso, złapie ją” – chyba że dusza nie zawaha się przedzierać przez samą siebie („pośród bezmiaru swojej duszy”), gdyż wymknie się w rzeczywistość innego już rzędu, gdzie „jej porwane dni idą razem z nią, jej dusza jest pozbawiona snów, jest ciemna i nieprzenikniona, pełna drzew i krzewów, zaplątane w gałęzie, liście i zamknięte kwiaty, oplecione, związane łąsem, nieprzebrany, ogromnym, gęstym”. I gdy już mowa o Hermesie – w Tebach zwanym Kosmosem po prostu – przekonujemy się, że pójście za Hermesem jest podróżą przez Kosmos, w Kosmos; że głos duszy (Boga) jest emanacją Natury (*naturae rerum*). Co jeszcze inaczej można ująć: dojrzewanie duchowe, jakkolwiek mogłoby nas płoszyć nieoczekiwanością wypadków, pozostaje podróżą w obrębie ciągle tego samego naszego ja. Istniało w swej całej rozległości i tylko my nie mieliśmy o nim pojęcia.

Te pejzaże, chaszcze, trzęsawiska, wądoły rozpoznajemy jednak, gdyż są figurami naszych archetypów. Ale nie wystarczy, widać, jeśli tylko je „pooglądamy”; widać, trzeba doznawać ich w jeszcze większym zbliżeniu, i może wręcz po omacku, aby ta sensualność doznania była bardziej nasycona, aby intensywniej siekła czy zarysowywała nasze blokady wewnętrzne. Kojarzy się to z czyścieniem. Być może nim jest? Stanem, gdy Boga przeczuwa się – również – bezsprzecznym cierpieniem, sprzecznością uczuć, jako że nadziei towarzyszy lęk, gniew, niezgoda (w poezji Leśmiana taki widziany z perspektywy czyścica Bóg dopada duszy, żąda czegoś wbrew niej, wywołuje odruch panicznej ucieczki, albo też nudy, rozczarowania i zgorzkniałości doznajemy, jak w „Urszuli Kochanowskiej”, „Wyruszyła dusza w drogę”, „W locie”). Wolno jednak takie kłębowisko odczuć nazwać również emocjonalnym bogactwem i przeciwieństwem emocjonalnego ubóstwa zawierającego się w oczekiwaniu jednego tylko rodzaju doznań: doznań przyjemnych. Jeśli tak, to w pojęciu czyścica tkwi zasada skonfrontowania się z własnym duchowym bogactwem. I na taką możliwość wskazuje nam figura baśniowego skarba, figura integralnie połączona z zagłębianiem się w otchłań, a nieraz pojęciem walki ze smokiem uosabiającym poliwalentność skarba duszy.

Świat poetycki Stycznia ma płynne kontury, jakby wymykał się zrozumieniu na tej samej zasadzie, co żyjąca w nim kobieta gwałtownemu mężczyźnie czy smok swojemu pogromcy, czy baśniowy skarb komuś niegodnemu. W tym sensie świat Stycznia wyczuwalnie

wymyka się i mi, ilekroć próbuję sformułować to coś kategorięcznie, coś, co wprawdzie intuicyjnie „wiem” – jak to, że ów mężczyzna nienawidzi kobiety – co jednak nieustannie wykracza poza nakreślone mu ramy sensu. Mimo to chcę zaufać intuicji. Mężczyzna nienawidzi kobiety, bowiem „poznał ją dopiero wtedy, kiedy trzeba ją pogrzebać”. W wierszu „Groza wtajemniczenia” wtajemniczenie jest wspinaczką po schodach „bardzo wysokich i stromych”, w nieznanym gmachu tętnącym obcością. Do celu swego życia mężczyzna strzela z rewolweru. Elisabeth Badinter w „Tożsamości mężczyzny” stwierdziła, że broń palna (atrybut supermana) wyraża skrajną samotność. Cóż więc ujrzy mężczyzna Stycznia na samym szczycie „góry swego życia”? Martwą kobietę. Rzecz w tym, że nawet osiągając to swoje apogeum, mężczyzna nawet nie dotyka kobiety, jedynie widzi i uświadamia sobie, że coś nakazuje mu się oddalić – „musi zejść po schodach, uważnie, z rewolwerem w ręce, ze swojego życia trzeba schodzić uważnie, z rewolwerem w ręce”.

Jeśli tą kobietą jest dusza, to przedstawiona tu jako trup. Jest to jednak już jeden z późniejszych stanów wtajemniczenia (dojrzałości psychicznej) – okazuje się w świetle bardzo inspirującej analizy mitu o Psyche, przeprowadzonej przez Johnsona w eseju pt. „Ona. O esencji kobiecości”. Losy Psyche zostały tam odczytane jako stopnie samopoznania. W micie Psyche też zmuszono do odbicia wtajemniczenia – została zmuszona przez Afrodytę (którą Johnson utożsamia z macochą Kopciuszka, jako że Kopciuszek „sam” z pewnością nie podjąłby się „symbolicznych prac”). Jeśli jednak to Hermes jest „psychopomposem”, to przekonujemy się, że i Afrodyta (mroczna Afrodyta nienawidząca Psyche) i macocha Kopciuszka, to jakieś niesamowite transfiguracje Hermesa, ale właśnie też tego Hermesa, jakiego poznajemy dopiero po śmierci, kiedy wiedzie nas do Hadesu. Co znowu oznacza, że mowa tutaj o doświadczeniach czy też o stopniu samopoznania, jakiego zwykle w tym życiu nie doświadczamy, ponieważ istotnie jest zbyt strasznym go doświadczać.

W wizji Stycznia zejście „z góry swego życia” to zatem zstępowanie w otchłań – czyśćcową, jak się rzekło, uświęcającą, Hermesową, ale też gdzie na razie sfera Afrodyty jest trupia (rządzi tu Afrodyta z przydomkiem Androfonos, Mężobójczyni czy też po prostu Mordercza jak menada), i gdzie doznajemy, iż dusza bywa trupia, że przyprawia o jeżenie się włosów. W jeszcze innym micie, przypominamy w „Zaślubinach Kadmosa i Harmonii” przez Roberto Calasso, Kora w czeluściach Hadesu spotyka „umarłą kobietę” jak własny obraz w lustrze. Przytaczam to, gdyż mowa o samodoznaniu, o uzmysławianiu sobie nie cudzej, lecz własnej śmierci.

Styczeń przestrzega ciało ukochanej jako ponure: jako zimny, posepny loch. Ciało, które go nie chce, którego dziewiczy różany pączek drży z trwogi i zasłania się – wiję – bo woli „zwiądnąć w ogromnej nocy pierwszego lochu” niż rozchylić się na nieobliczalne męskie autoagresje: jesteśmy wciąż w przestrzeni jednego poety, u uwiecznieniu wciąż tego samego ja. Współczesna poezja zwykle starannie unika dawania podstaw podejrzeniu, iż pozostaje autotematyczna. Przeciwnie, wmawia, i to całkiem skutecznie, że pomiędzy kreatorem i jego lirycznymi podmiotami (a tym bardziej przedmiotami drwin i niechęci) istnieje bezapelacyjna różnica. Żadnych więc potajemnych związków światła i mroku, żadnej jawnej fascynacji „mierzwą karmiącą ogrody”, błotnistym mlekiem głębszych, cuchnących wszak pokładów *conditio humana*. A zatem uniknęliśmy, w Polsce, wglądów i w „Hades”, i w zwyczajną rzeczywistość, w krainach duszy zbudowaliśmy tyle ścian, tyle barier, że upodobniła się do labiryntu, gdzie też każdy z piszących na wiele sposobów zabezpieczał się przed napotkaniem Minotaura. Osadzaliśmy w miejscu Minotaura magicznymi wręcz terminami teoretyczno-literackimi i socjologiczno-kulturowymi, aby podważyć realność ukazującego się czasem świata. „Nowa prywatność”, „surrealizm” – a więc coś nie do końca prawdziwego, względnie coś, co staje się udziałem nieodpowiedzialnych artystycznych ekstermistów, jak

Wojacek albo Stachura, jakkolwiek w jakiejś baśni o poczci, to oni byłiby wkraczającymi w niebezpieczny las „glupcami”. Nie ma innej sztuki niż *realna*. Świat jak w baśni wydaje się nie mieścić głupoty Bożej. Świadczyła o tym bez wątpienia awangardowa nieufność do wymykającej się spod kontroli metafory, do symbolu, chyba w ogóle do wszystkiego, co sięgało w bebecchy człowieczeństwa, a dzięki czemu poeta przemawiał swoim artyzmem, a nie programem i nie środowiskową poezją. Poetę trzeba było ujarzmić, nauczyć subordynacji wobec aktualnych trendów, a przy okazji nie dopuścić, by jego *polityczność* syłała się bezpośrednio ze źródła. Źródła czego? Ano, ze źródła bezdyskusyjności. Bowiem paradoksem zniewalania cudzej autonomii jest to, że z niechęcią witamy wszelką jednoznaczność, na jaką mogłaby się ona powołać i uczynić ją obustronnie wiążącą. W tym miejscu pora rzec, iż tak naprawdę nie ma w sztuce precyzyjniejszych środków wyrazu niż symbole, metafory, oksymorony, wizje, i że tępiąc je w imię precyzji, skazujemy tylko odbiorców na jalone błąkanie się wśród pustkowiec bezkrwistych teorii. Kto wie, może właśnie dlatego sztuce w końcu potrzebna była krew? Żywa krew? Bo tacy poeci jak Stachura powiedzieli coś wreszcie językiem ciała. Każdy wie: ich wierszami były również te nakładane sobie pętle, te żyłki i włączony gaz, polykanie tabletki oraz powpisywane skrupulatnie dawki zażytych świństw. Imiona własne autoagresji. U Stycznia w „Roztargnionej profanacji” chcąc schwytać duszę na arkan, pochwytuje się sztukę (jej alegoryczny posąg kruszy się) – zresztą tylko w jej postaci czysto zewnętrznej.

Mordowanie kobiet w przypadku Janusza Stycznia wykracza poza obsesyjność motywu wierszy – sięga obszaru artystycznych inspiracji. Ulubione lektury Stycznia, to horror, thriller, makabryczna plotka, obsceniczne fragmenty „Azylu” Williama Faulknera (gdzie nienormalny chłopak za pomocą kaczana kukurydzy dziewczynę gwałci). Myślę, że awersja do duszy, do ja, wyrażająca się w notorycznej „dekonstrukcji kobiety” u programowo obcych Stycznioniowi poetów ukrywała się za ścianą uczonej terminologii, która istotnie zniechęciła laików. Za ścianą zakazu popełnienia jakiegoś *déjà vu*: odbiorca miał nie odwoływać się do pamięci, do doświadczenia, a w rezultacie do ja; słowa „my” używaliśmy nieporównanie częściej.

Niezręcznie okrutna poezja Stycznia w tym sensie stanowi w moim odczuciu genialny wykwit samowiedzy. Niezręczna, Ignąca ku tandecie, a najlepsza tam, gdzie jak kiedyś w „Parce”, po prostu opisuje brud, poezja zatem, która nie stała się wyrocznią estetyczną i nie słuchała pouczeń uznanych wyroczni, sama przez się przedstawia rodzaj skarbeca. Skarbecem *sui generis* dla naszego stulecia jest śmietnik. U Stycznia otwieramy na prastarej zasadzie: otwarcia właśnie zakazanych drzwi, sięgania po odradzany towar, po kryminal, po erotyczną fascynację dziewczynką („Mała dama kameliowa”), po w pełni jej mitycznego znaczenia obrazę Afrodyty, która, cokolwiek mówić, jest jakimś przeciwieństwem uprawianiem perwersyjnej ascezy. Lubieżnej ascezy. Wyrażonej w smakowaniu zbrodni na tle seksualnym, co przychodzi mi na myśl, że może w fascynacji kryminałem tkwi obsesyjna chęć rozwiązania dręczącej zagadki? Dziewczyna, dusza, to rozsypujące się jabłka w Stycznia poezji – gdzie mężczyzna „przystaje pomiędzy jabłkami, przystaje pośród porozrywanej dziewczyny, on chce ją rozerwać i chce scalać”. Jej otwór rodny, to brama Hadesu. Oto sedno Stycznia rozpoznania duszy, miłości, sztuki w końcu. Z góry życia cofa się (strzelając w panice) w rejony, gdzie ciało i Hades są czymś jednym – są Kosmosem. W literaturze polskiej stało się coś doniosłego: poeta sformułował mit w pełnym tego znaczeniu, doświadczonej teraźniejszości.

Urszula M. Benka

Janusz Styczeń, „Groza wtajemniczenia”, Wydawnictwo „Przedświt”, Warszawa 1996.

Pół wieku temu Hermann Broch napisał swoich słynnych „Lunatyków”. Dopiero dziś otrzymujemy polskie tłumaczenie tej trylogii. Być może jednak dzieło nie jest wcale spóźnione. To, co było kiedyś „lunatyczne” w Europie Zachodniej, teraz okazuje się takie u nas, zatem książka pasuje jak ulał!

Broch analizuje dezintegrację społeczeństwa Niemiec wilhelmińskich na skutek rozpadu dotychczasowego systemu wartości. Ludzie błakają się lunatycznie, ponieważ utracili wiarę, często pracę, honor, nadzieję, poczucie kierunku, sensu, celu. Idą jednak ku światłu, jak to somnambulicy, ku bladej poświacie, i to jest jakiś ułamkowy optymizm Brocha.

Część pierwsza cyklu nosi tytuł „Pasenow, czyli romantyzm”. Junkier von Pasenow usiłuje kultywować ideały rycerskie; gdy zrzuci mundur, życie straci dla niego sens. Część druga, „Esch, czyli anarchia” opowiada o skromnym drobnomieszczaninie, buchalterze, aktorze, dziennikarzu, który w poczuciu permanentnego kryzysu szuka pocieszenia w kolejnych awanturach romansowych, wreszcie ginie z ręki trzeciego z bohaterów powieści, Huguenaua. Ostatni człon trylogii, „Huguenau, czyli rzeczowość”, przedstawia lotra, spryciarza, przestępcę, prototyp może przyszłego bonzy hitlerowskiego. Huguenau dochodzi do znacznych pieniędzy, zyskuje szacunek społeczny, w końcu piastuje urząd burmistrza.

Akcja trylogii obejmuje lata 1888-1918. Nie tylko wstrząsy polityczne dotknęły wówczas Europy. Kryzys systemu wartości jest także skutkiem rewolucji naukowo – technicznej, światopoglądowej i artystycznej. Teoria Einsteina wywróciła do góry nogami wyobrażenia o czasie i przestrzeni. W powietrzu pojawiły się maszyny latające; po ziemi chyżo potoczyły się automobile. Odezwano się radio, które McLuhan po latach nazwie „bębnem szcze-powym globalnej wioski”. Henri Bergson – Einstein filozofii – objawił, że byt nie jest żadną stabilną rzeczą, na której można by z zaufaniem budować. W „Ewolucji twórczej” powiada: „Rzeczy i stany są tylko pewnymi widokami zdjętymi przez nasz umysł ze stawania się. Rzeczy nie ma, są tylko działania”. W roku 1918 Oswald Spengler publikuje swój słynny „Zmierz Zachodu”. Dowodzi w nim, że cywilizacje są śmiertelne i że Europa jest właśnie w stanie agonalnym.

Artyści awangardy sprzymierzili się z radykalną lewicą i zażądali wysadzenia w powietrze muzeów, „tych grobowców sztuki”. „Ryczący automobil jest piękniejszy od Nike z Samotraki”, stwierdza Filip Tomasz Marinetti w swoim „Manifestie futuryzmu”. Muzyczny system atonalny Schoenberga był próbą symbolicznego zniszczenia tych hierarchii, które nauczyliśmy się akceptować i lubić w harmoniach i gamach od tysięcy lat.

Według Brocha rozkład wartości europejskich jest dokładnie skutkiem porzucenia ideałów klasycznych. Tylko wracając do Grecji i Rzymu, do Platona i chrześcijaństwa, można próbować jakiegoś ratunku. Pisarz ma zapewne rację, i dziś ponowoczesność, postmodernizm, jest właśnie próbą restytucji wartości klasycznych (choć w pewien dwuznaczny sposób).

Trylogia Brocha ma ambicje ponadliterackie. Pragnęła być filozofią i teologią naszego wieku, całą Biblią, stąd m.in. jej kolosalny format, 850 stron druku. Zwróćmy uwagę, że podobnie „biblijne” bywały też inne dzieła ojców nowoczesnej powieści, Joyce’a, Prousta, Musila, Tomasza Manna ... Biblia hebrajska jest księgą polimorficzną, prozo-poetycką, świecko-religijną, mitologiczno-racjonalną. Do analogicznej syntezy dążył Hermann Broch. „Lunatycy” są splotem wielu stylów, fabuły i wiersza, eseju i dramatu. Zwornikiem dzieła zdaje

się być pewien krótki poemat zatytułowany „Ahaswer”, w którym pisarz wypowiada się odautorsko. Oto fragment:

*Do krzyku jam zrodzony, Ahaswer!
Od źródeł wygnany, w otchłanie wypędzony,
Wiedzą wywyższony, zwątpieniem toczony,
Kamienie siejący, pyłem karmiiony,
Z wiedzy wyrzuty, tęsknotą trawiony,
Głosami błogosławiony, głosu klątwą naznaczony,
Zakazanego owocu siewca wysławiony.*

Kim był Hermann Broch? Ten wybitny prozaik i eseista austriacki chciał się uważać za poetę, mitografa; napisał w pierwszej osobie słynną „Śmierć Wergilego”, w której znajdujemy analogię między czasami dyktatur starożytnych i dwudziestowiecznych. Nie uznawał modernistycznego hasła „sztuki dla sztuki”; artysta ma zawsze pracować dla ludzi. Autor „Lunatyków” był myślicielem poszukującym wartości absolutnych, nadających sens egzystencji. Po wkroczeniu Hitlera do Austrii w roku 1938, trafił do więzienia. Uwolniły go stamtąd starania PEN-Clubu, zwłaszcza zabiegi Jamesa Joyce’a. Wkrótce pisarz wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Zmarł w roku 1952 w Yale.

Maciej Cisko

Hermann Broch, „Lunatycy”. Tłumaczył Sławomir Blaut. Biblioteka Klasyków, Wydawnictwo „Dolnośląskie”, Wrocław 1997.

Elżbieta Gidlecka

Niemożliwość prawdy

Henryk Grynberg powiedział w jednym z wywiadów: „Kiedy byłem młody, miałem większą skłonność do fabularyzowania (...), chciałem być przede wszystkim powieściopisarzem, teraz coraz bardziej chcę być kronikarzem”. (Gazeta Wyborcza, 7.11.1993r.)

Autor „Dzieci Syjonu” potwierdza tę zasadę w swojej nowej książce „Drohobycz, Drohobycz”. Opowiadania zebrane w niej, powstały w latach dziewięćdziesiątych (z wyjątkiem tych, które pochodzą ze zbioru „Szkice rodzinne”: „Szkicu węgierskiego”, „Brata na Wołyniu”, „Szkicu rodzinnego”). Ich tematem, jak stwierdza autor, „...nie jest sam Holocaust, lecz trauma, która trwa do dziś”. Źródłem inspiracji są autentyczne wspomnienia – stąd bardzo dokładne opisy, sprawiające wrażenie niemalże bezpośredniej relacji. Jedynie osoba interlokutora, pojawiająca się sporadycznie, zadająca krótkie pytania, uświadamia dystans czasowy. W toku opowiadania zmienia się czas i miejsce – tak jak w życiu konkretnych ludzi, o których mowa. Moment historyczny zostaje ukazany jako przejście z jednego świata do innego – takiego, w którym zanika poczucie jakiegokolwiek stabilizacji czy bezpieczeństwa, a wytwarza się atmosfera strachu. Narastające zagrożenie Grynberg przedstawia, ukazując przejawy antysemityzmu sprzed 1939 r. Przytacza liczne cytaty z przedwojennych czasopism, podaje przykłady ludzkich reakcji i zachowań.

Wyrazicielem przecucia nieuniknionego kataklizmu jest epizodyczna, raz tylko występująca postać obłąkanego uciekiniera z Wiednia, o imieniu Beno: „Ja tam straszne rzeczy widziałem, mówił. W oczach i ustach widziałem. A co, co takiego? Że oni nas zamordują. Kogo? Nas wszystkich, przyjdą i zamordują, ale nikt nie słucha i nikt nie wierzy. Ja słuchałem i ja wierzyłem, i opowiadałem w domu. A tam, on wariat; mówili. A ja się bałem, ja wiedziałem” („Drohobycz, Drohobycz”).

Zło wydaje się wszechogarniające zewsząd, jak żywioł nie do opanowania. Nasuwa się, nie wypowiedziane wprost, lecz między wierszami ukryte pytanie – gdzie jest jego źródło, skąd okrucieństwo w ludziach, którzy w normalnych warunkach prowadziliby spokojne życie? Świat podzielony zostaje na katów i ofiary, na prześladowców i prześladowanych, na tych, którzy zabijają i na tych, którzy muszą uciekać, aby życie ratować. Wobec przemocy uwidacznia się coraz bardziej kruchość istnienia, a jednocześnie w opisanych sytuacjach granicznych ukazuje swą siłę instynkt życia. Wola przetrwania niekiedy decyduje o ocaleniu; czasem jednak, paradoksalnie, okazuje się siłą fatalną – jak w przypadku Henia Marguliesa z opowiadania „Drohobycz, Drohobycz”, który zginął w makabryczny sposób, zatrzaśnięty w pustej cysternie pociągu jadącego na Węgry. Jak na ironię – to, co miało być ratunkiem, okazuje się przyczyną zguby.

Podstawowym motywem działania w przedstawionej przez Grynberga, ponurej rzeczywistości, jest strach przed śmiercią, chęć ucieczki i ukrycia się w różny sposób, niekiedy również poprzez wtopienie się w tłum. Ucieczka, rozumiana dosłownie, stanowi tu częsty motyw, skoro nieustannie mowa jest o realnym niebezpieczeństwie. Na zasadzie kontrastu pisarz ukazuje innego rodzaju ucieczkę – u jednostek wrażliwych – w świat piękna, który nie mógł zaistnieć w rzeczywistym świecie, lecz mógł zostać wytworzony przez wyobraźnię. W tytułowym opowiadaniu pojawia się wspomnienie o Brunonie Schulzu, uczącym kreślarstwa w drohobyckim gimnazjum. Przedstawiony tu wizerunek pisarza z Drohobycza zgadza się z tym, co ogólnie wiadomo o autorze „Sklepów cynamonowych”. Jest to portret człowieka, który przez swój niezwykły charyzmat i dar wymowy, potrafił przenieść słuchaczy w krainy baśniowo-mityczne.

„Przeciążona elektrownia wylądowała przy świecach, a kiedy brakowało świec, wołaliśmy, panie profesorze, panie profesorze, niech pan opowiada. Opowiadał «Podroże Guliwera», *verbatim*, i wymyślał historie o gnomach i innych przedziwnych stworach, które żyją w ciemnych kątach i szparach, w innej rzeczywistości, ukrytej przed naszymi oczami. Nie umieliśmy tego powtórzyć, bo tylko on umiał tak opowiadać, i nie bardzo rozumieliśmy, ale słuchaliśmy zafascynowani. Wkładaliśmy kopiejkę pod korek, żeby zgasło światło, i niech pan opowiada, panie profesorze, niech pan opowiada! Nigdy się nie gniewał, nie podnosił głosu, jedwabny człowiek, za jedwabny.”

Z wyjątkową nadwrażliwością wiązała się intuicja, zazwyczaj cechująca ludzi, którzy widzą i czują więcej niż inni. Dowiadujemy się, że już w 1936 r. wystąpił z gminy żydowskiej, jakby kazało mu jakieś wewnętrzne przecucie. „Nie ochrzcił się, ale nie chciał być Żydem. On wiedział.”

Grynberg parokrotnie ukazuje w swojej książce, jak uaktywnia się ludzka wyobraźnia w warunkach, w których miara zła się dopełniła, w jakim kierunku zmierza, jak daleko jej wytwory odbiegają od przeżywanego koszmaru. Mała Rucieńka Ginsberg („Ucieczka z Borysławia”) marzy o tym, aby być ptakiem – wtedy nie musiałaby się więcej bać. Inny przykład znajduje się w opowiadaniu „Elgena”, którego tematem jest terror panujący w Rosji Sowieckiej w latach trzydziestych i wszystkie jego konsekwencje – lagry, zesłania na Syberię, aresztowania, z których się przeważnie nie wracało. Tu również pojawia się postać,

reagująca podobnie. Tym razem, ukazujący się obraz, stanowi dziwne połączenie jakiegoś idealnego, prawie baśniowego świata z elementami rzeczywistości zastanej: „Segalowicz rysował śnieżne pejzaże, renifery, konie i ptaki, nigdy ludzi. Śnieg u niego zawsze prześląknięty był złotem, wysokokaratowym, krwawym”.

Częste przedstawianie przez Grynberga sytuacji skrajnych, służy ukazaniu wielości postaw, charakterów, które nie sprawdziłyby się w zwykłych okolicznościach. Człowiek staje w całej prawdzie – nie ma miejsca na udawanie, gdy chodzi o własne lub cudze życie. W książce „Drohobycz, Drohobycz” występuje tak wiele autentycznych osób, poddanych tym ostatecznym próbom, reagujących w bardzo różny sposób, że trudno o jakieś ogólne wnioski, dotyczące ludzkiej natury. Taka czy inna narodowość również nie stanowi tu żadnego kryterium – każdy z bohaterów zostaje ukazany indywidualnie i czyni zło lub dobro, w zależności od wyboru, jakiego sam dokonuje. Z drugiej zaś strony, człowiek jako indywiduum, nie może uciec od historii własnego narodu. Próbuje znaleźć ocalenie, lecz tragizm często polega tu na tym, że jednostka spotyka się z sytuacjami, którym nie jest winna. Poczucie winy jednak istnieje, tkwi w pamięci jak piętno, którego nie można wymazać: „Głos mego brata nie przestawał mnie budzić po nocach. Mój mąż tłumaczył mi, że to ja sama chcę siebie ukarać. Za coś, co nie jest moją winą. Że nie mogłam go była zatrzymać u Dobrowiczów ani nie u nich wyprosić dla niego. Że nie mogłam pójść razem z nim, bo gdybym poszła, tobym z nim razem zginęła. Że mam prawo żyć, pomimo że jego zabili. Że nikomu nie zawiniłam, że żyję. Mój mąż był dobrym lekarzem i sesje z nim bardzo mi pomagały, ale mój brat nie przestawał wołać” („Brat na Wołyniu”).

Osoby opowiadające o sobie, nie potrafią uwolnić się od przeżyć, które rzutują na ich psychikę. Najgorsze minęło, lecz pamięć zachowuje obrazy przeszłości: „Mam jeszcze w uszach to okropne dudnienie, to wycie i zawodzenie syren. Do dziś boję się syren alarmowych i nie mogę oglądać filmów o wojnie;... wiedziałam, że dzieje się coś złego i czułam strach. Ten strach nigdy mnie nie opuścił („Umowa z Bogiem”).

Odniesienie się do zdarzeń minionych stanowi ważny motyw w książce Grynberga. Relacjonowane fakty wydają się bliskie, choć należą do odległej przeszłości. Siła ich oddziaływania jest jednak na tyle duża, że niekiedy poznajemy dokładnie poszczególne wydarzenia, osoby, dzięki zaznaczeniu szczegółów. Pretekstem do takiej podróży w czasie jest często opis fotografii – niekiedy pełen niedomówień, domysłów. Stanowi on swego rodzaju próbę chwilowego przywołania świata, który przeminął, zatrzymania w ruchu tego, co zmienne. Każda, uwieczniona na starym zdjęciu, postać, ma swoją historię, którą, tym sposobem, autor może, mniej lub bardziej dokładnie, przedstawić. Czas jest tu czymś bardzo płynnym – terażniejszość miesza się z przeszłością; występują nieraz nagle zwroty w sytuacji, przeważnie wtedy, gdy nie nie zapowiada zmiany. Język opowiadania się zmienia, w zależności od kontekstu (liczne są rusycyzmy, germanizmy, wtrącenia z jidysz), przeważnie sprawia wrażenie mowy potocznej, co pogłębia poczucie autentyczności. Nie brak mocnych, dosadnych określeń, szczególnie, gdy są potrzebne do wyrażenia silnych emocji, jakie mogły być wywołane przez groźące niebezpieczeństwa.

W opowiadaniach Grynberga, napisanych wiele lat po zakończeniu wojny, bohaterowie relacjonują również przeżycia związane z ocaleniem – mówią, w jaki sposób przeżyli i co nastąpiło później. Przedstawiona przez nich, powojenna rzeczywistość to „rzeczywistość zdegradowana”, choć nie ma już tylu zagrożeń, a śmierć przestała być wszechobecna. Wydawałoby się, że bajeczny, wprost rajska obraz życia w North Port na Florydzie („Kuzyn Benito”) jest bez skazy, a jednak tytułowy bohater ...„coraz częściej dzwonił nad ranem za ocean porozmawiać ze swymi dalekimi kuzynami”.

Bardzo często, próba zbudowania czegoś na nowo, kończy się niepowodzeniem; za dużo więzów z przeszłością, urazów, bowiem oprawcy żyją, a ci, którzy musieli się ratować, potracili bliskich – dlatego nierealny jest powrót do świata sprzed kataklizmu: „Doczekałam, doczekałam! Śmierci się nie dałam! Będę tańczyła, śpiewała! Będę z radości skakała! Wrócę do mego domu, przytulę się do ojca, do matki. Uściskam siostrę i starszego brata. Izaszka wezmę w ramiona. Kochani, tak bardzo tęsknilam. Tak bardzo was chciałam zobaczyć. Tak bardzo było mi źle. Tak długo trwał straszny sen... Serce mi biło do bólu. Nie wiedziałam, kto wróci. Nie wiedziałam, kto nie wróci. Nie wiedziałam, że nie wróci nikt” („Ucieczka z Drohobycza”).

Ukazanie prawdy staje się niemożliwością, z powodu zacierania śladów po tym, co było, również po tym wszystkim, co dotyczy narodu żydowskiego oraz jego historii i kultury. W powojennym Drohobyczu postawiono pomnik Puszkina – za postument posłużył kawałek płyty nagrobnej z żydowskiego cmentarza; „z przodu Puszkina, z tyłu hebrajskie litery” („Drohobycz, Drohobycz”). Dowiadujemy się, że „Stalin, kiedy wymordował Żydowski Komitet Antyfaszystowski konfiskował materiały o Holocauście na sowieckich terenach” („Rodzina”).

Henryk Grynberg, stwierdza w posłowniu swojej książki: „Nie dziewiętnastowieczna kwestia indywidualnej zbrodni i kary, lecz zbiorowa zbrodnia i bezkarność charakterystyczna dla dwudziestego wieku i obu jego ludobójczych systemów – a przede wszystkim dzielność, podłość i bezbronność człowieka”.

Elżbieta Gidlecka

Henryk Grynberg, „Drohobycz, Drohobycz”, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 1997 r.

Dariusz Nowacki

Praca pisania?

Po bardzo dobrym „bezludziu” (1994) i nieco mniej efektownej „modliszce” (1995) pojawiła się trzecia powieść Marka Kędzierskiego zatytułowana „bez miary” (dla ścisłości: trzecia powieść polskojęzyczna; autor pisał też po angielsku i publikował za granicą). Zanim odważę się cokolwiek o „bez miary” powiedzieć, a słowo „odwaga” jest tu jak najbardziej na miejscu, retorycznie westchnę i poubolewam odrobinę. Otóż czytelnicy „Kwartalnika Artystycznego” są w o tyle dobrej sytuacji, o ile przedstawianie dorobku Marka Kędzierskiego mogą uznać za czynność jałową. W niczym jednak nie zmienia to faktu, że twórczość oryginalna autora „bezludzia” jest po prostu lekceważona. Owszem, Kędzierski jest podziwiany jako wybitny znawca i tłumacz Becketta, ale o jego prozie artystycznej niewiele słyszało, a jeszcze mniej pisało. Cóż, przychodzi mi na myśl tylko jedno sensowne wyjaśnienie: prawo Kopernika, mówiące, jak wiemy, że gorsza moneta wypiera lepszą... Tymczasem proza Marka Kędzierskiego to jeden z najbardziej ambitnych projektów artystycznych ostatnich lat, śmiałe wyzwanie rzucone przez pisarza krytyce literackiej i publiczności czytającej.

Świadomy własnego doświadczenia lekturowego i tym razem obawiam się negatywnego scenariusza – zapewne niewiele będzie miało ochotę na zapasy z najnowszą powieścią

Kędzierskiego, na osobliwy pojedynek, osobliwy, bo niejako z gwarancją porażki. Pozwalam sobie na tę (pozorną!) antyrekalmę, ponieważ niniejsza recenzja nie powstaje na zamówienie magazynu ilustrowanego, gdzie operowanie sloganem „dobrze się czyta” jest tępą koniecznością. Tak więc typ pisarstwa, jaki uprawia autor „modliszki”, nie jest „przyjemny” (cokolwiek słowo to miałoby znaczyć); narracja zatytułowana „bez miary” nie jest tekstem wygody i samopotwierzeń czytelnika. Jeśli ten ostatni nie zorganizuje sobie lektury, co w przypadku „bez miary” nie jest sprawą prostą, jeśli sam nie uruchomi maszynierii znaczeniowości, uzna zapewne godziny spędzone z powieścią Kędzierskiego za czas zmarnotrawiony. Warto zatem uprzedzić, że tym razem tradycyjna metodyka lektury może okazać się nieprzydatna, a wszelkie nawykowe podejścia do narracji raczej skomplikują i tak trudną sytuację czytelnika tej prozy.

Dlaczego tyle o tym mówię? Ano dlatego, że „bez miary” postrzegam jako znak pewnego przełomu. Zastanawiam się tedy głośno, czy aby proza Kędzierskiego się nie radykalizuje, czy aby tym razem pisarz nie wzniosł jeszcze wyższego muru odgradzającego go od czytelnika (nie tylko czytelnika-opornisty, lecz czytelnika w ogóle)? Odnoszę bowiem wrażenie, że autor przedsięwzięcia pisarskiego nazwanego „bez miary” przerzuca odpowiedzialność za wytwarzanie znaczeń na odbiorcę, jemu niemal całkowicie powierza depozyt sensu, co niekoniecznie musi wynikać z bezgranicznego zaufania do czytelnika, ze zbyt daleko idącej wiary w „partnerstwo”. Coś się chyba tu zmieniło... Bo przecież wcześniejsze narracje Kędzierskiego były zorganizowane wokół dość wyrazistych idei, aczkolwiek byłoby niedopuszczalnym uproszczeniem, gdybym zechciał o tym myśleć tak, jak myśli się o pisarstwie z tezą. Należałoby raczej rozprawić o pisarstwie z... problemem. I to nie byle jakim, gdyż na przykład w „bezludziu” był to problem „niezadomowienia” w znaczeniu metafizycznym, kwestia „zamieszkania” we własnym dyskursie, sprawy tyleż fascynujące, co projektujące czytelnika o wysokich kwalifikacjach intelektualnych. Zaiste – trudne partnerstwo, ale do podjęcia. Natomiast tym razem, tj. w „bez miary”, nici bodaj zostały zerwane. Wszelako nie oznacza to wcale, że tekst został zanarchizowany.

W zasadzie wstępną hipotezę mówiącą o końcu porozumienia z odbiorcą (tu domniemany znak przełomu) trzeba by osłabić, albowiem w nadrzędnej płaszczyźnie najnowsza powieść Kędzierskiego – jak chcę to widzieć – jest historią piszącego czy też opowieścią o pisaniu. Akurat ta nić wydaje się całkiem mocna. A więc nie tyle pisanie jako praktyka wywrotowa (odgradzanie się od odbiorcy), ile pisanie jako przewrotne budowanie zaszyfrowanej opowieści o pewnej „przygodzie” piszącego. W każdym razie dostrzegam zarys takiego pejzażu interpretacyjnego, choć swój komentarz do „bez miary” muszę uznać za nieuchronnie prowizoryczny i jakże niepewny. I jeszcze jedno: choć w najnowszym utworze Marka Kędzierskiego chcę widzieć rzecz o pisaniu, to trzeba też od razu powiedzieć, że zapis ten zgoła nie ma wspólnego z autotematyzmem (przynajmniej w obiegowym rozumieniu tego pojęcia), mimo że literatura jest ważnym tematem rozważań, ciągle obecna w ewokacjach, ciągle bodaj w centrum.

Powieść Kędzierskiego ma swoją ramę: rzecz zaczyna się „prośbą o ratunek”, interwencją przyjaciela w sprawie przyjaciela (Gregor w imieniu Adama), wzmocnioną „słowami Eryka przez telefon”, kończy – informacją, że wezwany nie zdobył się na żadną aktywność. W tej sprawie. Nie bardzo zresztą wiadomo, o co chodziło, kim są przyjaciele, kim jest sam opowiadacz – nie ma to większego znaczenia. „bez miary” jest zatem opowieścią o pewnym zaniechaniu, ale zaniechaniu w płaszczyźnie zdarzeń, w planie anegdotycznym. Jednocześnie bowiem ową ramę wypełnia Coś, co ma być odpowiedzią na Nic, na zaniechanie. Czym jest to Coś? Wydaje się, że niepoohamowanym, rozbudowanym „bez mia-

ry” monologiem, a w praktyce – pisaniem „bez miary”. Lecz nie pisaniem literaturą, gdyż model ten został (i to w kilku miejscach, otwarcie i wyraźnie) zakwestionowany: „Adam nie mógł znieść literatury jako produktu, towaru, bo taką nazwał raz, w młodzieńczym niemal zaperzeniu, bez miary, tym... tym świństwem. Rozumiałem to, i mnie bowiem najbardziej złowieszcze przykłady panoszenia się pismaków napawały odrazą (...)” (s. 95). Wypowiedź narratora „bez miary” powstaje zatem jakby poza literaturą bądź też: po literaturze, którą unicestwiło nie tylko niezrozumienie potęgowane przez krytyków (osobliwie warszawskich). Wypowiedź ta powstaje po „odwróceniu się od słowa”: „Fakt, że zrzekłem się wszelkiej ambicji słowa, wyrzekłem się literatury na zawsze, takiej literatury, do jakiej aspirowałem, jedynej do jakiej mogłem aspirować, takiej, ku której Adam zwrócił się niepodzielnie – i bezbronną – i bez reszty, i bezkompromisowo, nieugięty, zwrócił się ku niej, nieugiętej, i jej od razu – jak dziecko – poddał, zaprawiony był niesłychaną, niesamowitą goryczą, niesamowitą zwłaszcza w momencie złożenia ofiary” (s. 66).

W ten sposób zarysowuje się intrygujący paradoks: wypowiedź nakierowana na deziluzję, rozprawiająca się po drodze z pozorami, jakie człowiek chętnie stwarza, z kłamstwami (miejsce – tak w sensie geograficznym, jak i duchowym, instytucji, fałszywej świadomości), podtrzymuje jednocześnie największe złudzenie: pisanie, poza wszystkim i wbrew wszystkiemu. A jest to pisanie podobne do metody twórczej Adama, o którym dowiadujemy się, iż ten „wyrugował ze swojego pisania nazwy własne, w każdym razie ich większość (jeśli nie wszystkie). Nawet fakty bezpośrednio wywiedzione ze swego doświadczenia, osobliwego doświadczenia, jak to się mówi bezosobowo, odzierał Adam z nazw własnych, a więc, poniekąd, jego własnych. Wszystko stało się, u niego, tak niewiarygodnie uniwersalne (...)” (s. 53).

Można oczywiście w najnowszej powieści Marka Kędzierskiego doszukiwać się jakiegoś zarysu „prawdy” psychologicznej, tzn. widzieć w opowiadaczu (skrypcie) kogoś zniewolonego przez ciąg reminiscencji. Byłby to wówczas podmiot wędrujący między poszczególnymi zdarzeniami, impresjami i drobnymi obserwacjami z przeszłości, podmiot podejmujący trud rekonstrukcji, powrotu do przeszłości, która odsłania się właśnie jako ciąg niespójnych, nie podlegających żadnej ekonomii reminiscencji. Na podobnej zasadzie można by od biedy doszukiwać się „prawdy” socjalnej czy kulturowej, czyli śledzić i komentować asocjacyjną wędrówkę narratora-bohatera po miejscach (Warszawa, Baden-Baden, Cambridge, La Murre), przechadzkę po środowiskach, językach, kulturach. Ale moim zdaniem, najważniejsza i tak pozostaje praca pisania, ów znak firmowy prozy Kędzierskiego, tekstu „bez (swojej) miary”.

Wypada powtórzyć: tekst bezbrzeżny (bez swojej miary) pojawia się po literaturze, a ściślej rzecz biorąc – po literaturze, która w powieści Kędzierskiego została negatywnie rozpoznana. Nie ma już prostodusznego opowiadania, jest za to jakby nadmiar tekstu, ciągle dopowiadanie, dookreślanie, szaleństwo synonimii, tekstoproduktywność, której nie sposób poskromić. Wskażmy – na chybił trafił – przykład mnożenia tekstu, puchnięcia, pączkowania: „(...) tak jak mogliśmy z takiej właśnie takiej jak u nas Warszawy zrezygnować, takiej Warszawy się wyrzec, od takiej Warszawy się odwrócić i taką Warszawę porzucić [...] nikt, niemal nikt, nicomal, nie został pominięty przez tę naszą Warszawę, że ta nasza Warszawa prawie wszystkich dotknęła, odcisnęła swoje piętno, szkaradne, tandetne, swoją pieczęć, chamską, bydlęcą, lichą pieczęć, tandetną, pieczęć, pieczęć (z) lichym, rozmazanym tuszem (...)” (s. 137).

Do czego prowadzi tekstoproduktywność bez granic? Według mnie – jak wcześniej zauważyłem – do wypełnienia pustki-zaniechania. W ten sposób narrator-bohater bez mia-

ry reaguje na powinności, którym nie potrafi (?), nie chce (?) sprostać. Praca pisania zasympuje rów, głęboką szczelinę, jaka powstała między nim a światem oraz uzasadnia wstydlivy fakt, że wszystko, co może on z siebie wydobyć, to zamiar („zamiar ruszenia dalej”). Lecz nawet ta intencja jest ciągle odwlekana: ostatnie słowo, zarazem zdanie, powieści brzmi „Jutro” i nie posiada kropki.

Dariusz Nowacki

Marek Kędziński, „bez miary”, Oficyna Literacka, Kraków 1997.

Grzegorz Kalinowski Przeciw „pustyni obłądu”

Czytam „Brewiarz Europejczyka” Zygmunta Kubiaka po raz kolejny. Zawsze olśnienie. Ukryte w nim siła i moc nakazują ponawiać lekturę. Bogactwo kolejnych medytacji jest tak wielkie, że książka po prostu onieśmiela. Zachwyca głęboką erudycją, zachwyca przejrzystością kompozycji całości, zachwyca wreszcie pełnym prostoty, klarownym językiem. Lapidarność i sentencjonalność prawd obudowanych erudycyjnymi wywodami, jakże pomysłowymi i błyskotliwymi, zdumiewa wszechstronnością najtajniejszej i mrocznej, ale i również zwykłej wiedzy o człowieku i jego egzystencji dogłębnie zanurzonej w świecie.

Właściwie lektura wszystkich tomów esejów Zygmunta Kubiaka otwiera ciągle nowe przeszerzenie znaczeń. Tak jest też w przypadku „Brewiarza Europejczyka”. I nigdy dość.

Czytając eseje autora „Półmroku ludzkiego świata” należy zawsze dostrzegać ich formalne mistrzostwo, za którym stoi wielka tradycja polskiego esaju z takimi autorami jak: Stempowski, Vincenz, Miciński, Czapski, Kijowski, a także na intelektualną rafinadę dyskursów. We Wstępie do „Brewiarza Europejczyka” Bohdan Pocię zwrócił uwagę na muzyczność esejów autora „Szkoły stylu”. To, wydaje mi się, bardzo trafne spostrzeżenie. Muzyka jest wszak najbardziej metafizyczną ze sztuk, a całą materię słowną dyskursów metafizyczność dogłębnie przenika.

Składa się „Brewiarz Europejczyka” z pięciu części: „Znaki czasu”, „Konfrontacje literackie”, „Wędrowki”, „Zapiski z wędrówek” i „Apokryfy”. W skład poszczególnych części wchodzi esaje już wcześniej publikowane, jak np. wspaniały esej z lat pięćdziesiątych, na Boże Narodzenie 1956 r., zatytułowany „Natura i obłąd”, a także te najnowsze, m.in. tytułowy, wygłoszony w 1995 r. w Paryżu na sympozjum poświęconym tematowi: „Jakiej kultury Europejczycy potrzebują?” Zygmunt Kubiak porusza się w delikatnej i równocześnie wyrazistej przestrzeni słów, którą wyznaczają arcydzieła literatury światowej – Homer, Wergiliusz, Horacy, Kawafis, Seferis, Szekspir, Dante, Święty Augustyn, Byron, Keats, a także polscy mistrzowie – Mickiewicz, Kochanowski, Janicjusz, Parandowski. Wielcy twórcy, których dzieła trwają niezmiennie. Głos tych wielkich duchów, nie zawsze bywa słyszalny. Zagłusza go historia, zgiełk czasów. Jeśli jednak okazuje się, że jest inaczej, dialog trwa. Rozbrzmiewa w „przestrzeni dzieł wiecznych”, jak nazywa tę sferę Zygmunt Kubiak, rozbrzmiewa też u schyłku XX wieku. I właśnie takim dialogiem jest ostatnia książka esejistyczna wybitnego polskiego hellenisty. Dzieła mistrzów trwają w uniwersalnej czasoprzestrzeni i czekają.

W jednym z apokryfów, w „Liście Teodora do Lucjusza” czytamy: „Słuchaj, ja nieraz sobie myślę, że wszystko, co na ziemi istnieje, jest wydarte, szczęśliwym trafem albo ogromnym wysiłkiem, zagładzie”. To fundamentalna prawda, z której rodzi się złożona refleksja autora. Wydarte zagładzie! Cechy literatury antycznej, które tłumacz „Eneidy” rozpoznał w trakcie obcowania z wielką literaturą i przedstawił w monografii o Kawafisie to: świadomość istnienia nierozwiązywalności i antynomii życia, uznanie siły za czynnik rozstrzygający w życiu oraz oczyszczenie, „katharsis”, piękno, które pozwala trwać, na przekór. To zaobserwowali wielcy Grecy – Horacy, Sofokles, Ajschylos, Kawafis i swe, w gruncie rzeczy, pesymistyczne obserwacje zawarli w monumentalnej literaturze, w swych arcydziełach. Wielka sztuka to „mlecząca forma”, jakże pojemne znaczeniowo i zachwycające określenie, oraz *giorno dolce*, piękny dzień, odczucie pełnej afirmacji świata, i jego akceptacja takim, jakim on jest i człowieka takim, jakim on jest. Zygmunt Kubiak pozwala zobaczyć jak bardzo zablądziliśmy w tym świecie. „Brewiarz Europejczyka” ujawniając trwogę wpisaną w egzystencję, ma moc oczyszczającą. Wydaje się spełniać wszelkie funkcje, jakie brewiarzowi wyznaczono.

Brewiarz to księga katolicka i liturgiczna. Ustala rytm dnia. Pozwala spać w nocy. Zawiera psalmy, hymny, lekcje, modlitwy, które łącząc się w pełne znaczeń słowne konfiguracje, budują spoiwy wewnętrznie świat księgi. Każda modlitwa jest odkrywaniem ciągle nowych treści, nowych prawd. I tak bez końca. Podobnie w książce Zygmunta Kubiaka.

Odkrywaniu, zawsze urzekającemu i fascynującemu, w obu przypadkach, w trakcie czytania – brewiarza katolika i „Brewiarza Europejczyka”, towarzyszy poczucie niespełnienia, niedoczytania wszystkiego do końca. Na szczęście. Finałem może być jedynie głęboko skryta i mroczniejąca prawda mistyczna objawiona w Apokalipsie. Modlitwa jest źródłem natchnień, pociechy, radości i nadziei. Te doświadczenia są świadectwem poczucia bezpieczeństwa, zdomowienia, mimo wszystko, na przekór zagładzie, w widzialnym i niewidzialnym, jawnym i skrytym, tajemnicy i poznaniu, prawdzie i złudzie. Doświadczenia owe pojawiają się zawsze na przekór lękowi i zwątpieniu, kiedy te złożone i zle doznania stają się wyraziste, czy też tkwią głęboko kryte, nie dając o sobie znać, albo rozbłyskują na progu doznań. Brewiarz katolika rozprasza, a przynajmniej stara się o to, mroki. Wpisuje się w rytm dnia i zstępuje, wydawałoby się, w obcy mu rytm nocy i ciemności. Modlitwy w brewiarzu pozwalają odnajdywać ciągle coś nowego. Tak, jak każdego dnia o świecie, podejmując trud odkrywania tego, co weń wpisane i ukryte, dotrzeć do zmierzchu i niekoniecznie, choćby w najmniejszym stopniu dociec tajemnicy. Narasta we mnie coraz silniejsze przeświadczenie, że „Brewiarz Europejczyka”, nie będąc brewiarzem, jest księgą mądrości życia, księgą rozjaśniającą mrok, księgą mądrości życia Europejczyka u schyłku XX wieku.

Zygmunt Kubiak mówi: „Czuje się tak, jakbym stał wobec końca świata, takiego świata, jaki znałem, i dźwięczą mi w uszach słowa, które Paul Valéry, może przedwcześnie napisał po pierwszej wojnie światowej: «My cywilizacje, już wiemy, że jesteście śmiertelne...»”.

Odechodzi świat, w którym trwa niejasny „proces cywilizacyjnej mutacji”, a jego skutki pozostają niewiadome. Świat, jaki się rysuje, zdaniem Zygmunta Kubiaka, to świat zdechrystianizowany, w którym otwarcie na metafizykę jest dość niejasne. Chwieje się w posadach. Brak mu wyraźnie określonych hierarchii, skal wartości. Nihilizm i pustka ogarniająca ze wsząd. Pusta transcendencja. Tu nie ma żadnych złudzeń. Może nawet niekoniecznie chodzi o zagładę, ale o coś, co zrodzi się w przyszłości, a czego po prostu nie sposób przewidzieć. To niejasne intuicje, które z pewnością w medytacjach Zygmunta Kubiaka są konsekwencją wnikliwej obserwacji świata od antyku aż po XX wiek, wnikliwych studiów nad grecką historią, literaturą, tak jak i historią narodów i ich literatur. Oczywiście autor ma swoje wy-

brane i ulubione obszary. Z drugiej strony nawet jeśli refleksje autora idą w kierunku apokaliptycznym, to przecież nie są pozbawione podstaw. Niepojęty znak, czasu – tragedia Czarnobyła. Gwiazda Piolun z Apokalipsy św. Jana zatruwająca tamte ziemie i ludzi. Ohyda moralna czasów totalitaryzmu, kiedy na śmierć lub cierpienie skazywano miliony, bojąc się ujawnienia prawdy i mając w pogardzie człowieka. Dokonując co dzień mordy na jego wnętrzu. To budzi odrazę. Tragedia Czarnobyła trwa i nie skończy się jutro. A inne połacie ziemi? A inne ludzkie tragedie? Afryka, Ameryka Łacińska, Azja, Europa do niedawna. Z drugiej strony rosnąca nędza, przeszczepy, eksperymenty medyczne, które nie wiadomo dokąd doprowadzą. „Tutaj groza patrzy w nasze oczy” – mówi Zygmunt Kubiak.

Rację ma autor „Przestrzeni dzieł wiecznych”, gdy twierdzi, że tajemnicą świata jest tajemnica marności, *mysterium vanitatis*, nie tajemnica zła czy jego demonizm, ale właśnie mierność, marność, banal i przeciętność. Falsz iluzji i wmówień. Oto także świat ludzki.

Zygmunt Kubiak, i to jest jeden z najważniejszych fragmentów jego refleksji, twierdzi, że powstałe niegdyś dzieła takie jak „Iliada”, „Odyseja”, „Eneida”, „Boska Komedia”, dzieła Szekspira, tragedia antyczna i inne istnieć będą wiecznie, dla nas i dla przyszłych pokoleń. „Dla Europejczyków to przede wszystkim klasycy greccy i rzymscy oraz Biblia, która naturalnie przekracza kulturę europejską, ale zarazem stanowi jeden z jej fundamentów.” Autor przygląda się więc w swych esejach literaturze, sztuce, wielkim mechanizmom cywilizacyjnym i historiozoficznym procesom. O ile jednak owe wątki myślowe stanowią najszerszy kontekst zwyczajnych ludzkich spraw, to trzeba by chyba uznać je, owe mechanizmy i procesy, za monumentalne dekoracje, w których rozgrywa się kolejny akt dramatu, jakim są dzieje świata i człowieka. Obok wnikliwego i fascynującego opisu przestrzeni swych wędrówek po Grecji, Włoszech, Anglii Zygmunt Kubiak rozprawia o człowieku. Zstępuje w jego głąb, przyglądając się naturze ludzkiej, bytowi, zagadce wpisanej w narodziny, życie i śmierć. Tu tkwi tajemnica, nad którą można się jedynie pochylić. On ją tropi, ale także strzeże zarazem. Czyni to także wielka literatura i sztuka. Do świętości, wielkości, można jedynie zbliżać się „na paluszkach”, a nie jak barbarzyńcy, Hunowie, czy wyznawcy totalitarnej ideologii, wdzierać się do świątyni w zabłoconych butach. Zygmunt Kubiak obcując z wielką literaturą, całą wielką tradycją śródziemnomorską, odkrywa w niej schronienie przed coraz bardziej napastliwym i obcym światem, ale także niewyczerpane i bogate źródło tradycji, źródło natchnień i inspiracji. To właśnie w przestrzeni dzieł wiecznych tkwi miara, gdzie odnalazł ewangelijną trzcinę i mierzy nią świątynię, która może być metaforą całego świata. Antyk grecki, rzymski skojarzony jest z chrystianizmem.

Czytając ostatni zbiór esejów autora „Półmroku ludzkiego świata” miałem nieodparte skojarzenie z „Próbnami” Montaigne’a. Bardzo podobne to światy. Obaj autorzy snują swe wywody czerpiąc w dużej mierze, jak ze źródła, z tradycji hellenistycznej. Rozumiejąc niemożność uwolnienia się od procesów, które stwarza cywilizacja, Zygmunt Kubiak pozostaje pełen wyrozumiałości dla istoty ludzkiej. Wie, że jest ona ułomna i niedoskonała. Stąd tolerancja i zarazem głębokie poczucie wspólnoty. Tak samo u Montaigne’a. Inne są jedynie historyczne doświadczenia autorów.

„Muszę uznać – pisze Zygmunt Kubiak – że żyję w okresie, kiedy nie mogę dawać żadnych rad, mogę tylko w całej szczerości, mówić o tym, co osobiście wybrałem, może ktoś pójdzie w moje ślady. Przyzwyczajam się do tego, by żyć w duchowej samotności, otoczonej sferą mało zrozumiałą. Stopniowo uczę się traktować degenerującą się cywilizację jako coś zewnętrznego wobec mojego życia duchowego.”

Duchowa samotność – stan umożliwiający wnikać głębiej, zrozumieć, o ile to możliwe, i rozpoznać świat w kształcie takim, jaki on jest. Tu tkwi ocalenie. Ale to ocalenie trudne,

wymagające heroizmu. Odosobnienie, o którym pisał Mistrz Eckhart, a później nawiązywał do niego Heidegger.

„Pośród ruin przebrzmiałych złudzeń opieram się coraz bardziej na tradycji, która karmiła mnie od dzieciństwa. Znajduję w niej niewyczerpalne źródło pouczenia”. Spuścizna antyku grecko-rzymskiego oraz Biblia wyznacza przestrzeń ocalenia. Dopiero tam jest miejsce duchowej samotności. Reszta zgiełkiem i jazgotem. Zbędnym wrzaskiem. I tutaj daje znać o sobie moc i siła tradycji antropocentrycznej. „Uczy ona, co powinienem szanować: przede wszystkim naturę ludzką, stanowiącą główny przedmiot całej myśli greckiej i rzymskiej, naturę, która w naszej epoce znajduje się w niebezpieczeństwie”. Być może to najważniejsze przesłanie z „Brewiarza Europejczyka”.

Koncepcja człowieka jest w medytacjach autora przekładu „Wyznań” św. Augustyna koncepcją tragiczną. Warunkuje ją rozbudowana świadomość, tak jak w dramatach antycznych, i imperatyw ciągłego przekraczania samego siebie. Człowiek skazany na samotność nie może porozumieć się z innymi. Doznaje krzywd, których nie może nigdy wybaczyć, a owe krzywdy pozostają na wieki „żywą raną”. Spectaculum marności, w którym ma wątpliwą przyjemność uczestniczyć. Ból utraconego dzieciństwa każe cierpieć nieustannie i przywoływać fantomy. „Miłość w świecie samotna, miłość bezdomna ...” Placzemy nie nad losem innych, ale nad sobą. Przywołuje Zygmunt Kubiak scenę Homerowej „Iliady”, kiedy to „placzki na pogrzebie Patrokla szlochają pozornie nad Patroklem, lecz w sercu każda nad własną niedolą”.

„Myśl grecka i rzymska – zauważa autor – była w dużej mierze pesymistyczna. Równie pesymistyczna była w późniejszych wiekach i jest do dziś, znaczna część wielkiej literatury”. Nie znaczy to absolutnie, że literatura eksponująca optymizm jest gorsza, płytsza. „Jest w świecie, w naszym bytowaniu tu na ziemi, wiele węzłów, których nie da się rozwikłać, są wewnątrz życia takie antynomie, dla których nie ma rozwiązania”.

Brewiarz katolicki to również „krótki spis, wyciąg, skrót”. Brewiarz autora „Mitologii Greków i Rzymian” zaś to przecież także wyciąg, skrót, spis arcydzieł literatury światowej oraz refleksji i dyskursów z niej wypływających, i na niej się piętrzących.

„Co przekazać potomnym? Pokorę wobec natury ludzkiej, takiej, jaka jest, wobec jej praw i pragnień, wielkich i małych, prometejskich i śmiesznie codziennych. Z niej wyrasta zło i krzewi się marność, ale tylko ona może być podłożem dla dobra i tylko ona daje człowiekowi siłę do buntu przeciw jej własnej marności. Od niej mamy łaskę ziemskiej miłości i łaskę lęku wobec tajemnic. W niej spoczywa dla nas miara wszystkich wartości i ocen, nawet tych, którzy ją potępią. Po jej przekroczeniu oczekuje nas już tylko pustynia oblędu.”

Ten passus mówi wszystko. „Brewiarz Europejczyka” Zygmunta Kubiaka jest źródłem siły, mądrą książką, w której piękno, prawda i dobro mieszkają razem.

Grzegorz Kalinowski

Zygmunt Kubiak, „Brewiarz Europejczyka”, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1996.

Grecja Krzysztofa Głombiowskiego

W przeciwieństwie do stosunkowo licznych itinerariów poświęconych starożytnej Italii nie możemy się pochwalić nadmiarem opisów podróży po antycznej Grecji. Dobrze więc, że do międzywojennych „Dwu wiosen” Jan Parandowski i „Podróży do Grecji” Mieczysława Jastruna (1978) doszła ostatnio książka Krzysztofa Głombiowskiego „Po Grecji klasycznym szlakiem” (1997). Jej autor jest profesorem filologii klasycznej Uniwersytetu Gdańskiego, znanym w gronie badaczy starożytności przede wszystkim z monografii Ksenofonta (1993), „żołnierza i pisarza”, który przez pewien czas był wraz z Platonem uczniem Sokratesa.

Głombiowski odbył swą grecką podróż jesienią 1987 r. i wówczas powstała ta książka, która, nie wiadomo dlaczego, czekała tak długo na światło dzienne. Datę tę przywołuję tu rozmyślnie, by uświadomić, że podróż do Grecji wymagała wówczas jeszcze wizy, a i poruszanie się po tym kraju dla Polaka nie było wcale takie łatwe, jak jest to dziś, bo skazany był albo na zorganizowane wycieczki, albo na kiepską tamtejszą sieć kolejową i komunikację autobusową zmuszającą go do rezygnacji z dotarcia do wielu miejscowości. Stąd też Jastrun jak i Głombiowski nie byli ani w Bassaj w Arkadii, gdzie w niepowtarzalnej scenerii znajduje się dorycka świątynia Apollona Epikuriosa – Wspomożyciela, wzniesiona w 420 r. przed Chrystusem., ani w Sunion, gdzie na nadmorskiej skale wznosi się świątynia Posejdana, czy wreszcie w Dodonie w Epirze, ważnym dla kultury greckiej sanktuarium Dzeusa, które w r. 1875 odkrył Polak Minejko. Sam doświadczyłem kiedyś tego niedosytu, który zrekompensowała mi dopiero późniejsza wyprawa do Grecji samochodem.

Głównymi przewodnikami Autora po Grecji są oczywiście współczesny Chrystusowi grecki geograf Strabon, którego dzieło się zachowało i Pauzaniusz (II w.) ze swym unikalnym „Przewodnikiem po Helladzie”. Wypada nadmienić, że to drugie dzieło przyswoili kulturze polskiej filozofowie KUL-u, przekład Strabona zaś przygotowuje ośrodek wrocławski. Dziewiętnastowieczna nauka kwestionowała wprawdzie kompetencje Pauzania i wiarygodność jego informacji, dziś jednak oddaje mu się ponownie honor i tak jest też w omawianej książce. Poza wymienionymi tu autorami czytelnik natrafia co rusz również na innych pisarzy, bez dzieł których nie rozumielibyśmy przecież fenomenu kultury greckiej, że przywołam tu *exempli gratia* Plutarcha (I i II w.), nasze podstawowe źródło poznania spraw dotyczących wyroczni Apollona w Delfach.

Głombiowski przypominając mity łączące się z poszczególnymi miejscowościami, czy też zabytkami sztuki lub nawiązując do jakichś dyskusji archeologicznych, nie czyni tego jakby wykładając *ex cathedra*, tylko poprzestaje często na zasygnalizowaniu problemu. *Sapienti sat.*¹ Tak jest chociażby, gdy wspomina o zakwestionowaniu autentyczności Hermesa Praksytelesa w Olimpii, co wydaje mu się nieprawdopodobne, czy też gdy przeciwstawia dekadentyzmowi wizerunek Antinoosa (II w.) w Delfach tamtejszemu Woźnicy (V w. przed Chrystusem) będącemu „uosobieniem najważniejszych wartości greckiej kultury w najszczytniejszym okresie jej dziejów”. Przed dwudziestu laty pisałem o książce Jastruna, że dyktowało ją nie tylko serce, ale i rozum, przez co nie jest łatwa. Wypada mi powtórzyć to

¹ lac. na własne oczy (red.)

samo o itinerarium Krzysztofa Glombiowskiego, gdyż Autor zakłada u czytelnika sporą orientację w kulturze antycznej, a równocześnie zmusza go, by w czasie lektury zaglądał ponownie do albumów, tekstów starożytnych autorów, kompendiów, czy sięgał do wspomnień własnych wędrowek po Helladzie. Stąd też szkoda, że do książki nie dołączono podstawowej bibliografii w języku polskim, a jest już w czym wybierać.

Podkreślić trzeba, że Autora interesują nie tylko takie miejscowości jak Ateny, Korynt, Epidauros, Olimpia, Delfy czy Mykeny, ale i te małe, jednak tak ważne w kulturze greckiej, jak chociażby dzisiejszy klasztor Osios Lukas, znajdujący się w pobliżu sławnego z tragedii Sofoklesa „Król Edyp” skrzyżowania dróg, na którym Edyp zamordował swego ojca Lajosa, czy też Cheronia, gdzie Grecy w r. 338 przed Chrystusem utracili na zawsze niepodległość.

Wszystko to świadczy, że Krzysztof Glombiowski Grecję kocha i szkoda, że dane mu było zobaczyć ją dopiero, kiedy zdobył już w filologii klasycznej naukowe ostrogi. Stąd też, podobnie jak Mieczysław Jastrun, niejednokrotnie komentując swoją „albumową”, tyle lat pieszczoną w sobie, wizję „ojczyzny z wyboru” z rzeczywistością stwierdza, że nie przystają one do siebie, że dopiero teraz uchwycił właściwe proporcje jakiegoś zabytku, jak chociażby wysokiego na ponad trzy metry Apollona z przyczółku świątyni Dzeusa w Olimpii. Dlatego może owa nuta zrozumiałej zazdrości, kiedy pisze o napotkanych tam uczniach klasycznych niemieckich gimnazjów, którym dane jest wręcz zaraz poznawać *oculis propriis*² to, o czym uczą się w szkołach.

Tak wysmakowana książka o antycznej Grecji aż prosi o dobre ilustracje, które tu zastąpiono kiepskimi rysunkami pewnych dzieł plastyki wykonanymi przez Andrzeja Taranka. Tak zwany „Umierający Trębacz”, znajdujący się wszak w Muzeum Kapitołińskim w Rzymie świadczy, że dobrano je przypadkowo. Podobnie jak i przerys metopy z Partenonu, przedstawiającej Lapita tryumfującego nad Centaurem (s.65), znajdujący się wszak w British Museum w Londynie, a nie w muzeach Grecji. Przedstawienie jej na dodatek odwróconej, co może być błędem druku, budzi zażenowanie.

Marian Szarmach

Krzysztof Glombiowski, „Po Grecji klasycznym szlakiem”, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 1997, s.195.

¹ lac. zorientowanemu wystarczy (red.)

„Ex Libris” na Zamku

Rozmowa o literaturze polskiej grudzień 1997 r. (fragmenty)

Ankieta została przygotowana przez zespół „Ex Librisu”. Stanowi ona zapis dyskusji, która odbyła się w dniu 19.12.1997 r. w Zamku Ujazdowskim z udziałem: Ryszarda Matuszewskiego, Henryka Berezy, Przemysława Czaplińskiego, Piotra Śliwińskiego, Kingi Dunin, Dariusza Nowackiego, Jarosława Klejnockiego. Zapis całej dyskusji można znaleźć w internecie: <http://www.exlibris.pol.pl/cgi-a>. (red.)

Dariusz Nowacki

Zamiast wstępu

Marek Bieńczyk wychwyił kiedyś związek między liczbą partii politycznych i liczbą powieści: we Francji kilkaset książek rocznie i kilkanaście partii, w Polsce – dokładnie odwrotnie. Czegóż się więc spodziewać po arcypolitycznym, wyborczym roku 1997?

Rok 1997 nie był dobrym rokiem dla polskiej prozy. Mam wrażenie, że poprzedni sezon był i bogatszy, i ciekawszy. Ale tak naprawdę martwi mnie co innego: jeżeli w ciągu roku dochodzi do tak niewielu premier literackich (w prozie artystycznej), to w przypływie desperacji zaczynają zachwycać produkcje co najwyżej poprawne, a dobre nie ma okazji konkurować z lepszym.

Dwadzieścia, może dwadzieścia pięć tomów nowej prozy rocznie, to po prostu kompromitacja! Ostatni sezon wyraźnie potwierdził też wygaśnięcie koniunktury, z jaką mieliśmy do czynienia w latach – powiedzmy – 1993-1995. Mam na myśli ów niesamowity festiwal młodej literatury, jej dynamizm i agresję. I choć przesilenie miało miejsce nieco wcześniej, to jednak dopiero rok 1997 potwierdził fakt zniesienia punktów preferencyjnych, co w praktyce oznacza powrót do normalności: nowe książki Nataszy Goerke i Izabeli Filipiak są po prostu nowymi książkami, a nie „wydarzeniami”, gwiazdy niegdysiejszej literatury trzydziestolatków nie biorą już całej puli dla siebie, a o względy krytyków i publiczności czytającej zabiegają dziś na takich samych prawach, jak... Gustaw Herling-Grudziński, autor „Gorącego oddechu pustyni” i „Don Ildebrando”.

Książki najlepsze?

Ucho od śledzcia! Rok 1997 nie był najlepszym rokiem dla polskiej literatury i trudno coś wybrać. Skoro jednak trzeba, to entliczek-pętliczek, czerwony stoliczek i moje typy: Izabeli Filipiak „Niebieska menażeria” i Grzegorza Musiała „Al fine”.

Uzasadnienie: Bardzo lubię Iżę Filipiak. W końcu miłość to nie tylko męska sprawa i choć nie wiem, czy stać mnie wobec kogokolwiek, nawet wobec Izy, na tak głębokie i płomienne uczucie, jakie żywi Michał Cichy dla Andrzeja Stasiuka, to przecież mogę pochwalić jej książkę. Kilka opowiadań jest naprawdę znakomitych!

Wciąż nie jestem pewna, czy „Al Fine” Grzegorza Musiała podoba mi się, czy nie, na pewno jednak jego książka mnie poruszyła, a to już coś na tle ogólnej nudy i szarzyzny.

Aneta Górnicka-Boratyńska

W Polsce książek (poza literaturą trzeciorzędą) prawie się nie reklamuje. A dobra reklama dobrych książek wywołałaby zbawienne dla kultury zjawisko snobizmu: chęć, by czytać, by wiedzieć, kto napisał, a przynajmniej – by mieć. Oczywiście bywa też tak, że „reklama” (pochlebne recenzje, mądre wypowiedzi autorów i zachęty wydawców) okazują się całkowicie nieprzystające do tego, co prezentuje sam tekst. Tak było w przypadku „Plamki światła” Piotra Krawczyka (rzadka to sytuacja, gdy debiutujący pisarz ma promocję i poparcie tak poważnego i zamożnego wydawnictwa jak Muza). Książka ma sporo uroku, jest oparta na oryginalnym pomysłe, ale pretensjonalność, językowa sztuczność i rażące błędy konstrukcyjne, nie pozwalają jej poważnie traktować. Można wskazać więcej przykładów powieści, które bazując na stereotypach i poetyce literatury popularnej (nie byłoby w tym nic złego – brakuje takich książek z rodzimymi realiami) udają „poważną” tematykę społeczną i głębię psychologiczną.

Jednak jedyne powieści, wokół których w tym roku było naprawdę głośno (ukazały się w 1996, ale rozgłos – dzięki nagrodzie Kościelskich, nagrodzie NIKE oraz plebiscytowi czytelników „Gazety Wyborczej” – zdobyły w 1997) i które w moim przekonaniu w pełni na to zasłużyły, to „Prawiek” Olgi Tokarczuk i „Widnokrąg” Wiesława Myśliwskiego. Obydwie książki są oparte, jak przyznała autorka „Prawieku”, na podobnym pomysle i temacie. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, zastanawiając się nad ich szczególną popularnością, powiedziała: „To dziwny zbieg okoliczności, tak jakby była dziura, obszar do zapełnienia, który został pominięty w literaturze”. Wspólny obszar, jaki zapełniają te dwie powieści autorów, których dzieli dosłownie wszystko (pleć, wiek, doświadczenia historii, wspierające ich twórczość środowiska krytyczne), to całościowe spojrzenie na człowieka (nie na rolę, fragment, odbicie, mechanizm), którego podmiotowe i twórcze bycie w świecie jest niepodważalne. Ta tradycyjnie epicka perspektywa w męskiej wersji Myśliwskiego przybiera formę jednostkowej rekonstrukcji i tradycji, w żeńskiej – Tokarczuk – postać konstrukcji mitu. Obydwa teksty miały ambicję stanowić pełny i uniwersalny zapis ludzkiego istnienia – uczuć, wartości i więzi.

Obok książek głośnych warto wspomnieć o tych niedocenionych, a wartych poważnej dyskusji. Chciałabym wspomnieć o dwóch: o „Al Fine” Grzegorza Musiała i „Grand Hotel Oriental” Ewy Kuryluk. Jedyne grzechem powieści Musiała może być nadmiar. To książka tak gęsta od wątków i przeżyć, że przytłacza czytelnika bogactwem fabularnym, te-

matycznym i stylistycznym. Musiał jest w tej powieści niezwykle odważny, mówi o tym, o czym na ogół w kulturze polskiej się milczy; narusza tabu, pisząc – czasem brutalnie, a czasem lirycznie – o homoseksualnej miłości, o seksie, ciele, chorobie, śmierci, ambiwalencji uczuć do matki. I choćby ze względu na tę „transgresyjność” rozmowa o „Al Fine” byłaby cenna. Twórczość Ewy Kuryluk nie doczekała się niestety jak dotąd poważnej krytycznej analizy. „Grand Hotel” to, podobnie jak książka Musiała, powieść „gęsta” i nieco tajemnicza, wielowarstwowa i wielogłosowa, ale – jednocześnie – skrajnie introspekcyjna i klaustrofobiczna. Centrum stanowi w niej zawsze świadomość bohatera. Miłość, ludzie, historia zostają zamknięte w poszarpanym, ale chwilami lirycznym, monologu wewnętrznym. Na tle polskiej literatury to wyjątkowo głęboka i przekonująca biografia psychiczna, wtajemniczenie w procesy myślowe i uczuciowe jednostkowej świadomości.

Krzysztof Varga

Moje typy 1997.

Grzegorz Musiał, „Al Fine”, Marabut.

Bo to książka niezwykle bogata, wielowarstwowa (choć wiem, jak to brzmi), bardzo wymagająca od czytelnika, który się musi przez nią z uporem przebić. Musiał nie boi się odkryć, niebezpiecznie balansować na narracyjnej linii, żonglując przy tym pochodniami. Momentami historyczna „Al Fine” jest książką o niezwykłym wprost potencjale witalizmu. Trzeba takie niełatwe książki wspierać, bo jeżeli nadal nadrzędnym postulatem krytyki będzie usłużność książki wobec czytelnika, to wkrótce okaże się, że wszyscy czytamy tylko Olę Tokarczuk.

Andrzej Stasiuk, „Dukla”, Wydawnictwo Czarne.

Bo wierzę w zbawienie poza fabułą, „bohatera niezakorzonego”, brak linearnej akcji i łańcucha przyczynowo-skutkowego, poezję w prozie, domenę opisowości, subiektywność i śmierć jako jeden z głównych tematów literatury. Wierzę, że metafizyka jest ważniejsza od spraw społecznych, zaś jednostkowa perspektywa istotniejsza niż panorama społeczeństwa. „Dukla” jest trafną odpowiedzią na dziwny i niepokojąco pojawiający się postulat, że należy pisać powieści o problemach tworzącej się klasy średniej.

Ewa Kuryluk, „Grand Hotel Oriental”, W.A.B.

Bo nie wszystko musi być zrozumiałe dla masowego czytelnika, hermetyczność nie musi oznaczać niekomunikatywności, zaś erudycja być ciężarem, który pisarz winien koniecznie zrzucić, by być „uniwersalnym”. Co prawda bardziej mi się podobał „Wiek XXI”, ale Kuryluk, jako prozaiczka, wydaje mi się – czy nie najlepszą w tej chwili – przedstawicielką literackiej awangardy w literaturze polskiej. Może żeby pisać powieści tak tchnące literacką wolnością, należy przybywać z dala od tego kraju?

Jarosław Klejnocki

Książki najlepsze.

Andrzej Stasiuk, „Dukla”

Najlepsza, jak na razie, książka autora „Białego kruka”. Odejście od fabuły, ale w kierunku ulirycznionego, impresjonistycznego i silnie zmetaforyzowanego języka. Raczej eseistyka niż proza. Klarownie widać, że Stasiuk to pisarz ewokujący problematykę metafizyczną, a obyczajowo-alkoholowe realia stanowią jedynie dekorację.

Grzegorz Musiał, „Al Fine”

Powieść obnażająca, demaskatorska: więc zadziwiająco szczerze, jak na stosunki w nowej polskiej literaturze ostatnich lat, stawiająca pytania o kształt naszej rzeczywistości. Jest to proza drażniąca. Nie oferuje identyfikacji, raczej irytuje – ale „twórczo”. To znaczy wytrąca z codziennej gnuśności emocjonalno-intelektualnej. Szokuje drastycznością szczegółów (obyczajowych, autobiograficznych), stawia pytania o prawdę egzystencji.

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, „Liber mortuorum”

Czwarty tomik jednego z najbardziej oryginalnych poetów „generacji trzydziestolatków”. Genialny melanz barokowej i współczesnej polszczyzny, zaklęty na dodatek w klasyczne formy wiersza. Mało kto tak umie pisać o śmierci i cierpieniu.

Dariusz Nowacki

Trzy prozy dobrze zapamiętane.

Dariusz Bitner, „Pst”, Wydawnictwo Basil, Szczecin 1997.

Bitner w ostatnich latach publikuje sporo, ale dopiero trylogia („Cyt”, „Sza”, „Pst”) zebrana w jednym tomie i speuntowana narracją „Most Długi” uzmysławia, że niepodobna dłużej lekceważyć tego pisarza. Dariusz Bitner – czy to się komuś podoba, czy nie – to wybitny prozaik średniego pokolenia. „Cyt” to summa Bitnerowskiego pisarstwa, miejsce, w którym skupiły się najważniejsze motywy i obsesje, chwyt i techniki narracyjne tej prozy. To po prostu lektura obowiązkowa.

Marek Kędzierski, „bez miary”, Oficyna Literacka, Kraków 1997.

Po bardzo dobrym „Bezłudziu” i nieco mniej efektownej „Modliszce”, kolejna dawka prozy najwyższej próby. Marek Kędzierski – podobnie jak Bitner, choć z zupełnie innych powodów – to pisarz lekceważony. Owszem, podziwiany jako znawca i tłumacz Becketta, ale o jego twórczości oryginalnej mało kto słyszał i jeszcze mniej pisał. A szkoda! Powieść „Bez miary” zapowiada chyba pewien zwrot w prozie Kędzierskiego, dręcząca to książka, wymagająca wielokrotnej lektury i absolutnie wyjątkowego skupienia. Rzecz koneserska, lecz wysilek się oplaca.

Grzegorz Musiał, „Al Fine”, Wydawnictwo Marabut, Gdańsk 1997.

Bez wątpienia najlepsza rzecz w dotychczasowym dorobku Grzegorza Musiała i bodaj jedna z najważniejszych premier literackich ostatnich sezonów. Powieść z rodzaju tych, jakich się ostatnio nie pisze – literatura wielkich pytań i odpowiedzi oraz arcyważnych tematów: śmierć, zbawienie, świętość, miłość, zbrukanie... „Al Fine” również nie miała najlepszego przyjęcia i nawet to, że nadrzędnym wątkiem powieści są rozterki katolickiego geja, niewiele książce pomogło.

NOTY O KSIĄŻKACH

Nowy tomik poetycki Ewy Sonnenberg „Kraina tysiąca notesów” ma wiele cech właściwych jej wcześniejszym poematom, lecz wnosi również elementy nowe. Ważną rolę odgrywa słowo jako tworzywo, jego znaczenia i nieoczekiwane zestawienia tych znaczeń, odsyłające do różnych wymiarów rzeczywistości („przekraczam granice państw i transcendencji”).

Wiersze Sonnenberg zbudowane są na kontrastach: wzniosłość i patos występują razem z prozą życia, prostota z zawikłaniem, staroświeckość z nowoczesnością. Wielokrotnie obok jednego znaczenia pojawia się jego zaprzeczenie: „równanie z wiadomymi niewiadomymi, krzyk spada i nie spada”. Celowo dobrane kontrasty wyrażają pomieszanie i współistnienie wartości sobie przeciwnych we współczesnym świecie.

Sensy użytych w wierszu słów w pewien sposób przenikają się – słowo następujące po danym słowie tworzy z nim określone znaczenie, ale może również ustanawiać nową treść ze słowem kolejnym. Ten sposób pisania pogłębia wieloznaczność, daje możliwość szerokiej interpretacji. W podobnym celu stosuje autorka gry słowne, polegające na zacieraaniu się znaczenia dosłownego i przenośnego, czego efektem jest subtelny humor.

Znamienną cechą rzeczywistości przedstawionej w wierszach autorki „Hazardu” jest wielość, jakby nadmierna obfitość wszystkiego – przedmiotów, osób, czynności, zjawisk. I ta obfitość kształtuje określony typ człowieka egzaltowanego, nadmiernie wrażliwego, słabego psychicznie i fizycznie, zatracającego poczucie różnicy między męskością i kobiecością.

Ukazuje się często przed czytelnikiem dość przygnębiający obraz życia, którym systematycznie rządzą te same mechanizmy, wprowadzające jednostajność. Wszystko jest podporządkowane nieuchronności i niszczącej sile przemijania. Właściwa Ewie Sonnenberg skłonność do ironii i groteski może być sposobem wyrażania niepokoju przeżywanego przez osobę żyjącą w specyficznych czasach końca wieku.

Karol Maliszewski w posłowniu do omawianego tomiku stwierdza, że „Ewa Sonnenberg zmierza w stronę form ścisłych, kameralnych”. Pośród prezentowanych utworów znajdują się też krótkie, gnomiczne wiersze, nie dające się do końca wyjaśnić, mimo pozornej zwyczajności i prostoty. Ta metafizyczna zagadkowość występuje także w pozostałych, tych dłuższych, bardziej rozbudowanych wierszach, w których mowa o konkretnych przedmiotach, znanych z życia codziennego (jeżeli jest to realizm, to jedynie realizm magiczny).

•Dużą zaletą sposobu wypowiedzania się autorki „Krainy tysiąca notesów” jest umiejętność uchwycenia rzeczy w bardzo trafnych sformułowaniach, oddających ich istotę. Z opisywanego obiektu potrafi poetka wydobyć cechę najbardziej charakterystyczną, choć nieuchwytną dla mniej uważnego obserwatora. Ewa Sonnenberg dąży do tego, aby, unikając wielosłowia, ograniczyć się do słów najważniejszych.

E.G.

Ewa Sonnenberg, „Kraina tysiąca notesów”, Oficyna Wydawnicza „Obok”, Dzierżoniów 1997 r.

*

Charakterystyczną cechą twórczości Marcina Barana są celowo dobrane antynomie. Sygnalizuje już o nich sam tytuł nowego tomiku wierszy, „Sprzeczne fragmenty”. Obok siebie pojawiają się diametralnie różne sposoby obrazowania: opisane sytuacje przedstawione w formie obrazków obyczajowych, znajdują się w sąsiedztwie wyszukanych obrazów i metafor.

Marcin Baran zestawia niekiedy to, co wielkie i ogólne, z tym, co drobne i jednostkowe, jakby chciał w jednym wierszu zawrzeć jedność i wielość rzeczywistości, która otacza człowieka. W wielu przypadkach taka metoda wyrażania myśli o świecie daje zabarwienie ironiczne. Ta ironia, na zasadzie paradoksu, pojawia się niejednokrotnie w utworach, w których jednocześnie dominuje zaduma i melancholia. Niewykluczone, że w ten sposób ujawnia się poczucie zagrożenia, wynikające z pesymistycznej wizji ludzkiego życia, zdehumanizowanego, pozbawionego wyższych wartości. Piękno i brzydota istnieją obok siebie, natura zostaje ukazana w swoim rozkwicie, lecz również (znacznie częściej) w stanie rozkładu. Naturalizm, a nawet turpizm, służy do ukazania materii ulegającej zniszczeniu i przeważnie kojarzonej ze złem.

Negacja i pesymizm to nie jedyny i ostateczny sens poezji autora „Pomieszenia”. Często spotykanym motywem jest niespełnienie, wprowadzające nastrój oczekiwania, tęsknoty za czymś bliżej nieokreślonym.

Świat przedstawiony jako zbiór pewnych możliwości staje się rzeczywistością dynamiczną, będącą w ciągłym ruchu. Deszcz, o którym czytamy w wielu tekstach, jest czynnikiem wprowadzającym tę zmienność. Obrazy poetyckie zmieniają się jak w kalejdoskopie – jeden zostaje zastąpiony drugim, odmiennym od poprzedniego.

Marcin Baran w swych wierszach wyraża tęsknotę za takimi kategoriami jak piękno i dobro, lecz czyni to – paradoksalnie – jakby przez zaprzeczanie im. Wiele wskazuje na to, że właściwy pocie niepokój pomaga w poszukiwaniu tych najbardziej trafnych słów, stanowiących o oryginalności i sensie tekstu poetyckiego.

E.G.

Marcin Baran, „Sprzeczne fragmenty”, Wydawnictwo „a5”, Poznań 1997 r.

*

Czy artystyczny dandyzm, a więc postawa niezaangażowania w nic co nie jest sztuką, może być jakąś paradoksalną postawą polityczną, wyrazem zaangażowania? Zapewne tak w państwach ideologicznych, gdzie wszyscy mają obowiązek wyznawać religię rządową i gdzie władza przywykła traktować sztukę instrumentalnie.

W Polsce „apolitycznie apolitycznym” dandysem był choćby Leopold Tyrmand. Jest nim też Zbigniew Herbert z „Potęgi smaku”, dopiekający komunistycznemu mocodawcy swą pogardą estetyczną.

Czeskim paradoksalnym pięknoduchem literackim jest Milan Kundera, który w „Zdradzonych testamentach”, swym nowym zbiorze esejów, broni z takim zapalem autonomizacji sztuki (po prostu „sztuki dla sztuki”), jakby nadal żył w czerwonej Pradze, a nie od 20 lat we Francji, na wolności, w demokracji.

Zdaje się, że demokracja jest tego rodzaju szczęściem i nieszczęściem dla artystów, iż pozostawia ich samym sobie, mało interesując się tym jak żyją i czy żyją, w co się angażu-

ją lub nie angażują. Rynek czeka na wyroby artysty, placąc za piękno i użyteczność, ale nie „ideowość” wytwórców.

„Zdradzone testamenty” składają się z dziewięciu esejów, skomponowanych muzycznie, czy filmowo (Kundera studiował sztukę filmową i kompozycję muzyczną). Wciąż powtarza się główny temat – autonomizacja sztuki – od którego odbiegają i do którego nawracają kolejne wariacje, improwizacje, przetworzenia, dygresje. Aktorami „Zdradzonych testamentów” są m.in. Franciszek Kafka i Max Brod, Strawiński i Ansermet, Nietzsche i jego wiarołomni egzegeci, Rabelais i księża inkwizytorzy, Salman Rushdie oraz ajatollah Chomeini.

Max Brod dwojako zdradził testament Kafki. Najpierw dość pozytywnie, gdyż wbrew życzeniu pisarza nie zniszczył jego spuścizny. Dalej negatywnie, bowiem stał się kafeologiem, lecz zdaniem Kundery nieudanym, a przy tym wpływowym, interpretującym twórczość autora „Procesu” filozoficznie, metafizycznie, biograficznie, zamiast artystycznie, estetycznie, formalnie. Podobnie Ansermet zdradził Strawińskiego, dyrygując jego muzyką wbrew jej duchowi. Egzegeci Fryderyka Nietzschego chcieli w tym myślicielu widzieć ideologa i twórcę systemu: znów źle. Nietzsche jest eseistą, typowym autorem „prób” intelektualnych; jest literatem, artystą.

Salman Rushdie został zdradzony przez zachodnie koła opiniotwórcze, które zgodziły się, że jego „Szatańskie wersety” mogą obrażać uczucia religijne wyznawców islamu, choć rzecz jasna potępiły rozkaz zabicia pisarza a, wydany przez szefa irańskiej teokracji. Wedle Kundery Rushdie jest całkiem niewinny! Sztuka, w tym sztuka powieści, tworzy byty wirtualne, a nie dokumenty czy projekty samej rzeczywistości (religia należy do rzeczywistości). Jej głównym tworzywem jest forma.

No tak, ale co począć, gdy pisarzowi, igrającemu z formą, zdarzy się poprzec jakąś niezbyt słuszną sprawę sposobem pozaartystycznym? – Wtedy również należy być pobłażliwym! – podkreśla Milan Kundera. Zapakowanie do klatki dla dzikich zwierząt Ezry Pounda w odwiecie za jego audycje w radiofonii Mussoliniego było barbarzyństwem.

Przyznam, że jako człowiekowi pióra odpowiada mi ta jednoznaczna obrona pisarzy, nie jestem tylko pewien, czy istnieje szersze przyzwolenie na podwójną moralność dla artystów i dla reszty ludzi?

W jednym łatwo się z autorem „Zdradzonych testamentów” zgodzę: że np. kultura masowa nie powinna do swych nędznych celów przykrawać gigantów ducha. Telewizyjna reklama papieru toaletowego wzbogacona muzyką Brahmsa brzydzi Kunderę, i mnie też. A w Polsce trwa spór wokół nadania jednej z wódek imienia Szopena. W erze medialnej honoraria autorskie, a więc wymierna wartość artystów, bywa ułamkiem ceny dzieła kultury. I już z tego najprostszego powodu mało kto się dziś z twórcą, głównym niby podmiotem prawa, liczy...

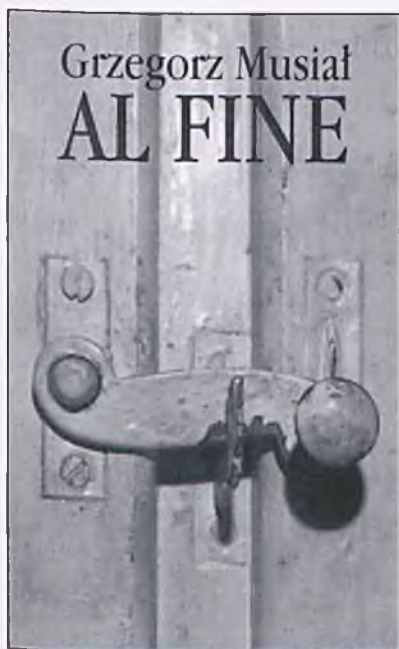
M.C.

Milan Kundera, „Zdradzone testamenty”. Z francuskiego przełożył Marek Bieńczyk. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1996.

Punkty sprzedaży *Kwartalnika Artystycznego*

Białystok	Księgarnia „Kontrakt”, Rynek Kościuszki 17
Bielsko-Biała	Galeria Bielska BWA, ul. 3 Maja 11
Bydgoszcz	Księgarnia „Naukowa”, ul. Jezuicka 6/10 Księgarnia „Współczesna”, ul. Gdańska 5 Księgarnia „Powszechna”, ul. Broniewskiego 1 Biuro Wystaw Artystycznych, ul. Gdańska 20 Galeria „Kantorek”, ul. Gdańska 3
Gdańsk	Księgarnia „Maria”, ul. Gen. Berlinga 3 PP Dom Książki – Księgarnia nr 5, ul. Długa 62/63 Księgarnia „Bestseller”, ul. Cieszyńskiego 36/38
Gdynia	EMPIK S-ka z o.o., ul. Świętojańska 68
Giżycko	Księgarnia „Bestseller”, ul. Armii Krajowej 1a
Gliwice PUH	„Mercurius” – Andrzej Warth, ul. Konstytucji 146
Hamburg	Księgarnia Polska „Arkady”, ul. Alter Steinweg 11
Katowice	KMPiK, ul. Teatralna 8 KMPiK, ul. Rynek 18 Księgarnia „Libella”, Plac Sejmu Śląskiego 1
Kraków	Galeria Sztuki Współczesnej „Bunkier Sztuki”, Plac Szczepański 3a Księgarnia „Znak”, ul. Sławkowska 1 Księgarnia „Okapi”, ul. Stradomska 23
Köln	Polnische Buchhandlung Wawel. Stephanstrasse 11
Lublin	Księgarnia „Awro”, ul. Narutowicza 27
Łódź	Galeria 86, ul. Piotrkowska 86 Łódzki Dom Kultury, Galeria FF, ul. Traugutta 18 Księgarnia „Ossolineum”, ul. Piotrkowska 181 Księgarnia „Niezależna”, ul. Piotrowska 102
Olsztyn	PHD „Książnica Polska”, Plac Wolności 2/3
Opole	Księgarnia „Akademicka”, ul. Matejki 12
Płock	Księgarnia „Antykwariat”, ul. Narutowicza 1
Poznań	Księgarnia Cafe Głos, ul. Ratajczaka 39 Ośrodek Rozpowszechniania Wydawnictw Naukowych PAN, ul. Mielżyńskiego 27/29 Księgarnia „Kapitalka” Aleksandra Ślęzak, Aleje Niepodległości 4
Rzeszów	Księgarnia Akademicka „Libra”, ul. Rejtana 16b
Sopot	Księgarnia Artystyczna „Galeria”, Plac Powstańców Warszawy 2/4/6 EMPIK, ul. Bohaterów Monte Cassino 57
Tarnów	Księgarnia „Pan Tadeusz”, ul. Krakowska 47
Toruń	„Index-Books” Księgarnia Promocyjna, Rynek Staromiejski 10 Księgarnia „A. Bednarek”, ul. Szeroka 46 KMPiK, ul. Wielkie Garbary 18
Warszawa	Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa, ul. Krakowskie Przedmieście 7 Księgarnia Uniwersytecka „Liber”, ul. Krakowskie Przedmieście 24 Księgarnia „Reprint”, ul. Krakowskie Przedmieście 11 Księgarnia „Odeon”, ul. Hoża 19
Wrocław	EMPIK S-ka z o.o., ul. Warszawska 11/13
Wrocław	Księgarnia Wydawnictwa Dolnośląskiego, ul. Świdnicka 28

Biblioteka „Kwartalnika Artystycznego”



W kwietniu ukaza się:

Michał Głowiński

„Czarne sezony”

Krzysztof Myszkowski

„Funebre”

Piotr Matywiecki

„Zwyczajna, symboliczna,
prawdziwa”

Jarosław Klejnocki

„Droga do Delft”

**KWARTALNIK
ARTYSTYCZNY**

PRENUMERATA ROCZNA

krajowa: 25 PLN (4 numery wraz z kosztami wysyłki);

zagraniczna: 30 \$ USA (4 numery wraz z kosztami wysyłki).

Cena numeru archiwalnego (wraz z kosztami wysyłki): 4 PLN (8 \$ USA)

Wpłaty prosimy kierować na KONTO:

Wojewódzki Ośrodek Kultury PBKS II O/Bydgoszcz

11001034-902 779-2101-111-0 „Kwartalnik Artystyczny”

Nr indeksu 36294

PL ISSN 1232-2105

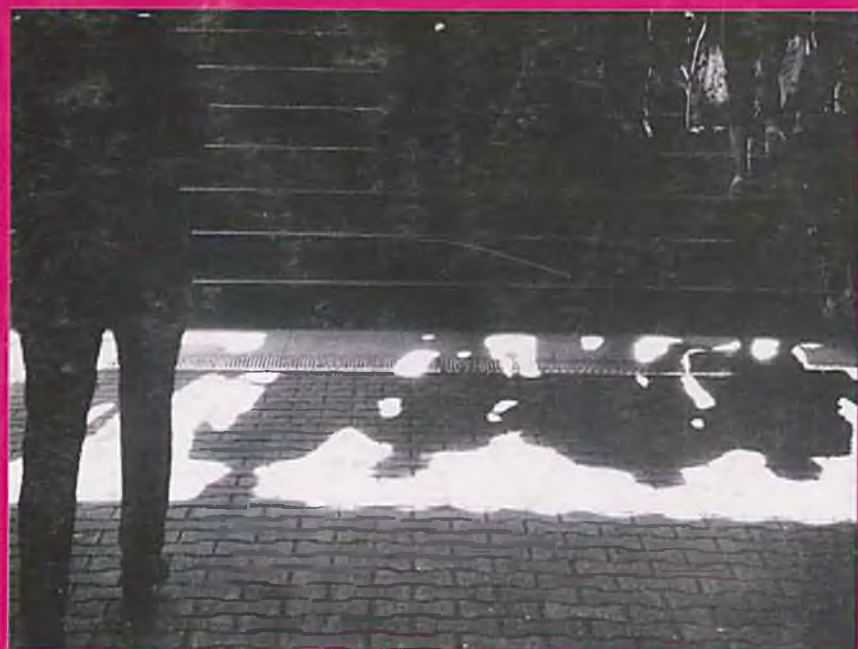
Utworów nie zamówionych redakcja nie odsyła.

© Copyright by „KWARTALNIK ARTYSTYCZNY. KUJAWY I POMORZE”, Bydgoszcz 1997

Druk: Merxgraf, Bydgoszcz, tel. 22 65 03

Skład: FUP, Bydgoszcz, tel. 341 18 79

Cena 6 PLN



PLN ISSN 1232-2105